

577
Czesław Xawery Jankowski

Sieć z Czerwonej Przedzy



BIBLIOTEKA • DOBRUCH • KSIĄŻEK

378 1.5k
Czesław Xawery Jankowski

Sieć

z czerwonej przędzy

Powieść



1937

NAKŁADEM BIBLIOTEKI DOBRYCH KSIĄŻEK
Ł O M Ż A

Włodzisław

**BIBLIOTEKA DOBRYCH KSIĄŻEK
WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC
RED. I WYDAWCA: KS. A. ROSZKOWSKI**

KIEROWNIK LITERACKI: A. L. SZYMAŃSKI



WARUNKI PRENUMERATY

z przesyłką pocztową:

	w broszurze	w oprawie
kwartalnie .	zł. 2.50	zł. 4.—
półrocznie .	zł. 5.—	zł. 8.—
rocznie . .	zł. 10.—	zł. 16.—

Cena pojedynczego tomu: zł. 1, — w oprawie zł. 1.60

Redakcja i Admin. B. D. K.: Łomża, Okrzei 13

SKŁADY GŁÓWNE:

w Łomży — Biblioteka Dobrych Książek, Okrzei 13
w Warszawie — K. T. W. „Kronika Rodzinna“, Podwale 4

TOM XVI Ł O M Ż A ROK 2

19 Czcionkami Druk. Diec. w Łomży 37

Jesienny zły dzień...

Dyrektor Jaklicki kreślił machinalnie jakieś skomplikowane figury na skrawku papieru i mówił z widocznym zakłopotaniem swoim cichym, matowym głosem.

— Trudno mi powiedzieć z jak wielką przykrością odmawiam prośbie pana, panie Jerzy, ale — i tu rozłożył ręce bezradnym ruchem — otwarcie panu powiem, że protekcja moja raczej zaszkodziła by niż pomogła. Obecnie panują tu stosunki tego rodzaju, iż głos mój nie ma żadnego wpływu w sprawach personalnych i dlatego, chociaż pan wie, jak bardzo pragnąłbym przyjść mu z pomocą, doprawdy nie mogę tego uczynić. Cóż zrobić, drogi panie, żyjemy pod takim znakiem czasu, że będę bardzo rad, jeżeli dociągnę do emerytury i wydobędę się wreszcie z tej matni.

— Wierzę najzupełniej, panie dyrektorze — odpowiedział poważnie Wolski — i należy mi tylko przeprosić pana, że zabieram mu czas swymi sprawami.

— Ale co znowu, drogi panie, co znowu! Gdybym miał tylko możliwość okazania panu jakiegokolwiek swoją osobą pomocy, najchętniej służyć. Wie pan, jakie przyjacielskie stosunki łączyły mnie z domem rodziców pana, jak jestem życzliwie usposobiony dla pana, panie Jerzy i dlatego też, gdybym wiedział o jakiejś

wakującej posadzie, nie omieszkam pana natychmiast powiadomić.

Wolski podniósł się do wyjścia, lecz Jaklicki przytrzymał go lekko za rękę i mówił dalej.

— Teraz z kolei ja mam do pana prośbę; rozumiem doskonale, że w obecnych warunkach musi pan być w nielada opałach i dlatego proszę bardzo o przyjęcie ode mnie tej małej pożyczki. Sięgnął do portfelu, ale Wolski szybko zaprotestował z lekkim rumieńcem na twarzy.

— Nie, nie, panie dyrektorze, jestem panu bardzo zobowiązany za intencje, ale dam sobie jakoś radę.

— Traktujmy te sprawy, panie Jerzy, tak z ludzka i po życiowemu; ma pan prosić innych, lepiej przyjać od starego przyjaciela, a ja będę szczerze rad, kiedy odda mi pan tę drobną sumę, będzie to bowiem dowodem, że już pan pracuje i ma możność regulowania swoich zobowiązań.

Wolski jednak uchylił się zdecydowanie od ofiarowanej mu pomocy i pożegnawszy się, opuścił gabinet Jaklickiego. Wyszedł na ulicę i z nienawiścią spojrzał na wielki gmach nobliwy i ponętny w swojej architekturze. Wiedział doskonale, iż jedno odpowiednie polecenie bez trudności wprowadziło by go w parotysięczny rój ludzi, którzy siedzieli tam, pracowali i beztrudnie patrzyli w jutro. Ale protekcja z beczelną gębą rozpierała się swym niewidzialnym, potężnym cielskiem przy każdym biurku i stoliku, przy każdych drzwiach i rechotała śmiechem w twarz tym, którzy sądzili, że bez jej wszechwładnej pomocy uda się prześlizgnąć bodajby przez najmniejszą szczelinę.

Z trybun publicznych deklamowało się patriotycznie o bilecikach i telefonikach, ale bez owych bilecików, bez poleceń telefonicznych na każdego petenta, ubiegającego się o pracę, patrzano nieomal jak na wariata. Wolski wiedział, iż w tym wielkim, w symetryczną podkowę wygiętym gmachu o tę pracę należy kołatać legitymując się nie patentami, nie zdolnościami, zapalem i sytuacjami życiowymi, ale rzuceniem na zielone sukno biurka nazwiska ciężkiego, dostojnego, uprzywilejowanego. Wówczas zaczarowane drzwi otwierały się z niewidzialnych zamków, a listę pracowników pomnażano o jeszcze jedną pozycję...

Skierował się na przeciwległy przystanek tramwajowy aby poczekać na wagon, idący na Wolę. Postanowił pojechać do Rychtera i tam jeszcze szukać ratunku dla siebie. Rychter zajmował poważne samodzielne stanowisko w dużym przedsiębiorstwie przemysłowym, że zaś znali się od dzieciństwa, pochodzili z jednego miasta i że wiedział o uczynności i życzliwości jego dla siebie, chciał przeto wykorzystać i tę sposobność, aczkolwiek podświadomie czuł, iż będzie to skok w próżnię.

Dzień był jesienny, chłodny, pełen drobniutkiego deszczu, przesianego przez gęste sito chmur, wciskającego się uparcie pod odzienie i mrozącego każdy muskuł ciała; z ciężkich, posępnych chmur wiała beznadziejnością i smutkiem, a w ponurym świetle listopadowego dnia domy, ulice, nagie odarte z resztek liści drzewa, pojazdy i ludzie wydawali się bezbarwni, szarzy, monottonni i ociężali... Obszerny plac lśnił polepą rozjeżdżonego błota, a każde przemykające auto rozbryzgiwało błotnistą maź na cofających się pospiesznie przechodniów. Mi-

mo ruchu i ludzkiej przelewającej się fali, w powietrzu wisiała nuda i przygniatający smęt.

Wysiadł na krańcowym już prawie przystanku tramwajowym i skierował się na boczną ulicę, przy której znajdowała się fabryka. Ruch przechodniów był tu o tej porze niewielki, natomiast częściej dudniły ciężarowe auta i duże towarowe platformy. W fabryce woźny wprowadził go do niewielkiej brudnawej poczekalni, sam zaś zaniósł bilet, jaki mu Wolski wręczył do Rychtera. Siadł przy oknie i patrzył na obszerny dziedziniec fabryczny, na którym kilku robotników przetaczało wielką żelazną kładź huczącą na wyboistym bruku jak daleki grzmot. Co chwila przystawali, rozcierali ręce i widać było, że praca idzie ospale i sennie.

— Zupełnie jak ten dzień jesienny — pomyslał Wolski.

Rychter łysy jak kolano, z ciemnymi wesołymi oczami, przyjął go jak zwykle z uśmiechem i pogodą na twarzy. Kordialnie potrząsając ręką, usadowił go w głębokim fotelu przy biurku, podsunął papierosy i począł szybko mówić.

— Witam, witam kochanego ziomka! Sto lat pana nie widziałem. Co słyhać, kochany panie Jerzy? Ależ pogódkę mamy, co — klasa, prawda? Tylko tak ze dwie większe i gorący bigosik. Czemuż mam zaszczyt przypisać pana wizytę na tym odludziu?

Wolski krótko i zwięźle wyjaśnił, o co chodzi. Rychter zaczął się śmiać.

— Wie pan, gdybyśmy się tak dawno nie znali, posadziłbym pana, że poprostu przyjeżdża pan kpić sobie z nas, przecież my jesteśmy po redukcji, po obniżce pensji i znów w przededniu redukcji. Kryzys nas tnie, jak

nożem i jeśli tak dalej pójdzie, to diabli nas wezmą bez reszty. Nie, kochany panie Jerzyku, mowy nie ma, u nas nawet gwoźdź się już nie wbije, a coś dopiero mówić o człowieku. Ale nie znaczy to — dodał — że jeśli nie u nas, aby nie można tego zrobić gdzieindziej. Mam trochę stosunków, tu i owdzie należę, obracam się w rozmaitych sferach, więc przyrzekam panu uroczyście, że będę o tej sprawie pamiętał i gdyby zaszła tego potrzeba, gotów jestem przyjechać nawet w nocy do pana i przywieźć mu dobrą nowinę.

Twarz mu spoważniała i po chwili dodał.

— Ja życie traktuję na wesoło, bo ponura gęba i bieda straszy ludzi jak upiór, ale wiem też, co znaczy być bez pracy i dlatego panu współczuję. Tak, stosunki są okropne i doprawdy nie wiadomo jak tysiące ludzi z tej sytuacji wybrnie.

Porozmawiali jeszcze chwilę i pożegnawszy się, Wolski opuścił fabrykę. Aczkolwiek niewiele budował na bytności u Rychtera, to jednak i ten jeszcze zawód przygnoił go ostatecznie, napoił tragiczną nieomal beznadziejnością, włókł się więc przez pustą, obstawioną parkanami i ciężkimi korpusami fabryk ulicę, pełen posępnych myśli, jak ten jesienny zły dzień...

Na rogu zobaczył małą podrzędną restaurację z żółtymi firaneczkami w oknach. Był zziębnięty, głodny, a przede wszystkim przygnębiony. Wprawdzie nawet najmniejszy wydatek z ostatnich czterech złotych, które posiadał, groził zrujnowaniem budżetu na najbliższe dni, jednakże i sześćdziesięcio groszowe obiady, jakie od pewnego czasu jadł i to dość nieregularnie, nie zasycaly młodego orga-

nizmu i teraz poczuł ostry, zwierzęcy niemal apetyt. Pod wpływem wewnętrznego impulsu, pchnął drzwi i wszedł do środka. Ogarnęło go miłe ciepło i charakterystyczny zapach małych i tanich restauracji. W salce było pusto i na widok Wolskiego, gospodarz, stojący za bufetem, obrzucił go badawczym spojrzeniem, jakby pytając, skąd ten obcy gość tu zabłądził... Pod oknem siedział jakiś tęgą, wysoki mężczyzna, popijając zwolna piwo. Wolski szybko przejrzał kartę gorących zakąsek i wybrawszy potrawę, polecił ją sobie podać. Wypił jeden i drugi kieliszek wódki i skierował się z talerzykiem w rękę do przyległego pokoju, tam jednak ujrzał dwóch gości szeptem rozmawiających ze sobą, cofnął się przeto i chwilę wahał gdzie sięść. Gość w skórzanej kurtce, widząc niezdecydowanie Wolskiego, zrobił szeroki ruch ręką i wskazując obok siebie krzesło, rzekł:

— Proszę, niech pan siada, miejsca dość — odezwał się doskonałym akcentem francuskim, a widząc na twarzy Wolskiego mimowolne zdziwienie, dodał z uśmiechem.

— Pana to dziwi skąd taki robociarz w knajpie na Woli zaczyna po francusku. Jestem, panie, repatriantem z Francji, mechanik-górnik; siedziało się tam przez czternaście lat, więc musiał się człowiek z konieczności nauczyć. Nauczył się, było dobrze i żyło się wygodnie, aż tu nasi panowie z polityki poczęli się kłócić, fumać sobie stroić, a kto na tym stracił — robociarz. Robotnika za pysk i zaczęli wylewać.

— Tak, panie, nie było rady, trzeba było gospodarstwo na gwałt sprzedawać, pakować

i jazda do Polski; jestem tutaj już od sześciu tygodni i znów bezrobotny.

— Nie może pan dostać pracy?

— He, he, panie, pracy to tu jest, tylko trzeba ją mądrze podejść. Ja już tutaj rozpa-trzyłem się i widzę, co się dzieje: wszystko można zrobić, aby były plecy, a jak nie ma pleców, to można radzić sobie i inaczej. Chcesz do elektryki, powiadają — płąć; chcesz na kolej — płąć; chcesz do fabryki — także płąć. Tu potrzebuje pan inżynier, tam pan majster, a tu znów pan naczelnik. I we Francji, panie, nie jest lepiej, tak samo patrz na ręce, ale tam wezmą i robią, a tu wezmą i wykiwają jak barana. Przychodzi do mnie jeden taki kombinator i powiada, że wszystko może, złote góry obiecuje. A pan kto jesteś — pytam. Ja jestem — powiada — szofer — nachyla się do ucha i mówi u kogo. No to przecież — mówię — pan swemu patronowi nie potrzebu-jesz nic za protekcję dawać. A on zaczyna wywodzić, że to koszty, starania, aż wreszcie okazało się, że już nie jednego tak wykołował, bo to kombinator od naiwnych, tylko ja na taki kawał wziąć się nie dałem, ja znam świat, ludzi, stosunki, więc mu powiedziałem kilka słów — tak, jak się to mówi na kopalni i więcej się już nie pokazał.

— Monsieur chef — skomenderował w stronę bufetu — dwa jasne. Przyjemnie jest posiedzieć z inteligentnym człowiekiem i pogadać.

— Więc co pan zamierza robić nadal — zapytał Wolski, zainteresowany tą rozmową.

— Zostawię żonie i dzieciom trochę grosza, niech się tu na rok, dwa, jakoś przytulą, a sam jadę do Pensylwanii, tam roboty nie zabraknie.

Ja jestem fachowiec, to z głodu nie zginę, a tutaj, panie, wykierowaliby mnie na dziada.

Zaczął szeroko, z pewną inteligencją, świadczącą o orientowaniu się w stosunkach, opowiadać o warunkach pracy we Francji, kolonii polskiej, o życiu górników, aż wreszcie zakończył:

— Mnie się wydaje, że tu jest za dużo kombinatorstwa, za dużo takich, którzy chcą żyć i nic nie robić. Powiadają, że w Polsce kryzys, no tak, kryzys jest na całym świecie, ale na tym kryzysie, to w świecie wszyscy tracą: robotnik, fabrykant, urzędnik, a tu właśnie są tacy, którzy na kryzysie zarabiają i to grubo.

Rozmawiali jeszcze dość długo, wreszcie Wolski pożegnał przygodnego znajomego i skierował się w stronę tramwaju. Kiedy przyjechał do domu, począł zapadać już zmrok, położył się więc na tapczanie i leniwie snuł myśli z przeżytych wrażeń. Jaklicki i Rychter zawiedli — a co jutro? Znow przyjdzie dzień szary, beznadziejny, straszący ciągle troską niezaspokojonych potrzeb, pusty w swej beztreści. Sytuacja stawała się nieomal dramatyczna, rozumiał doskonale, iż sprawa posady uciekała w nicość, rozpływała się w mgłę przyrzeczeń i uścisków dłoni bez najmniejszego akcentu realności. Z rozpaczą myślał, że od kilku miesięcy zalegał za mieszkanie, kredyt w sklepikach miał już zamknięty, wszystko co przedstawiało jakąkolwiek wartość — zegarek, cukiernica, złote spinki, jakie otrzymał po zdaniu matury, papierośnica, wszystko to już leżało w lombardzie i nędzną egzystencję mogło ratować tylko wyprzedawanie garderoby nie nazbyt zresztą zasobnej.

Nieszczęście przyszło zupełnie nieoczekiwanie, uderzyło go jak cios zadany znienacka. Po skończeniu studiów, dostał wcale nie złą, jak na początek, posadę w dużej firmie handlowej, o której powszechnie mówiono, że jest mocna i ugruntowana, żadnych więc przykrych, a tym więcej nagłych ewentualności nie oczekiwał. Po roku otrzymał podwyżkę i zaczął już tworzyć zdecydowane plany na przyszłość, gdy naraz stało się coś takiego, na wspomnienie czego Wolski jeszcze i dziś wpada w zdumienie i nie może się zeń otrząsnąć. Oto właściciel firmy Leski — zginął. Zginął jak szpilka, rzucona na środek ruchliwej ulicy. Mimo, iż postawiono cały aparat policyjny na nogi, iż rodzina drogą prywatnych detektywów czyniła wszelkie zabiegi, zagadki nie rozwiązano. Krążyły przeróżne wersje: jedni twierdzili, że Leski popełnił samobójstwo skacząc w nurty Wisły, inni, że wyjechał do Kalifornii, byli i tacy, którzy widzieli go wsiadającego na okręt w Hamburgu, co było prawdą — niewiadomo, jedno tylko okazało się niestety aż nadto prawdziwe, że firma była zrujnowana doszczętnie i aby uratować choć okrucy, należało ją likwidować jak najprędzej. W tych warunkach nie było mowy o utrzymaniu posady, rad był, że dostał jakąś nikłą odprawę i na razie trzeba było przekreślić wszelkie plany budowane na przyszłość, a przyszłość ta przedstawiała się tak pięknie, miała w sobie wszystkie barwy złotawej tęczy i zapach wspaniałych z pierwszej wiosny życia kwiatów. Wspólnie z Janką roili, że poczynią zabiegi o przeniesienie jej na posadę nauczycielki do Warszawy, a wówczas razem pracując, będą mogli stworzyć wreszcie swój własny, taki wytesknio-

ny i taki w marzeniach kochany dom. Na wspomnienie narzeczonej, Wolski aż pręży się od wewnętrznego bólu, wie bowiem doskonale, jak głęboko jego tragedię przeżywa i ta najukochańsza dziewczyna z małej szkółki powszechnej. Janka Wisnowiczówna jest w szkole o kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy i teraz nie mają nawet możliwości widywania się, jak to było wtedy, gdy Wolski był na posadzie. Przypominają mu się te niedawne jeszcze, a obecnie tak bardzo oddalone, jakby oddzielone setkami lat, wspomnienia z owych wycieczek, kiedy nieomal co niedziela przyjeżdżał do niej. Jak prześlicznie wyglądał niewielki budynek szkolny otoczony gęstwą kwitnących bzów, rozsiewających słodką woń jakby z niewidzialnego trybularza. We wsi panowała cisza, nad ziemią wisiało błękitne, głębokie sklepienie powietrzne, od niewielkiej rzeczki dochodziło lekliwe pokrzykiwanie czajek i dzikich kaczek, a cała natura, rozkołysana wiosną, zdawała się krzyczeć wielkim głosem miłosnego upojenia...

Wszystko to wydaje się Wolskiemu jak sen, jak majak i zmęczony mózg przenika bolesna, dojmująca świadomość, iż obecnie nie ma najmniejszej gwarancji, że to jasne, kochane szczęście kiedykolwiek wróci...

Z tym wspomnieniem kojarzy się mimowoli i inne: oto kiedy w kilka dni po katastrofie z Leskim napisał do niej rozpaczliwy list o stracie posady, nie odpowiedziała nic, lecz korzystając z pierwszego wolnego dnia od zajęć szkolnych, przyjechała i tuląc się doń ufnym, kochanym ruchem, powiedziała.

— Mój Jur biedny i tym więcej, tym bardziej drogi. Jesteśmy młodzi i jeśli nawet na

nasze szczęście poczekamy rok czy dwa, to przyjdzie ono potem tym słodsze i droższe. Pamiętaj Jur, kto sobie pomaga, temu i Bóg dopomoże. I po raz pierwszy w życiu podała mu swoje świeże, czerwone jak pąk kwiatu usta do pocałunku. Ale rozmowa nie skończyła się na tym, Janka kategorycznie zapowiedziała, że dopóki Wolski nie otrzyma posady, będzie mu pomagała. Nie skutkowały żadne perswazyje, ani nawet groźby, z małej szkółki systematycznie co pewien czas młoda nauczycielka ekspediowała paczki z zasobami prowiantów, wśród których zazwyczaj był ciepły, serdeczny, zawsze pełen otuchy list, a w nim jeśli nie kilkanaście, to chociaż kilka złotych. Wolski się zżymał, po raz pierwszy otrzymawszy tego rodzaju przesyłkę, pieniądze odesłał, lecz w kilka dni dostał je z powrotem przekazem pocztowym, w ślad zaś za nimi nadszedł list, gdzie Wisnowiczówna pisała:

„Jeżeli wskażesz mi logiczną rację dlaczego, jako przyszła twoja żona, nie mam ci prawa udzielenia pomocy, to wówczas, Jur zaprzestanę tego. Jednocześnie odpowiedz mi na pytanie: czy gdybym ja znalazła się w tego rodzaju sytuacji, nie pospieszyłbyś mi z pomocą, nie stanął obok mnie i nie chciał ulżyć mej niedoli? Dlaczego zatem, mój drogi i niemądry chłopcze, odmawiasz mi tego naturalnego prawa, jakie obowiązuje nas wspólnie?”

Listem tym ustabilizowała sytuację i Wolski otrzymując owe pakiety, pocieszał się jedynie myślą, iż przyjdzie kiedyś moment, że z nawiązką będzie mógł spłacić wszelkie zobowiązania względem swej kochanej dziewczyny.

Udręka tych myśli była tak bolesna, tak piekąca, że rozdrażniony wstał, zapalił światło

i wziął tani popularny dziennik do ręki. Tytuły artykułów i wzmianek zdawały się niejako ociekać krwią, kurzyły oparami czerwonej posoki, zataczały się od morderstwa do szantażu i z zadrukowanych szpalt ziało zbrodnia, przekleństwem i szelmostwem ludzkim. „Zastrzelił żonę i sam odebrał sobie życie”, „Brat w czasie kłótni zarżnął brata” „Podczas snu, żona uderzeniem siekiery zabiła męża”, „Urzędnik zdefraudował 40 tys. złotych”, „Krociowe malwersacje komornika”, „Bezrobotny powiesił się na klatce schodowej”.

Ta ostatnia wzmianka zainteresowała go jakąś niezdrową ciekawością i przeczytał dokładnie kilkowierszową informację. Jeżeli — myślał — robotnik, pozostający od kilku miesięcy bez pracy, odbiera sobie życie, to w takim razie co on ma począć z sobą? Wszak o pracę fizyczną jest znacznie łatwiej, istnieją komitety specjalne, towarzystwa, biura zajmujące się rozdziałem pracy wśród robotników, jeśli przeto ten nieszczęśnik mimo zorganizowanej pomocy społecznej musiał szukać wyjścia z sytuacji zakładając sobie pasek na szyję, to w takim razie czy on, inteligent, zawieszony w powietrzu, o którego nikt ani nie troszczy się, ani zabiega, nie powinien właściwie pójść w ślady tego, którego zsiniałe ciało znaleziono w ciemnym zakamarku klatki schodowej?

— Miła lektura — syknął przez zęby i odrzucił dziennik na podłogę. Zgasił lampę (każdy grosz należało szanować) i z powrotem położył się na tapczan; przez okno wpadała fioletowa poświata z elektrycznej latarni i nasycała pokój mdłym, półświatlistym cieniem. Na drugim czy a trzecim piętrze grał ktoś na for-

tepienie i stłumione tony zsuwały się jakby płynną, leniwą kaskadą do pokoju.

Za oknami panoszyła się ciemna jesienna noc i słyszeć było jak o szyby dzwoniły drobniutkie krople deszczu, spływały po nich świetlistymi bruzdami i jęklonie szemrały w rynnach... Wolskiemu zdawało się, iż za tym półoświetlonym oknem, za zamkniętymi drzwiami w każdym załamie sprzętów, w każdym kącie czai się jakieś upiorne widmo, pełźnie, wyciąga tajemnicze ręce i chwyta go za gardło. To szło niewiadome — tajemnicze i wrogie jutro...

Dom przy ul. Franciszkańskiej i Wiejskiej.

Wieczór był chłodny, prawie mroźny. Wolski szedł szybko do domu, przeciskając się niecierpliwie przez ciżbę uliczną, gdy niespodziewanie tuż za sobą usłyszał wesoły głos.

— Cześć, panie sierżanciel!

Obejrzał się i zobaczył młodego prawnika Gaspera, który przeżąc się służbiście i przykładając przepisowym ruchem palce do ronda eleganckiego pilśniowego kapelusza, uśmiechał się do niego. Z Gasperem poznali się podczas odbywania kilkotygodniowych ćwiczeń wojskowych, że zaś los łóżka ich w koszarach ulokował obok siebie, mimowoli przeto weszli w bliższe stosunki, zacieśnione potrosze wzajemną sympatią, potrosze zaś i życiem pułkowym, jakie zbliża ludzi zgarniętych wspólnym dla wszystkich rygiorem w jedną gromadę. Rygor ten dokuczał specjalnie młodemu prawnikowi, który musiał nie tylko w kilka miesięcy po ślubie odrywać się od miłych niewątpliwie pieleszy domowych, ale nadto — jak powtarzał

to przy każdej sposobności w sposób nieomal impertynencki — tracił na ćwiczeniach bardzo wiele, porzucając swe liczne, jak zapewniał, sprawy sądowe. Kiedyś wywołało to nawet ostrą awanturę między Gasperem, a młodym podchorążym, który słuchając utyskiwań adwokata, oświadczył mu wręcz, iż trzeba być najpospolitszym Monkiem, aby w ten sposób traktować służbę dla Państwa. Gdyby nie interwencja Wolskiego, kto wie, czym by się zajęcie skończyło, prawnik bowiem broniąc się, natarł ostro na podchorążego, nie mniej jednak przyłgnał doń od czasu tego zajścia przydomkiem Moniek, jakim też pożegnano go przy wyjeździe z pułku.

Gasper po tym niemiłym dla siebie incydencie, zbliżył się do Wolskiego, intuicyjnie wyczuwając, że oparcie się o inteligentnego, cieszącego się sympatią sierżanta, może mu jeżeli nie przywrócić mocno zachwianą pozycję, to przynajmniej na wszelki wypadek zabezpieczyć tyły.

Nie trudno mu było wywnioskować, że jego koszarowy kolega żyje wyłącznie tylko z kuchni pułkowej, każdą więc otrzymaną przesyłką od młodej żony, a były one liczne i obfite, dzielił się wesoło i gościnnie z Wolskim, a chociaż ten, widząc złośliwe uśmiechy kolegów, energicznie protestował przeciw temu, adwokat dość agresywnie potrafił przekonać go i postawić zawsze na swoim. Wolski, ogołocony już wówczas z gotówki, przyjmował uprzejmość Gaspera, nieco wprowadzając hałaśliwą, z mimowolnym uczuciem wdzięczności, starając się wzamian wyświadczać mu drobne koleżeńskie przysługi, o jakie w życiu pułkowym nie było trudno.

Taki stan rzeczy, gdzie z jednej strony wchodziło w grę niewątpliwie wyrachowanie — z drugiej bezpośrednie uczucie wdzięczności, wytworzyło między Gasperem a Wolskim zbliżenie, jakie pod koniec ich pobytu przybrało nawet formy ściślejszej i wyraźnej sympatii.

Z licznych i częstych rozmów wywnioskował, iż Gasper jeżeli nie radykalizuje zupełnie otwarcie, to należy jednak do typu tych, których postępowość, podlaną specyficznym sosem liberalizmu, spotyka się tak często w młodym pokoleniu jego rasy. Znał ten typ ludzi ze swych studiów akademickich. Kiedyś rozmowa zeszyła na literaturę i adwokat począł gorąco mówić o pisarzach, przemycających pod pozorem realizmu pojęcia wyraźnej duchowej anarchii. Wymienił i głośnie „Zmory”.

— No, wie pan, powiedział Wolski, nie wiem czy jest to większe świństwo, czy większe lajdactwo.

Prawniki się zachnął.

— Panie Wolski, doprawdy mówi pan jak kmiotek z Ciemnogrodu. Epoka poetyckiej balady i sentymentalnych minstreli minęła. Wielki talent polega na tym, aby podpatrzeć i uchwycić życie jak obiekt fotograficzny i bez żadnych zakłamań rzucić je w postaci dzieła literackiego. Cóż zrobić, że stosunki społeczne, układ ich i obecny sens mają więcej w sobie zapachu kloaki, niż owych fiołków, do których pan tak tęskni...

I szeroko począł rozwodzić się na temat najnowszych prądów w literaturze, gdy niespodziewanie przerwał mu te wywody zazwyczaj małomówny i flegmatyczny profesor gimnazjalny z Lublina.

— Ja bym panu tak krótko, po żołniersku powiedział, do czego służy ta cała, z małymi niestety wyjątkami, literatura młodych i najmłodszych. Przychodzi taki kandydat na wielkość, który nie wie jak ulokować swoją pozycję życiową i pisze. W paroksyźmie alkoholicznego nastroju, na pół tysiącach stron czka swoje potężne przeżycia nadduszy. Otwiera najbardziej brudne, te właśnie, o których pan mówisz, kloaki życiowe, wywłóczy najbardziej zawszone szmaty ludzkie i nuża się po sam czub swym chorym na bolszewicką egzemę mózgiem w tym gnoju i odmęcie. W pięciu wierszach pomiesza taki bałwan wieczność z domem publicznym i z każdej karty zionie nienawiścią do wszystkiego, co proste i zdrowe, co posiada choć krztę etyki i ładu społecznego. Zachłystuje się z uniesienia nad dziewczyną uliczną, spacerującą od rogu do latarni. I to się nazywa potężny realizm i przeżycia tajemniczej jaźni. To już nie jest jakaś bzdurna Grypa, szalejąca w brudnej, matłkowatej Naprawie, ale istotnie zaraza, pragnąca zniszczyć wszystko dla tego, żeby z Warszawy zrobić czerwony Madryt, a z każdej Woli czy Wólki — kolchoz.

Reporterki literackie z rozmaitych czerwonych brukowców poczynają ryczeć zgodnym chórem, jak osły pod zachód słońca: objawienie! potęga! wielkość!

I w taki to sposób tworzy się kandydatów nie tylko do wawrzynów akademickich, ale i do wielkości w literaturze polskiej. Literatura ta pisana jest wprawdzie po polsku, lecz z duchem polskim ma tyle wspólnego, co pluskwa z lokomotywą.

Zaperzył się, rzucił z pasją papierosa i rozgłniótł go ciężkim żołnierskim butem. Gasper poczerwieniał i chciał coś odpowiedzieć, ale profesor, odwracając się lekceważąco do niego tyłem, dodał widocznie zdenerwowanym głosem.

— Na zakończenie powiem panu, że ten kulturalny szantaż już dobiega końca. Zmobilizowana opinia społeczna potrafi z tego stogu zakłamań, frazesów i superlatywów wyciągnąć prawdę za łeb i nazwać rzeczy po imieniu. Co jest draństwo, nazwiemy—draniem, a chamstwo—chamem!

Powiedział to twardym, mocnym głosem, a że wszyscy odrazu zrozumieli, kogo ma na widoku, prawnik przeto poczerwieniał, zerwał się i w uniesieniu począł coś wykrzykiwać. Zanosilo się na wielką awanturę, tym więcej, iż podchorążacy poparli wywody młodego profesora. Wolski widząc, że burza wisi w powietrzu, odciągnął bezceremonialnie Gaspera na bok i w ten sposób znów zająście załagodził. Aczkolwiek częściowo przyznawał słuszość twierdzeniom profesora, to jednak uważał się za dość tolerancyjnego, aby chociaż w ten sposób obronić osobę adwokata przed atakiem, jaki się ku niemu skierował.

Oczywiście Gasper doskonale pamiętał stosunek młodego sierżanta do siebie, to też przy wyjeździe, chcąc okazać mu swą życzliwość, gorąco i parokrotnie zapraszał do swojego domu, z czego jednak Wolski nie skorzystał.

Obecnie, witając się w ten chłodny jesienny wieczór ze swoim obrońcą z przeżyć pułkowych, Gasper czynił to w sposób szczególnie wylewny, aby zadokumentować mu swą sympatię. Ujął Wolskiego pod rękę i przeci-

skając się przez tłum uliczny, szli rozmawiając dość chaotycznie, gdy naraz adwokat zaproponował.

— Drogi panie, nie odmówi mi pan filiżanki gorącej kawy. Na to zimno doskonale nam zrobi.

Wstąpili do pobliskiej cukierni i wówczas już rozmowa potoczyła się systematyczniej, a Wolski w kilku zdaniach opowiedział prawnikowi o swojej sytuacji.

— Ooo, to źle — przeciągnął adwokat — wyobrażam sobie, że dziś bez posady człowiek musi się czuć jak pod szubienicą. Szczerze panu współczuję. Trzeba by coś poradzić, tylko jak... jak... Ja mam wprawdzie nieco stosunków, ale tych nie dało by się dla pana narazie wyzyskać, to inna sfera i inne możliwości.

Zamyślił się i począł z lekka bębnić palcami po stole, poczem nagle z widocznym ożywieniem rzekł.

— Wie pan co, moja żona jest z domu Blaumfeldówna, no, a kto są Blaumfeldowie, to chyba pan wie, prawda? Otóż żona moja, która, jak panu wiadomo, jest również prawniczką, ma bardzo rozległe znajomości towarzyskie i może przez nią dało by się coś urządzić. Tak, tak, to jest myśl... Najlepiej byłoby, gdyby pan przyszedł do nas, powiedzmy, co to dziś mamy, wtorek, a więc ustalmy w czwartek, tylko oczywiście po godzinach przyjęć, abyśmy spokojnie mogli tę sprawę omówić.

Wolski zaczął dziękować, na co Gasper lekким tonem ledwo wyczuwanej wyższości, powiedział.

— Takich ludzi jak pan, panie Jerzy, trzeba popierać. Pan na szczęście nie należy do tych matolów, którzy w krótkim nacjonali-

stycznym zaślepieniu nie widzą nowych wspólnych horyzontów, jakie leżą przed nami. Pan jest człowiekiem postępowym, a dla takich zawsze, nawet w tych stosunkach, jakie niestety u nas panują, coś zrobić trzeba.

Porozmawiali jeszcze chwilę i żegnając się, Wolski przyrzekł, iż niezawodnie w umówionym dniu i godzinie stawi się w mieszkaniu młodej adwokackiej pary.

Wracał do domu z iskierką nadziei, że może, może właśnie tą drogą zahaczy się bodaj o najskromniejszą posadę, a wówczas już przestanie się borykać z tą straszną falą, jaka w ostatnich czasach zalewała mu nieomal oczy i usta.

Po przyjeździe do mieszkania, spotkała go tego wieczoru jeszcze jedna miła niespodzianka: oto wręczono mu sporych rozmiarów przesyłkę od Janki, a w niej istne bogactwo smakołyków, jakich już dawno nie oglądał, poza tym zaś — jak zwykle — długi i serdeczny list, w którym ta kochana dziewczyna rzucała słowa takiej otuchy i wytrwania, takiej wiary w ich jasne i dobre jutro, iż Wolski chwilowo zapomniał o wszystkich czających się z życiowych zakamarków zmorach i ufniej począł patrzeć w zbliżającą się przyszłość. Podświadomie, intuicyjnie czuł, że Gasper będzie się starał, aby w jego sytuacji pomóc i dlatego z niecierpliwością doczekał wreszcie czwartku.

Dom przy ul. Franciszkańskiej, w którym mieszkali Gasperowie, był typową wielopiętrową kamienicą tej dzielnicy. Na wielkim podwórzu, pełnym przybudówek, składów, zakamarków, ruch, mimo późnej godziny wieczornej, panował jeszcze w pełni, a przez szeroką i brudną bramę raz po raz przetaczały się

wózki naładowane paczkami towarów. Cały prawie dom zajęty był na sklepy, magazyny i biura i nawet na frontowych schodach unosiła się cikliwa woń skór, manufaktury i lichego jadła. Dość brudna i źle oświetlona klatka schodowa posiadała niewiele mieszkań prywatnych, a wśród nich i obszerny lokal Gasperów.

Adwokat przyjął go bardzo uprzejmie, nieomal z wylaniem, ale nie zdążyli jeszcze nawet zapalić papierosów, gdy do pokoju weszła Gasperowa. Wysoka, szczupła, o czarnych, prawie kruczych włosach, rozczesanych tak gładko, że przypominały perukę, o ruchach nieco teatralnych, była typowym obrazem tych kobiet, jakie bardzo często spotyka się równie dobrze za ladami sklepów, jak i w najwytworniejszych dancinгах. Mówiła szybko, z lekka modulując głos, jakby starając się ściągnąć uwagę i wywołać efekt.

— Mąż mój wspominał mi o panu często i z całą życzliwością. Wiem też co pana do nas sprowadza i proszę mi wierzyć, iż bardzo radziłyśmy pomóc w pańskiej sytuacji, ale jak?...

Zawiesiła głos w powietrzu, po czym, jakby wiążąc w myślach tok rozmowy, mówiła dalej.

— Sytuacja pana jest wytworem obecnych stosunków. Stosunków nie do zniesienia, o czym my prawnicy najlepiej wiemy. Młody, zdolny, energiczny człowiek szuka—czego? Pracy! I tej pracy znaleźć nie może. Proszę głębiej wnikać w treść tego zagadnienia, a dopiero wówczas zobaczy pan całą potworność układu warunków, w których każe nam żyć bezmyślność. Tam, gdzie masy ludzkie są wyprane za pomocą środków administracyjno-policyjnych z wszel-

kiej woli i swobody ruchów, tam, jak pan doskonale pojmuje, musi narastać potrzeba zmiany stanu rzeczy, aby takich jak pan nie przybawało co dnia setkami.

Adwokat z zadowoleniem zaciągnął się papierosem i wpatrzony w żonę, dorzucił w stronę Wolskiego.

— Może w tym nie ma racji panie W. co? Powiedz pan?

— Niestety jest, przytaknął Wolski.

— Otóż właśnie, dlatego, że jest, trzeba dążyć, aby przestała być.

— Ale to jest inne, głębsze zagadnienie — przerwała Gasperowa. Teraz chodzi o pana Wolskiego, co z nim zrobić? No, powiedz Leon, co?

Zapanowała chwila milczenia, którą znów przerwała młoda prawniczka.

— Mam myśl, a może by doktorowa Werenhard?...

— Wiesz, świetny pomysł! Istotnie, przy jej kolosalnych stosunkach, wpływach...

— Doktorowa Werenhard—mówiła Gasperowa tonem informacji—jest osobą niezmiernie uspołecznioną, której słowo w pewnych sferach może zdziałać bardzo wiele. To jest przedziwny człowiek, fenomenalny, powiedzmy—unikat! Ludzie uważają ją za bożyszcze, ale ona, mimo swojej olbrzymiej wiedzy i złotego serca, zawsze chroni się w cień własnej skromności, żyjąc tylko wyłącznie myślą o innych. Ludzkość, to cel jej życia. Otóż zadzwonię do tej złotej kobiety, przedstawię jej sprawę pana i będę starała się wpłynąć, żeby prośba moja nie pozostała bez skutku. Sądzę, że stosunki, jakie nas łączą, odegrają tu pewną rolę i oczywiście, nie przesądzając sprawy, miejmy

nadzieję, że droga nasza doktorowa znajdzie skuteczne lekarstwo na pańskie dolegliwości. Ustalmy sobie zatem plan naszej kampanii: w niedzielę rano zatelefonuje pan do mnie, a ja już będę mogła powiedzieć coś konkretnego.

Wizyta przeciągnęła się dość długo i rozmowa cały czas obracała się około zagadnień społecznych i tych aktualności, jakie życie wyrzucało pod dostatkiem. Dyskusja odrazu weszła na ton wysoki, ostry, zdecydowany. Słowa: uciemiężenie, krzywda, walka klas, zgniły faszyzm, prawo dla ludu — padały jak karty, rzucane ręką wprawnego gracza. Na twarz Gasperowej wystąpiły rumieńce, oczy błyszczały, a głos nabrał tonów krzykliwych, jakby wiecowych. Argumentowała, cytowała coraz jaskrawsze przykłady, rzucała zdania krótkie, lecz mocne i Wolski, kontrolując ten potok wymowy, musiał przyznać, że argumenty posiadały pozory logiczności. Raz po raz w tym ferworze zwracała się do męża ze słowami:

— No, powiedz Leonek sam, czy nie mam racji? — ale zanim adwokat zdążył odpowiedzieć, Gasperowa sypała słowami dalej.

— Każdy nowy prąd, nową myśl, wiejącą z wolnego świata tłumi się i w tej chwili przyodziewa w szaty jeżeli nie komunizmu, to radykalizmu. Tym radykalizmem straszysz się ludzi, jak małe dzieci kominiarzem. A co to jest właściwie radykalizm? Jest to tylko oglądanie rzeczywistości przez oczy, nie zasłute kataraktą polskiej czułości. No, ale idą nowe czasy — zrobiła małą przerwę w dyskusji — i z widocznym podnieceniem zgmiotła niedopalonego papierosa w popielnicę.

Rozmowa jednak nie ustała, podjął ją bowiem na nowo Gasper. Widać było, iż ludzie ci szukają dla siebie ujęcia, chcą się wyładować, wierzą i chcą wierzyć, że ich słowa w takiej, czy innej formie znajdą echo i nie pozostaną pustym dźwiękiem. Wreszcie dyskusja zeszła na sprawę żydowską. Młoda adwokatka wykrzywiła pogardliwie usta i z lekceważeniem powiedziała:

— Ciekawam, co by ta kochana Polska zrobiła bez żydów, bez ich wspaniałego intelektu, kapitałów, temperamentu do pracy. Przecież wszystko, co na świecie lśni wspaniałym blaskiem nauki, artyzmu, literatury, talentów, tam wszędzie i zawsze są nazwiska żydowskie. Spencer, Marks, Bebel, Einstein, Nitti, Mendelsohn, Rubinstein, D'Israeli, Litwinow, Rotszyld, Vandervelde, Blum — wszyscy oni są żydami, nie mówiąc o setkach i tysiącach innych, którzy świetnymi umysłami przodują w pochodzie cywilizacji.

Nie wiadomo dla czego Wolskiemu w tej chwili przypomniał się wiersz żydowskiego poeciny: — Różnij karabinem o ziemię...

Było już późno, kiedy pożegnał się i wrócił powoli do domu. Podniecenie wizytą u Gasperów nie wpłynęło bynajmniej na kontrolę tego, co słyszał i o czym mówili; rozumiał doskonale, że Gasperowie to inny świat, wbijający się ostrym klinem swoich pojęć w układające się warstwami przekonania, ale stwierdzał, iż ludzie ci świadomie przejawiają fakty, zjawiska i rzeczywistość.

— Przecież — myślał, patrząc po masywach ciemnych już w tej chwili kamienic — w tych domach mieszkają właśnie tacy, jak oni. Oni swym wysiłkiem, swym temperamentem życia wywalczą nowe pozycje, na które następnie

wchodzą. Oni istotnie są tymi, którzy odrzucający sentymenty i ckliwość, prą naprzód nowe formy istnienia. W tych domach mieszka trud, wysiłek, nie znający co to noc, zrywający się o świcie, karmiący się najędźniejszą strawą, ale świadomy wielkiego swego jutra, do jakiego dąży, o które walczy nie tylko dla siebie w imię sztucznego hasła: — wolność i braterstwo wszystkich uciemiężonych.

Gdyby Wolski miał zdolność przenikania niby promieniami roengenowskimi tych murów, szczególnie pozasłanianych okien i na głucho pozamykanych drzwi, to zobaczyłby wówczas, iż w tych brudnych, zatęchłych mieszkaniach, w tych kantorach sklepowych, biurach i magazynach pracują bez przerwy retorty olbrzymiego laboratorium, rozkładającego się od Franciszkańskiej po Dziką i Nalewki, Pawią, Smoczą, Nowolipie, Zamenhofa — retorty, w jakich przetapia się sumienia, honor i uczciwość na zużle zbrodni, szelmstwa, przekupstwa. W tych cichych mieszkankach zbiegają się wszystkie sprawy, które w kronikach kryminalnych figurują pod rubrykami: przekupstwo, paserstwo, handel żywym towarem, fałszerstwo, defraudacje. Tam, w tych spokojnych i pocziwych na pozór siedzibach ludzkich funkcjonują tajne drukarnie, wyrzucające z cichym szelestem zadrukowane arkusze bibuły komunistycznej i anarchistycznej, mającej spopielić duszę i podpalić Polskę. Tam misternie podrabia się paszporty i dokumenty wojskowe, fałszuje certyfikaty, w tyglach i kuchniach chemicznych przetapia ołów i cynę na srebro polskich monet, tam w grubych zatłuszczonych notesach notuje się kabalistycznymi znakami ile się wzięło za Mańkę czy Józkę z jakiegoś Zaborza, sprze-

daną do Argentyny, ile podsunęło się za fałszywe dokumenty, zwalniające z wojska polskiego, ile setek i tysięcy maleńkich, na cienkiej bibulce drukowanych broszur przemyciło do kieszeni uczniowskich palt, albo żołnierskich płaszczy, ile wreszcie zarobiło się na transakcjach ze złodziejskimi melinami, na paserstwie, na najpospolitszej kradzieży, na przemycanej sacharynie, tytoniu i jedwabiach.

Gdyby Wolski mógł widzieć, ile też, ile dramatów, ile załamanych istnień ludzkich, opłatanych misterną siecią szantażu i podstępu, zbiega się i tkwi w tych mieszkaniach, w tych magazynach i biurach, wówczas...

Ale Wolski tego nie widział, Wolski był pod wrażeniem ciężaru krzywd, jakie weń uderzały i pod sugestią tych twardych słów, jakie padały w domu Gasperów. Tak, tylko ten kto łamie, kto prze jak burza, jak huragan naprzód, kto prawdę ogląda w całej jej nagości, bez zakłamań, bez złudzeń, kto pełnym głosem krzyczy o prawo życia dla siebie, ten tylko może iść w szeregu i nie pozwoli się zepchnąć do rowów zapomnienia, pełnych grząskiego i lepkiego błota. Na letnią wodę nie ma już dzisiaj czasu — albo zimna, albo gorąca jak war!

Kładąc się spać, długo jeszcze przeżuwał w myślach wieczór u Gasperów i chciał, by z otwarciem oczu przyszła już niedziela i wizyta u doktorowej Werenhard.

Wreszcie niedziela ta nadeszła i Wolski z lekkim niepokojem zadzwonił z rana na Franciszkańską. Przy telefonie zastał Gasperową; ledwo wymienił swe nazwisko, młoda mecenasowa powiedziała.

— A więc, panie Wolski, jak na razie, sprawa przedstawia się dobrze. Doktorowa pana

przyjmie dziś o dwunastej. Niechże więc pan zapamięta: niedziela—dwunasta—Wiejska i wymienila numer domu.

Korzystając z pogodnego jesiennego dnia, aby skrócić czas oczekiwania, poszedł na spacer do parku Ujazdowskiego i tuż przed dwunastą skierował się na ulicę Wiejską. Nacisnął guzik dzwonka, ale za ciężkimi drzwiami panowała głucha cisza; przeczekawszy chwilę, zadzwonił energiczniej ponownie i dopiero wówczas usłyszał człapanie; drzwi uchyliły się z łącucha i w szparze ukazała się twarz starej szpetnej kobiety, która obrzuciwszy przybysza przenikliwym wejrzeniem, krótko, jakby ze złością, spytała.

— Do kogo?

— Czy zastałem panią doktorową?

— A w jakiej sprawie?

Wolski zirytowany, rzucił.

— W osobistej.

Drzwi zatrzasnęły się i przez dłuższą chwilę stał na klatce schodowej, nie wiedząc, co z sobą począć, kiedy wreszcie stara powróciła i wpuściwszy go do przedpokoju, w milczeniu obserwowała, jak zdejmował palto. Ruchem głowy wskazała mu przyległy pokój i powiedziała:

— Pan zaczeka.

— Ropucha—pomyślał Wolski, wchodząc do dużego salonu. Pokój był zastawiony starymi, solidnymi meblami z ogromnym stołem pod oknem, który widocznie zastępował biurko, piętrzyły się na nim bowiem stosy książek, pism, broszur i papierów, oraz widniały przybory pisarskie. Kilka dużych etażerek i szaf z książkami czyniło wrażenie, że w tym zacisznym staroświeckim pokoju mieszka i pracuje ktoś,

kto widocznie skupia tu swoje życie. Było tu zacisznie i dobrze i mimo woli pomyślał, że człowiek, który żyje w takiej atmosferze, musi mieć w sobie pogodę i tak, jak mówiła Gasperowa, być istotnie kochanym człowiekiem.

Czekał dość długo, gdy wreszcie w drzwiach przyległego pokoju ukazała się Werenhardowa. Niska, szczupła, ubrana w skromną suknię, miała w twarzy łagodny uśmiech i tylko czarne, błyszczące oczy, oczy jakby młodej dziewczyny, patrzyły przenikliwie i rozumnie. Podała Wolskiemu rękę i wskazując krzesło, zaczęła mówić niskim, stłumionym głosem.

— Ta pocziwa Gasperowa wiele mi o panu mówiła, obawiam się tylko — powiedziała prawie szeptem—czy nie przeceniła moich możliwości. Bardzo bym rada coś dla pana uczynić, ale pan wie, jak dziś trudno, niestety, o pracę. Będziemy jednak próbować. Proszę mi powiedzieć, co pan skończył, co pan umie i czego pan chce?

— Skończyłem szkołę Nauk Politycznych, mam za sobą nieomal dwa lata doskonałej praktyki w bardzo poważnej firmie handlowej, a chcę—uśmiechnął się lekko—cokolwiek.

— Na dwie pierwsze pańskie odpowiedzi, zgoda, ostatnia jednak nie zadawalnia mnie. Pan mówi cokolwiek, a przecież w tym słowie jest rezygnacja, a rezygnacja w wieku pana równała by się samobójstwu.

— Przeżyłem takie ciężkie okresy, iż jedynym moim pragnieniem byłoby chwycić się jakiejkolwiek pracy, aby wyjść z tego okropnego stanu, w którym czuję się jak człowiek niepotrzebny, zbędny, wyrzucony poza nawias życia.

— Widzi pan—podjęła Weranhardowa, patrząc w zamyśleniu w okno — wasza młodość jest młodością głodną wprawdzie, lecz piękną, młodością walki o jutro, o nowy byt, o nowe horyzonty. Kiedy dawno już byłam studentką w Kijowie i w Zurichu, doskonale znałam, drogi panie, co to jest głód w najdokładniejszym tego słowa znaczeniu. A jednak wspominam te czasy z uśmiechem na twarzy, bo i myśmy wówczas walczyli, tylko, że cel naszej walki, naszych zmagani był oddalony, prawie nieuchwytny, a wasz jest tuż przed wami—bliski.

— Gdybyż tak było—szepnęła Wolski.

— Tak jest, tylko trzeba tego pragnąć i w to wierzyć. Trzeba dla tych celów pracować.

Każde jej słowo, wypowiedane cicho, jakby z pewnym wysiłkiem, miało w sobie dziwną jakąś moc, taką siłę przekonywującą, iż nikła, szara postać Werenhardowej poczęła rosnąć Wolskiemu w oczach do nieprzeciętnych rozmiarów i wyodrębnić się jako nowe, nieznane dotychczas zjawisko.

— Ale to właściwie do rzeczy nie należy, mówmy o panu. Czy zna pan języki?

— Owszem, niemiecki dobrze, francuski dość przeciętnie.

— To już jest coś, można to w ten lub inny sposób wykorzystać. A więc postawmy rzecz tak: obiecuję, że będę o sprawie pana pamiętała i może owe właśnie „cokolwiek”, o jakim pan mówił, da się jakoś urządzić. Jeszcze jedno — czy pan należy do jakich stowarzyszeń, instytucji, zgromadzeń?

— Prawie nigdzie, odpowiedział szczerze. Moje warunki materialne nie pozwalają mi

obecnie na najmniejszy bodaj wydatek, a ten sposób życia pociąga za sobą pewne koszty.

— Słusznie, ale jeszcze bardziej słuszne jest to, iż człowiek współczesny musi żyć życiem zbiorowym. Przez to życie poznaje się ludzi, wchodzi w stosunki, nawiązuje kontakty. Człowiek pojedynczy jest oderwany, rzucony jakby w stratosferę. Zaproponuję panu tego rodzaju sprawę. Jestem przewodniczącą towarzystwa „Świt”: jest to organizacja o charakterze na wskroś kulturalnym, nawpół naukowym, trochę o podłożu towarzyskim. Spotykają się tam ludzie rozmaitych sfer, poglądów, stanowisk. Młodość, ta buńczuczna, kipiąca porywami życia młodość, huczy tam i zbiera się bardzo licznie. Wszystkich, których pan tam znajdzie, można uważać za ludzi o świeżych, szerokich horyzontach, nowej nie zatęchłej myśli, o mentalnościach, którym warto poświęcić parę godzin swego przymusowego bezrobocia. Miewamy tam co tydzień referaty i właśnie taki odbędzie się dzisiaj. Jeżeli zatem propozycja moja odpowiadała by panu, to bardzo chętnie widzielibyśmy go w skromnym naszym lokalu. Kto wie, może pan tam kogo pozna, wejdzie w kontakt i w ten sposób wytoruje sobie drogę do przyszłości. Kto wie... dodała niemal szeptem.

— Pani jest zbyt łaskawa, doktorowo. Oczywiście za propozycji najchętniej skorzystam i gorąco za nią dziękuję.

Podawała adres i wyciągnęła doń rękę; teraz dopiero Wolski spostrzegł, że błyszczała na niej wazitka z czerwonych lśniących, jak świeża krew, rubinów bransoletka w formie wężyka. Była to jedyna ozdoba w skromnym ubiorze doktorowej.

— A zatym dziś o szóstej wieczorem—i skinęła głową na pożegnanie.

O godz. 6 wieczorem.

Lokal „Świtu” mieścił się przy ul. Pańskiej. Kiedy Wolski przybył tam nieco przed godziną 6, zastał już przedpokój dość gęsto obwieszony paltami, a w dużej, nie nazbyt czystej sali, kilkanaście osób wyłącznie młodych mężczyzn i kobiet. Panował ożywiony gwar, rozmawiano hałaśliwie, gestykulowano, a tu i ówdzie strzelił głośny śmiech. Przy drzwiach obok stolika siedział młody blady człowiek, prowadzący listę obecności, ujrawszy Wolskiego, natychmiast zwrócił się do niego.

— Proszę się wpisać na listę obecnych.

Wolski pochylił się nad stolikiem i wyraźnie wpisał swe nazwisko.

— A, to wy jesteście Wolski? Wprowadza was doktorowa Werenhard, zapytał młodzieniec, spoglądając w listę. Pozwolicie, że się przedstawię: jestem Herzberg. Wy u nas pierwszy raz?...

— Tak.

— Bardzo mi przykro, że nie będę się mógł wami narazie zająć, ale muszę pilnować listy. Zresztą u nas panuje kompletna swoboda i prędko zaznajomicie się z towarzystwem. Proszę was, wejdźcie na salę.

Wolski ulokował się pod oknem i zapaliwszy papierosa, obserwował zebranych; uderzyło go od razu, iż byli to przeważnie Żydzi, sądząc z wyglądu, młoda inteligencja, może studenci, biurowcy, w każdym zaś razie nie młodzież, jak mógł wywnioskować, robotnicza.

Polskich fizjonomii dojrzał zaledwie kilka, a chociaż sala wypełniała się szybko i zebranie zapowiadało się liczne, poczuł się przez chwilę odosobniony, całe to bowiem środowisko było mu obce, cudze i przeczuwał, że będzie zaledwie jednym z kilku obecnych tutaj przedstawicieli aryjskich.

— Słota rasowa, zrobił sobie zastrzyk myślowy, by w ten sposób przystosować się do otoczenia.

Rozglądał się uważnie czy nie zobaczy Werenhardowej, ale dopiero po chwili ujrzał, jak wyszła z przyległego pokoju w towarzystwie jakiegoś łysego mężczyzny, w wielkich amerykańskich okularach, o twarzy jakby obrzękłej i apatycznej; obok nich stała drobna, szczupła Żydówka z teką pełną papierów, słuchając z widoczną uwagą, co mówiła doń doktorowa.

Począł przeciskać się przez salę, zdążając w jej stronę, a ta spostrzegłszy, skinęła nań głową i usta jej okraślił ten pociągający uśmiech, jaki zaobserwował już rano.

— Bardzo się cieszę, że pana tutaj widzę—powiedziała, witając się z nim.

— Pan Wolski—zwróciła się do owego łyszego towarzysza—pan profesor Rundlein, panna Blasser. — Moja Felu—powiedziała—pan Wolski jest u nas po raz pierwszy, proszę cię zatem zajmij się nowym naszym gościem, zapoznaj go z członkami zarządu i oddaj w ręce komu należy. Po odczycie pana profesora jeszcze się na chwilę zobaczymy i porozmawiamy.

— Proszę was, chodźcie—powiedziała Blasserówna—póki się wykład nie zacznie, przedstawie was wybitniejszym członkom naszego towarzystwa.

Sieć z czerwonej przędzy

Wprowadziła go w grupę młodych ludzi i przez parę minut Wolski, wyciągając dłoń, ścisnął podawane mu ręce, przy czym padały końcówki nazwisk: stein, berg, mann i tylko jedno padło, które inaczej zadźwięczało mu w uszach — Tulicki.

Nie zdążył jeszcze zamienić nawet kilku słów, kiedy Blasserówna ujęła go za łokieć i podprowadziła do innej grupy. Obok dwu młodych ludzi stała dziewczyna niezwyklej, wybitnej urody. Jej małą, kształtną głowę pokrywał jakby kask z czerwonej rozpalonej, miedzi rudych włosów. Ciemne brwi i czarne przepaściste oczy patrzyły zuchwale, a małe karminowe usta wychylały się jak soczysty owoc z prześlicznie stonowanej, pobladłej twarzy. Te usta przy zuchwałych, groźnych oczach miały w sobie taką słodycz, taki urok, iż Wolski pomyślał, że tylko na średniowiecznych portretach Rubensa można spotkać podobne głowy. Spod obcisłej zielonej sukni wychylały się nogi wysokie, smukłe, łakome.

— Ewo — zwróciła się do właścicielki zielonej sukni — pan Wolski jest nowym naszym członkiem i pragnie poznać część towarzystwa. Ja muszę iść do doktorowej, oddaję ci go więc pod opiekę i zajmij się, proszę, naszym kolegą.

Ewa Karówna obrzuciła przelotnym spojrzeniem Wolskiego, skinęła mu lekko głową i w dalszym ciągu rozmawiała ze swoimi towarzyszami. Tymczasem sala zappełniła się prawie doszczętnie, kłęby dymu snuły się leniwymi smugami około zapalonego żyrandola, gwar wzrastał coraz silniejszy, ale oto rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka i wszyscy z pośpiechem poczęli zajmować miejsca.

— Siadajmy — zwróciła się Ewa do Wolskiego. — Stać godzinę podczas wykładu profesora to perspektywa nie nazbyt przyjemna i zajęła miejsce pod ścianą, wskazując mu obok siebie krzesło.

Wysoka temperatura sali powoli opadała, gwar cichł, przesuwano tylko jeszcze krzesłami, lokując się wygodniej do wysłuchania odczytu, który też zaraz po następnym dzwonku niezwłocznie się rozpoczął. Za małym stolikiem prelegentem z nieodłączną karafką wody i dzwonkiem, stanął ów łysy blondyn o apatycznej twarzy, którego doktorowa tytułowała profesorem. Powitały go liczne brawa.

— To jest profesor Rundlein — udzieliła mu szeptem informacji. — Świetny umysł i świetny mówca. Zobaczycie.

Rundlein zaczął mówić. Z początku głos jego brzmiał jakby niepewnie, ale już po kilku zdaniach Wolski przekonał się, iż był to zwykły trick, efekt mówcy, słowa bowiem płynęły potoczyscie, zwięźle, w świetnej zbudowanej formie, a przy całej doskonale opanowanej technice i modulacji, istotnie wywierały głębokie wrażenie. Profesor mówił o stosunku człowieka do przyrody. Wychodząc z założeń Jakuba Rousseau, dowodził, że człowiek współczesny oderwał się od natury, zignorował ją, zlekceważył. A wszak człowiek dopiero w zetknięciu z przyrodą czuć się może szczęśliwy, w zespoleniu z nią odnajduje samego siebie, czerpiąc siły nie tylko fizyczne ale i duchowe.

— Zakłamanie, obłuda — wywodził prelegent — doprowadziły do tego, że przestaliśmy być wolnymi, swobodnymi ludźmi. Doktrynerskie systemy faszyzmu wyzuwają nas z najcenniejszej wartości, jaką posiadamy — wolności.

Te systemy odbierają nam wolność na każdym kroku, każą nam myśleć kategoriami dla nas obcymi, wtlaczają nas w jarzmo polityczne, socjalne i społeczne. Wolność — mówił swoim wspaniałym, modulującym głosem — pozostała dla zateębłych mas niewolników współczesnych szczątkiem wspomnień, papierowym echem, bo ci pospolici zjadacze chleba, ci ludzie, którzy znają jedynie wymiar żołądków, nie pragną niczego więcej ponad miskę jedła i snobizm swego małego, pospolitego życia.

— Człowiek od urodzenia brodzi w nieprzebranym morzu ustaw, paragrafów, kodeksów, kanonów i przesądów. Kościół, państwo, administracja, sąd, władze miejskie, sanitarne, drogowe i tysiące innych budują co dnia, co godzinę skaliste progi, na które człowiek musi wspinać się, mozolić i skręcać kark. A my chcemy wolności — wolności socjalnej i osobistej!

Powstaje się dzisiaj na nagizm. A cóż to jest właściwie nagizm? Czy nie jest to zbliżenie się do natury, do przyrody? Czy nie jest to wyzwolenie się człowieka z krępujących form, narzuconych mu przez obludę? Oczywiście, mówił Rundlein, nie propaguję nagizmu, jaki w naszych warunkach, chociażby nawet biorąc względy klimatyczne, jest nie do zastosowania, ale staje w obronie samej zasady wolności, zasady wyzwolenia się człowieka z tego jarzma form, jakie narzuca mu bezduszna i bezmyślna machina, kierowana przez tępotłowców i zabijająca najcenniejszy skarb, jakim jest wolność i indywidualność jednostki!

Cały wykład utrzymany był do końca w tym stylu. Jego przewodnią myślą było hasło zerwania, potargania wszelkich praw, ograniczają-

cych człowieka, trzymających na wodzy jego ślepe instynkty i puszczenia go samopas wedle busoli własnych upodobań, namiętności i widzimisię. Nie trudno było zrozumieć do czego ten świetny wykład, przeprowadzony inteligentnie, zręcznie, z całym zrozumieniem młodych, bezkrytycznych umysłów, dąży. Słowo wolność — wolność nieograniczona żadnymi względami, strzelało raz po raz jak raca, rozpryskiwało się stubarwnym fajerwerkiem efektu i rozpalało tę gromadę słuchaczy, wpatrzonych w postać prelegenta.

Po referacie zerwała się istna burza oklasków; ten mały tłum opanował jakby szal, histéria, młode kobiety aż zachryły, wyjąc dzikimi głosami: brawo, brawo! Rundlein kłaniał się z lekkim uśmiechem i chłodnymi oczami, potyskującymi z za szkieł okularów, patrzył na gorączkowe, pijane uniesienie sali.

Wolski bił również brawo, porwany fascynującą siłą przemówienia, nie wnikając zresztą głębiej w jego treść. Ulegając ogólnemu nastrojowi, zasugerowany wrzącą temperaturą, składał dłonie do coraz silniejszych oklasków, obserwując jednocześnie spod oka Ewę. Siedziała z tajemniczym półuśmiechem na twarzy, bijąc również lekko brawo i spod przymrużonych powiek obserwowała kotłujący się tłum na sali.

— Jakież wrażenie? — spytała półgłosem.

— Wspaniałe — odpowiedział szczerze. Co za świetny mówca, jaka siła przekonywania. Słuchałem tego wykładu z prawdziwą istotnie przyjemnością.

Uśmiechnęła się. — Profesor gdziekolwiek mówi, porywa tłumy. W Paryżu jego wykłady cieszą się niezmierną popularnością i wywołują

ją prawdziwy entuzjazm. To jest genialny umysł i przekona się pan wkrótce, że nazwisko profesora Rundleina powtarzać będą miliony ust.

— Ach, więc profesor wyklada i w Paryżu? — zapytał ze zdziwieniem.

— Tak... — odpowiedziała przeciągle: — profesor właściwie mieszka zagranicą i w Polsce bawi tylko czasowo. Nie służy mu tutejsza atmosfera — przy czym słowa te wypowiedziała tak dziwnym głosem, iż Wolski nie wiedział, czy Karówna żartuje, czy istotnie mówi serio.

Tłum, zebrany na sali, począł się powoli rozchodzić, i uwagi jego nie uszło, że wychodzono stopniowo, grupami, skutkiem czego sala opróżniała się bardzo powoli. Ogarniając prześliczną postać Ewy spojrzeniem, rozmawiał z nią czekając na wyjście, gdy zbliżył się jeden z poznanych młodych ludzi i rzekł.

— Wolski, doktorowa prosi was na chwilę do siebie. Jest w sekretariacie.

Skinawszy Ewie głowę, poszedł do przyległego obok sali pokoju, gdzie prócz doktorowej i Rundleina zastał Tulickiego i Blasserównę. Doktorowa wskazała mu miejsce przy stole, a Wolski siadając nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć.

— Nie wiem jak mam pani dziękować, za dzisiejszy niezmiernie miły wieczór. Dzięki panu, panie profesorze — zwrócił się do Rundleina — miałem istną ucztę duchową.

— Dajcie pokój, nie ma o czym mówić — uśmiechnął się Rundlein.

— Poruszałam z profesorem panu sprawę — zwróciła się doń Werenhardowa. Chcielibyśmy w jakikolwiek sposób ułatwić pana sytuację,

cię, ale narazie będzie to dość trudno... Trzeba trochę cierpliwości, drogi panie.

— Wy znacie podobno niemiecki? — zapytał Rundlein.

— Owszem, niemiecki znam bardzo dobrze.

— Hm... widzicie jest taka sprawa: mam parę broszurek do przetłumaczenia, ale są to rzeczy drobne, bagatelne i materialnie dało by to bardzo niewiele. Gdybyście się jednak zdecydowali...

— Ależ z największą przyjemnością, profesorze. W moich warunkach każda praca jest deską ratunku.

— A więc... Rundlein zamyślił się — a więc ja wam tę broszurę dostarczę. Przyjdźcie tutaj do Świt w wtorek wieczorem, Blasserówna wręczy wam książkę i zabierajcie się do roboty. Jest tego około osiemdziesięciu stron, w jakim terminie moglibyście dać rękopis? Upprzedzam tylko, iż jest mi potrzebny prędko.

Wolski zrobił rachunek myślowy i zdecydował. — W ciągu dwóch tygodni.

— Zgoda — potwierdził Rundlein. O warunkach materialnych pomówimy, a tymczasem zostawiam wam zadatek. Wyjął z grubo wypchanego portfela banknot pięćdziesięciozłotowy i położył na stole.

Wolski, zmieszany tą nagłą transakcją, nie chciał narazie przyjąć pieniędzy, ale Rundlein powiedział krótko.

— Każda praca musi być wynagrodzona. Tylko tutaj panują takie stosunki, że wymaga się od ludzi, aby pracowali i zdychali z głodu.

Wolskiego ogarnęło wzruszenie. Oto ani Jaklicki, ani Rychter, chociaż swoi, bliscy, nie zrobili mu nic, a ci ludzie, których widzi po raz pierwszy, spieszą mu z pomocą, a jakakol-

wiek ona była, musiał oceniać ich intencje dobre i ludzkie.

Umówił się z Blasserówną, że stawi się po odbiór broszury i poczał żegnać się z obecnymi.

— Dwa razy tygodniowo w Świcie czynna jest czytelnia. Jak pan widzi, książek jest niewiele — powiedziała doktorowa, wskazując na kilka półek z książkami — ale dobór zdaje się dość szczęśliwy. Może pan korzystać z nich bezinteresownie.

Wolski podziękował i skierował się do sali; nurtowało go pytanie, czy zastanie tam jeszcze Ewę, rzucił więc ciekawym spojrzeniem i ujrzał ją rozmawiającą z Herzbergiem. Zbliżył się przeto powoli, a ona spostrzegłszy go, zapylała.

— Konferencja już skończona? a więc idziemy. Dowidzenia Herzberg.

Skierowała się do przedpokoju i poczęła ubierać. Przy podawaniu jej eleganckiego futra z wielkim puszystym kołnierzem, ogarnął go mocny, mdły zapach perfum, bijący z odzienia. W małym bereciku przesuniętym na bok głowy, w wielkim puszystym kołnierzu, skąd wyzierała prześliczna jej twarz, stanowiła tak piękny obraz, że nie mógł oderwać oczu od całej tej postaci, wiejącej młodością, urodą i płomiennym warem życia.

Wyszli na ulicę i skierowali się w stronę Mariańskiej.

— Jeżeli pan chce mnie odprowadzić, to z przyjemnością, ale uprzedzam, iż mieszkam dość daleko, bo w samym środku żydowskiego ghett'a—na Milej. Ładne okolice, co? Moi rodzice, to starzy, bardzo poczcwi żydzi, ale zasiedzieli jak miedź z przed stu lat.

Poslizgnęła się lekko na trotuarze i ujęła Wolskiego pod rękę.

— Będę szukała oparcia w panu, bo choć jestem niewiasta wyzwolona i samodzielna, ale boję się... upadku...

Przycisnął jej rękę ku sobie i poczuł przez puszyste futro promieniujące ciepło ciała; patrząc z boku, widział jej śliczny, kameowy nieomal profil twarzy, maleńkie czerwone usta i te oczy czarne, piękne, przepaściste, jakie raz po raz zwracała ku niemu. Szli chwilę w milczeniu, po czym Ewa zaczęła mówić.

W naszym Świcie nie zawsze jest tak uroczyście jak dzisiaj, czasami urządzamy sobie t. zw. wieczory klubowe, a wówczas jest oczywiście swobodniej, milej i weselej. Trochę tańczymy, trochę sobie wstawiamy...

— Ooo! — zaśmiał się Wolski.

— Cóż pan chce, minęły te czasy sielskie, anielskie. kiedy młoda panna w towarzystwie dwóch ciotek lub mamusi chodziła na wieczorki, deklamowała kawałki z Deotymy, a młodzi ludzie wyrastali na bohaterów a la Dewajtis. My jesteśmy pokoleniem innym, wyzwolonym, swobodnym jak ptak. Życie bez przesądów—to grunt. Indywidualna wolność bez żadnego jarzma, bez żadnej kontroli nad swoją własną jaźnią—co nie wyklucza, niech pan nie sądzi, celów ogólnoludzkich, wzniosłych, zakrojonych na miarę całego świata.

— A pani hołduje czemu: — czy owym cełom osobistym, czy tym szerokim, o jakich pani mówi?

— Jedne nie wykluczają drugich. Jako człowiek prywatny, jako osobowość chcę żyć i użyć, chcę wiedzieć, że życie ma smak nie tylko codziennego chleba, ale i odświeżonego

wina. Proszę was, kto mi zwróci młodość, jaka jest cena, która mogła by opłacić strwonione marnie młode lata? No, darujcie, ja nie dam się zamknąć w pudełku szablonów, przesądów, dogmatów i nie myślę skończyć życia w ten sposób, aby wyjść za pierwszego lepszego z brzegu szmejgelesa za męża, cerować mu skarpetki, a może i cieszyć się, że co rok, to prorok. O, nie! Patrzcie Wolski, jak żyje na świecie wolna, swobodna kobieta. Patrzcie, jak na przykład w takiej Rosji kobieta jest pełnowartościowym człowiekiem, indywidualnością, idącą obok mężczyzny krok w krok, otrząśniętą z wszelkich przesądów i sentymentalnych legend, jakie narzuca głupota ludzka. A praca ideowa, praca dla ludzkości? Ja pracuję bardzo wiele, nie myślcie, iż jestem bezduszną i bezmyślną lalką, która jedynie i wyłącznie zamyka się w egoizmie własnego ja. Kto dziś, proszę was, nie żyje i nie pracuje dla wspólnej idei, idei ogarniającej płomieniem ludzkość, ten nie wart jest miana współczesnego dojrzałego człowieka.

Tymczasem doszli do Miłej i stanęli przed brudną, odrapaną kamienicą.

— Tu są moje pielesze domowe, z zewnątrz, jak widzicie, nie nazbyt pociągające, ale ja potrafiłam sobie urządzić swoje osobiste asilum tak, że można jeszcze wytrzymać. Może kiedy odwiedzicie mnie? Czasami przyjmuję swoich dobrych przyjaciół... Filiżanka słodkiej mokki, ładne tango na palefonie i chwila miłej rozmowy—oto co mogę wam obiecać...

Wolski nic nie odpowiedział, serce biło mu żywiej, pochylił się zatem w milczeniu i zamiast odpowiedzi, przycisnął jej rękę do ust.

Ręka ta była pachnąca, ciepła i delikatna w dotknięciu jak atlas.

Powracał do domu z natłokiem wrażeń w głowie. Zebranie w Świcie, Werenhardowa, Rundlein, jego odczyt, poznane towarzystwo, wszystko to wytwarzało lekki chaos, ale ponad ów zamęt wrażeń ciepłą falą szło uczucie wdzięczności dla tych ludzi, którzy, widząc go po raz pierwszy, wyciągnęli ręce z pomocą, a jeszcze cieplejszą, nieomal gorącą—na wspomnienie Ewy.

Pod powiekami, na źrenicach oczu, jakby wytrawiony na soczewkach, tkwił obraz tej prześlicznej, oryginalnej, niepospolitej dziewczyny, która zuchwale patrząc w twarz życia, młodym i bujnym głosem rzucała krzyk: chcę żyć! chcę swobody! Jestem wolny, złotopióry ptak!

Powrócił do domu i postanowił nazajutrz rano zadzwonić do Gasperów, aby podziękować im za poznanie go z doktorową i zdać relację z tego miłego wieczoru. Nie wiedział, ile przyniesie mu praca, powierzona przez profesora, ale w tej chwili czuł szeleszczący mile banknot w kieszeni, ten banknot, jakiego w całości nie oglądał już od paru miesięcy.

Ze swobodniejszą myślą, z lepszą wiarą w jutro położył się spać. Sen jednak nie przychodził. Pod zaciśniętymi powiekami nie wiadomo skąd, z czarnej, przepaścistej głębi wynurzały się małe, karminowe usta i płonące sforsoryzowane oczy. Wtulił głowę w poduszkę i kiedy już zasypiał, w sennym majaczeniu zobaczył nagle wystrzelającą z chaosu resztek zmaconej świadomości postać Janki, jak z rozdzierającym krzykiem biegła ku niemu...

Ale w tej chwili sen spadł na znużone powieki i senne widziadło roztopiło się w beładzie mózgu.

Powoli jedziemy, powoli...

Kiedy w oznaczonym dniu Wolski przybył do czytelni Świt, zastał tam poza Blasserówną, kilka osób, a wśród nich Herzberga i Tulickiego.

— Przyszliście po książkę? zapytał Herzberg.

— Właściwie nie. Dostałem małą pracę od profesora, więc w tym czasie nie miałbym możliwości czytania.

— Ce, ce, cmoknął Herzberg, od profesora! No, wiecie Wolski, wy macie ten łut szczęścia. Czy wy dawno znacie Rundleina?

Indagację przerwała Blasserówna, która widocznie zirytowana, zwróciła się do Herzberga.

— Co wyście Herzberg taki ciekawy? Czy wy nie macie nic innego do roboty, tylko zawracać Wolskiemu w głowie, a protokół z ostatniego zebrania będzie czekać jeszcze tydzień?

— To nie wasza sprawa.

— Owszem moja, — zaperzyła się chuda żydóweczka i zwróciła się do Wolskiego. — Proszę was na chwilę.

Wręczyła mu nie wielką broszurę i przypomniała.

— Profesor bardzo prosił, żeby to było dobrze i prędko. No, ja wiem, że wy to zrobicie, prawda?

— Ależ oczywiście. A komu mam wręczyć rękopis?

Blasserówna chwilę się zamyśliła.

— Ja zobaczę się z profesorem i powiem, jak to urządzić. Może chcecie jaką książkę z czytelni, może przejrzyście sobie katalog?

Wolski podziękował i przejrzał niewielki katalog czytelni Świt. Uderzyła go przewaga pisarzy rosyjskich: Mołotow, Gładkow, Piatnikow, Erenburg, Radek zajmowali znaczną część tej literatury; młodzi liberalizujący pisarze polscy mieszały się z dziełami Marksa i Dmitriewa obok szeregu pisarzy, znanych jako wyrażni liberali i masoni z literatury francuskiej.

Wolski przez chwilę spodziewał się, iż może spotka tu Ewę, ale nadzieje go zawiodły, nie chcąc przeto tracić czasu, pożegnał się i skierował ku wyjściu, a wraz z nim podniósł się i Tulicki.

Wyszli razem na ulicę i poczęli rozmawiać o Świcie, a raczej rozmowę tę wszczął Tulicki.

— Widzę, że wsiąkacie w naszą organizację. Kiedy lepiej ją poznacie, przekonacie się, iż jest ciekawa i daje możliwość szerszej roboty. To jest właściwie taki etapik do gruntowniejszej pracy, a jako wprowadzeni przez Werenhardową i zazębieni o Rundleina, macie możliwość odegrania tu — myślę — pewnej wybitniejszej roli. Nie można powiedzieć, by Świt chorował na brak mocnych i dobrych indywidualności, ale każda głowa z nową i świeżą inicjatywą, każda para rąk do roboty zawsze się przyda. Kaufman, Szttygiel, Tenenbaum, Wasserman, Karówna, no... Herzberg, to są ludzie, na których warto zwrócić uwagę.

— Karówna bierze żywy udział w organizacji?

— Karówna, to pierwszorzędny materiał na

człowieka o szerokim stylu. Inteligentna, orientująca się, wolna od wszelkich przesądów, pełna inicjatywy, oddaje organizacji bardzo poważne usługi. To jest trochę szalona dziewczyna, ale właśnie dlatego ciekawa...

— A Blasserówna?

— Blasserówna — to wół roboczy. Sekretariat, czytelnia, sprawy polecone, każdy kto nie odrobi swojego, spycha na nią, a Fela orze za wszystkich. Ale to wartościowa dziewczyna, ogromnie ceniona przez cały zarząd.

— A wy dawno pracujecie w Świcie?

— Owszem, odpowiedział krótko Tulicki, wobec zaś tego, że doszli do rogu ulicy, pożegnali się, przy czym Tulicki rzekł.

— W niedzielę oczywiście zobaczymy się na zebraniu, nie wiem kto tam będzie mówił, ale naogół referaty są zawsze ciekawe.

Wolski przeczytał gruntownie broszurę i przekonał się, że traktowała ona o korporacjonizmie światowych związków robotniczych, przy czym nie trudno było wywnioskować, iż ujęcie jej szło pod pewnym specjalnym kątem, atakującym w ostry, bezpardonowy sposób korporacjonizm, oparty o zasady chrześcijańskie, a natomiast podnoszący gorąco klasowe związki Francji, południowej Ameryki, przytaczając nieomal na każdej stronie ustrój podobnych organizacji w Rosji sowieckiej. Wiało z tego najwyżej żnijszym komunizmem, to też nie miał żadnych wątpliwości, że jest to robota nietylko tendencyjna, ale nastawiona wyraźnie na przekładnię komunistyczną, lecz jego haamulce duchowe i myślowe, pod wpływem ostatnich przeżyć, zasugerowane nowym, odrazu mocnym kontaktem ze Świtem, nie funkcjonowały już ani normalnie, ani logicznie, dla tego też machnął ręką

ką i zabierając się do tłumaczenia, pomyślał. — Robię to, co daje mi kawałek chleba. Ma Rundlein rację, że u nas się chce, by ludzie zdychali z głodu.

Zabrał się na ostro do roboty, pragnąc w terminie wywiązać się z zadania, dokładał wszelkich starań, aby praca jego zadowoliła profesora. Zaabsorbowany robotą, nie odpisał Jance na jej ostatni list, obiecując sobie co dzień wieczorem, iż uczyni to jutro. Jutro to jednak pochłaniała znów praca i w ten sposób czas zbiegł do niedzieli, kiedy poszedł do Świtu na zwykłe tygodniowe zebranie. Idąc na Pańską, cały czas myślał, czy spotka tam Ewę, a ledwie wszedł do dość gęsto zapelnionej już sali, oczy jego poczęły błądzić wśród tłumu zebranych, szukając złotej kaskady włosów i małych czerwonych ust. Nie spostrzegł jednak na razie ani Ewy, ani nawet doktorowej i Rundleina, natomiast podszedł do niego zaraz Tulicki i kilku młodych ludzi, a że rozmowa ogólnie obracała się około ostatnich wypadków na uniwersytecie i miała temperaturę mocno podgorączkową, przeto mimo woli i on wpadł w tok dyskusji, jaka wrzątkiem płynęła z ust zebranych.

— Bydło endeckie, chuligany! — pieniał się jakiś młodzieniec w rogowych okularach — to jest, proszę was, Azja, kanibalszczyzna, Hunowie XX wieku!

— Przybytek wolnej wiedzy chce się przeobrazić na zakrystię z krzyżykami na ścianach i urządzić oddzielne ławki, jak w średniowiecznym ghetto.

— Hańba! Wstyd!

— Ale my im, panowie, pokażemy, my, młodzież postępową, wolna od zgniłej kultury fa-

szysmu, nauczmy tych pacholków polskiego sentymentu.

Wrzawa rosła, oczy polyskiwały zgorączkowaniem, a na twarzach występowały rumieńce. Rozmawiano, krzyczano, gestykulowano i zdawało się, że ten tłum gotów jest w bojowym ataku walczyć o swoją postępowość, gdy nagle dzwonek uciszył nieco podniecenie, oznajmiając w ten sposób, iż wkrótce rozpocznie się odczyt. Wolski raz jeszcze obiegił uważnymi, niespokojnymi oczami salę i stwierdził, że Karówny nie ma wśród obecnych. Tymczasem z przyległego pokoju wyszła grupka osób z doktorową na czele, obok której tkwiła, jak zwykle, Blasserówna z teką pełną papierów i dwóch jakichś młodzieńców, Rundleina jednak nie było.

— Kto będzie dzisiaj mówił? — zapytał Wolski najbliższego sąsiada.

— Hirszbaum, prezes młodzieży postępowej.

Wykład wkrótce się rozpoczął, a jakkolwiek prelegent nie był na miarę Rundleina, to jednak odczyt był nietylko zupełnie poprawny, ale skonstruowany doskonale, przeprowadzony spokojnie, wprowadzający argumenty mocne, chwilami dynamitowe. Hirszbaum mówił o zadaniach młodzieży postępowej, o jej roli i stanowisku wobec fali faszystowskiego nacjonalizmu, ironizował zapędy narodowościowe i pod koniec zahaczył o ostatnie wypadki uniwersyteckie.

— Hańba endekom!

— Precz z faszyzmem!

— Precz z rasizmem polskim! Zerwały się na sali okrzyki, powstał tumult, zamieszanie i mimo dość dyskretnego dzwonka przewodniczącego, wrzask nietylko nie ustawał, ale przeciwnie, wzrastał. Wobec tego, że wykład był

już skończony, prelegent zszedł z estrady, a Wolski znów oczami wbił się w gęsty, skotłowany tłum. Teraz dopiero zobaczył Ewę, jak stała oparta o framugę drzwi i z uśmiechem powtarzała słowa okrzyków zebranych. W czarnej, głęboko wyciętej sukni, była tak pełna uroku, że Wolskiemu nagle dech uwiązł gdzieś w pół piersi. Zobaczywszy go, uśmiechnęła się lekko i zakrywając czarne swoje oczy ciężkimi powiekami, skinęła nań głową.

Kiedy zamierzał podejść, aby ją powitać, spostrzegł na sali Werenhardową, na której widok gwar nieco ucichł, a znaczna grupa młodzieży skupiła się wokół przewodniczącej Świtu. Przywitała go życzliwym uśmiechem, przy czym chwilę rozmawiali o odczycie i dkusji, aż wreszcie doktorowa spytała.

— Jakże się pan czuje w naszej organizacji?

— Doskonale, pani doktorowo. W tej atmosferze swobody i wolnej wymiany myśli, oddycha się głębiej i z większą ufnością patrzy w życie.

— Bardzo się cieszę z tego, co pan mówi i mam nadzieję, iż z czasem wrośnie pan między nas jeszcze gruntowniej. Co do pańskich spraw, to myślę o nich i nie tracę ich z oczu.

Pożegnał ją i szybko zbliżył się do Karówny, która otoczona przez grupę obecnych, dyskutowała żywo, przedkładając coś energicznie jakiemuś młodzieńcowi o zwichrzonej, czarnej jak aksamit czuprynie. Stał na uboczu i słuchał w milczeniu dyskusji, jaka trwała tak długo, że aż Blasserówna, jako oszczędna gospodyni lokalu, zgasła światło w dużym żyrandolu, pozostawiając tylko małe boczne lampy.

— Wobec tego, że Fela nas wyprasza,

Sieć z czerwonej przędzy

chodźmy — i gromadką wysypali się na ulicę. W parę osób skierowali się ku Marszałkowskiej, ale stopniowo towarzystwo malało i wreszcie Wolski pozostał z Karówną sam.

— Pani nie do domu?—zapytał.

— Nie, odpowiedziała. Mam randkę i idę na Koszykową. Szli zatem przez rojną, hałaśliwą ulicę, roztrzęsioną w swoim tempie nieustannego ruchu dzwonekami tramwajów, klaksonami aut, strzelającą jaskrawymi neonami reklam i wystaw. Wieczór był mroźny, ale suchy i pogodny. Fala ludzka w wesołym świątecznym ożywieniu wlewała się do jaskrawo oświetlonych wewnątrz kinowych bram, kawiarni, restauracji.

— Lubię takie tempo życia—mówiła Ewa, bo lubię wszystko, co porywa, oszałamia, popycha naprzód. Nie znoszę bierności i bezruchu. Życie, mimo wszystko, ma w sobie tyle piękna, tyle magnetycznej, pociągającej siły, że tylko ślepi nie widzą, ile można zeń wycisnąć. Ach, jakże bym chciała znów być w Paryżu, zanurzyć się w ten odmet światła, ruchu, szaleństwa, tych wspaniałych kawiarni, music-hallów, w ten cały urok, jaki posiada w sobie ten nowożytny, ale jakże słodki Babel!

— Zna pani Paryż?

— Znam. Spędziłam tam pewien czas jako sekretarka profesora Rundleina.

— Ach!... I Wolski urwał nagle, jakaś bowiem zła myśl ukąsiła go, niby zjadliwy, jadowity owad.

W milczeniu prawie doszli na Koszykową i dopiero żegnając się, spytał.

— Kiedy panią zobaczę?

— Kiedy?... A kiedy pan by chciał?...

— Zawsze, ciągle, bez ustanku! — odpowiedział porywczo.

Zaśmiała się krótko.—A więc... w niedzielę na zebraniu. I skinąwszy mu głową, wbiegła do bramy.

Wracał do domu z dziwnym przygnębieniem, jakie nagle padło mu na myśl i duszę. Czuł, że coś się w nim rozdwaja, że jakieś ręce mocne i konsekwentne wprowadzają go krok za krokiem na inny, nowy tor, który biegnie w nieznanne. Był nadto trzeźwy, aby nie rozumieć, że jego przynależność do Świtu, zażebienie się o Rundleina, o Werenhardową musi stworzyć konsekwencje, których wprowadzenie narazie nie mógł sformułować, lecz nie mniej czuł podświadomie, iż przyjdą jako naturalny wynik tych stosunków. Nie mniej też zdawał sobie sprawę, że Świt pod pokrywą postępowości, może kryć w sobie inne zupełnie prądy, ale, jak na razie przynajmniej, leżało to tylko w sferze domysłów. Zasadniczo nie różnił się z poglądami na to, co słyszał w Świcie; już z okresu swoich studiów wyniósł i wyrobił w sobie przekonania w znacznej mierze oparte na najnowszej młodej literaturze dużego liberalizmu myślowego i postępowej tolerancyjności w stosunku do całego szeregu zjawisk życiowych i społecznych. Świt go zatem nie raził, a że uprzedzeń rasowych nie posiadał, uważał je za przeżytek, za garb na plecach człowieka współczesnego, przeto i towarzystwo, z jakim się zetknął, nie oddziaływało na jego stępiącą w tym względzie wrażliwość.

Wolski był człowiekiem niewątpliwie inteligentnym, ale niestety—bezkrytycznym, przyjmował pewne zjawiska w sposób nieomal materialny, nie precedzając ich przez duchowy

filtr rozwagi i głębszego wejrzenia w istotny, prawdziwy sens. Załamanie, jakiemu uległ w ostatnich miesiącach, dręcząca niepewność jutra, gorzkie jak piołun uczucie żalu i odrazy do stosunków, jakie wyrzuciły go poza nawias normalnego społeczeństwa, wszystko to sprężnięte razem pchało go z fatalistyczną siłą na ów tor, jaki biegł po pochyłej w tajemniczą przyszłość, rozświetloną oczami Ewy...

Czynił sobie gorzkie wyrzuty, iż dotychczas nie odpisał Jance, ale tłumaczył się zaabsorbowaniem pracą Rundleina, pocieszając się nadto, że uczyni to w najbliższych dniach.

Istotnie, w kilka dni potem odpisał, ale przeczytawszy list, doznał niemiłego wrażenia. Po raz pierwszy w tej korespondencji do Janki wyczuł jakieś niedomówienia, sztuczność, a istotną treść pokrywał wprowadzając bardzo serdeczny, lecz w gruncie rzeczy pusty frazes. Na razie chciał list zniszczyć, ale wobec tego, iż termin oddania pracy dla Rundleina zbliżał się za kilka dni, odstąpił od zamiaru, przyrzekając sobie, że wkrótce odpisze i obszerniej i inaczej, tak, jak zwykle pisywał do kochanej swojej dziewczyny.

Wreszcie ukończył tłumaczenie i rękopis, stosownie do umowy, zaniósł Blasserównie do Świtu. Chowając go do szuflady biurka, rzekła:

— Dziękuję wam, ja porozumiem się z profesorem, a wy ze mną. Zostawię wam numer telefonu i w ten sposób się skomunikujemy. Nie będzie to mój telefon — dodała, jakby tonem tłumaczenia, — ale w pewnych godzinach możecie mnie tam zastać.

W parę dni potem, Wolski zatelefonował do Blasserówny, która oświadczyła, że Rund-

lein będzie na niego oczekiwał w Świcie, wyznaczając dzień i godzinę tego spotkania. Kiedy w oznaczonym terminie przybył do lokalu na Pańską, zastał tam tylko profesora i Blasserównę; witając się z nim, Rundlein od razu przystąpił do sprawy.

— Muszę wam podziękować za rękopis, doskonale wykonaliście robotę, a o to mi właśnie chodziło. To nie jest, jak widzę, suche tłumaczenie, ale bardzo poprawna forma literacka i wczucie się w treść zagadnienia. Prawda, jaka to ciekawa rzecz? Będę chciał powierzyć wam jeszcze nową pracę, jednak nie wiem, jak się na razie warunki ułożą, prawdopodobnie bowiem będę musiał na pewien czas wyjechać... A jak wasze sprawy, Wolski?

Uśmiechnął się mętnie i odrzekł:

— Bez zmian.

Rundlein chwilę się zamyślił. — Coś trzeba będzie z tym zrobić, bo nie podobna przecież, żeby zdolny, wartościowy człowiek, za którego was uważamy, jednostka, która dla sprawy ogółu może i powinna coś uczynić, przymierała poprostu głodem. Oto macie jaskrawy obraz stosunków. W to zagadnienie trzeba wnikać głębiej, od podstaw i dążyć do głębokich reform i przemian. To nie jest sprawa jednej posadki, to jest sprawa wielkiej posady dla milionowych mas. No, tak, pomówimy o tym kiedyś, a tymczasem proszę was honorarium. Wyjął z kieszeni zwitek — widocznie uprzednio przygotowanych już banknotów — i wręczył je Wolskiemu.

Chwilę jeszcze rozmawiali i kiedy Wolski zamierzał opuścić już lokal, do pokoju wszedł Tulicki.

— Ja tylko na chwilę — powiedział, witając

się z obecnymi. — Felu, małeńka sprawa do was — i przeszedłszy w kąt pokoju, począł coś szeptać Blasserównie, oddając jej jakieś papiery czy listy. — Wychodzicie? — zwrócił się do Wolskiego — w takim razie pójdziemy razem.

Na świecie padał śnieg mokry, wielkimi płatami, osypując wszystko białym puszystym kożuchem, który jednak szybko topniał, wytwarzając na ulicach i chodnikach lepkie, maziste błoto.

— Psia pogoda — mruknął Tulicki — grype można znaleźć tak łatwo, jak nieszczęście. Możebyśmy tak wstąpili gdzie na kieliszek wódki?

— Bardzo chętnie — zgodził się Wolski, czując pieniądze w kieszeni.

Weszli do jakiegoś małego baru, gdzie rzempoliła kiepska i nudna orkiestra. Tulicki wydał dyspozycję kelnerowi i po chwili wychylili jeden i drugi kieliszek.

— Wy jesteście bez posady, Wolski, prawda?

— Tak, wyobraźcie sobie i to od roku.

— Psia krew — syknął Tulicki — głoduj człowieku dlatego, że zmontowano taki system, który kością w gardle stoi milionom ludzi. Wy i podobni wam latami całymi skomlą o pracę, a przejdźcie po rozmaitych urzędach, bankach, dyrekcjach, kogo tam zobaczycie: durni, matolów, defraudantów, ex-złodziejasków, ale ci wszyscy panowie mają protekcję, palą kadzielnice pochwał dlatego, co jest — i dobrze im się wiedzie. Zgnily, parszywy ustrój, który musi, rozumiecie, musi ulec załamaniu, inaczej bowiem zginiemy. Krzyczą: nędza, kryzys, bieda, a przejdźcie po ulicach,

zobaczcie wystawy zawalone biżuterią, futrami, jedwabiami, popatrzcie no wśród najsroźszej zimy na nicejskie róże i afrykańskie truskawki, na ananasy, diabli nie wiedzą na co — kto to wszystko kupuje, kto nabywa, kto na to wszystko ma? Przecież nie tacy nędzarze, jak wy i ja, ale panowie z ciężkiego przemysłu, z wielkich latyfundiów ziemskich, dyrektorzy, dygnitarze, syndycy, ci wszyscy, którzy żywią się gorącą niemal krwią wyzyskiwanego proletariusza. I co tu gadać o sprawiedliwości — pokażcie mi gdzie ona mieszka, jak wygląda, bo w tej chwili jej jeszcze nie ma, ale słuchajcie Wolski — dodał z naciskiem — już idzie, idzie, rozumiecie?!...

Wypił kieliszek wódki, głęboko odetchnął i mówił dalej.

— A wy myślicie, że ja nie wiem, co to jest głód, nędza i życie złe, obite jak bezdomny i bezpański pies? Ja tygodniami całymi włóczyłem się od Powiśla do Agrykoli, od Agrykoli do Mokotowa, nocowałem po pustych cegielniach, głód skręcał mi kichy jak postronki, a palce z butów oglądały wszystkie pięć części świata. I teraz, do ciężkiej cholery, każą mi kochać tych opasibrzuchów, co rozbijają się limuzynami, tkwią po dancinгах i lekką ręką damie swego serca rzucają kiecki po kilkaset złotych, za jakie kilka rodzin robotniczych mogło by żyć spokojnie parę tygodni. No, ale mniejsza o to — machnął ręką — powrócimy jeszcze kiedyś do tego tematu, tymczasem zaś zaproponowałbym wam tego rodzaju sprawę. Ja jestem zastępcą redaktora Naszej Myśli; jest to tygodnik grupy młodzieży postępowej, organ wolnej wymiany myśli. Otóż potrzeba nam administratora, praca nie wielka, bo pis-

mo idzie przeważnie na kolportaż miejscowy, nie trzeba więc żadnej filozofii, a chodzi głównie o człowieka uczciwego. Polecenie was przez Gasperów i doktorową, daje zupełnie dostateczną gwarancję. Wprawdzie i pensja nie wielka, bo wszystkiego 150 złotych miesięcznie, ale znając języki, moglibyście dorobić sobie coś jeszcze w redakcji i w ten sposób przebrnąć przez najcięższe. A czas, Wolski, się zbliża, zbliża, tylko trzeba umieć patrzeć i przyspieszać chwilę wyzwolenia.

Wolski był oszołomiony. Propozycja ta spadała nań tak niespodziewanie, otwierała nowe, tak wyczekiwanie horyzonty, że na razie nie umiał dobrać słów podziękowania i dopiero po chwili począł gorąco i serdecznie ścisnąć dłoń Tulickiego.

Oczywiście zapili obficie sprawę, omawiając szczegóły wprowadzenia Wolskiego do administracji wydawnictwa, po czym rozmowa znów zeszła na tematy ogólne.

— Idzie czas, Wolski, idą czasy nowe, wspinałe, świeże. Tylko trzeba patrzeć, nadstawiać ucha i pracować. Rozumiecie: pra-co-wać!

Wolskiemu naraz ten mały, skromny bar wydał się dziwnie wesoły i jasny, muzyka przesłiczna, a życie wcale znośne i ciekawe. Kiedy powrócił do domu, z radością stwierdził, iż po uregulowaniu rachunku, z otrzymanych pieniędzy pozostało jeszcze nieomal siedemdziesiąt złotych. Okazuje się więc, że można jeszcze żyć, tylko trzeba trafić na odpowiedni gatunek człowieka, a on właśnie na ten gatunek trafił.

Ręce, które otwierają wentyle.

Wolski od paru miesięcy pracował w wydawnictwie Naszej Myśli. Już po kilku tygodniach zorientował się, iż sprawami pisma kieruje Rundlein za pośrednictwem Hirszbauera, sam rzadko kiedy udzielając się redakcji, alści właściwie nervus rerum był Tulicki, który spełniając rolę naczelnego administratora i sekretarza pisma, obejmował całokształt zagadnień i stanowił ową piastę, około której zbiegały się wszystkie zagadnienia wydawnicze.

Wolski czuł się w nowej swojej roli doskonale, administracja bowiem nie nastęrczała specjalnych trudności, natomiast redakcja była skupiskiem bardzo ciekawych typów ludzi, ruchu i wymiany myśli. Dość często spotykał tam i Gasperów, szczególnie zaś ją, biorącą żywy udział w wydawnictwie. Niejednokrotnie w dwóch małych pokojach ruch panował tak ożywiony, że obsiadano nie tylko krzesła, ale stoły i biurka i dyskusja nabierała temperatury niemal gorączkowej. Wszystkie zagadnienia zbiegały się około koncentrującej osi—wolność, swoboda ludu, walka klas, prawo do życia i decydowanie o jutrze szerokich, najgłębszych mas społecznych. Ku czemu ta cała akcja zmierziała, nie trudno było pojąć, ale Wolski, jak i poprzednio, nie chciał wnikać w głębszy sens tych zagadnień, lecz zmorfinizowany niejako efektowną bujnością słów, wsiąkał coraz bardziej w atmosferę, panującą w lokalu redakcji.

Pozycja jego nie tylko na terenie pisma, ale i Świtu ugruntowała się ostatecznie. Referat, jaki wygłosił na temat wyzysku i współczesnego niewolnictwa robotniczego w zakładach Forda, zjednał mu powszechne uznanie. Odczyt

opanowany był nie tylko pod względem literackim, ale pogłębiony jaskrawymi przenośniami, opartymi, nawiasem mówiąc, na literaturze bolszewickiej, sugerował jednak słuchaczy efektami, trafiającymi do ich przekonania. Nie tylko cały zarząd, ale nawet i Werenhardowa wyrazili mu po burzy oklasków uznanie. To zdecydowało o jego pozycji w Świecie.

— Wolski, to główka — mówiono powszechnie, zbierając się grupami na sali.

Wnikając w rachunki wydawnictwa stwierdził, iż były tam poważne niedociągnięcia, manka, nie wpłacone choć zainkasowane prowizje ogłoszeniowe, protestowane weksle. W książce kasowej panował wyraźny chaos i nieład rozrachunkowy; zwrócił się z tym do Tulickiego.

— Kanalia — mruknął. To pan Henryk Kapuśniak, poprzedni administrator urządził nas tak gładko. Oto macie rację — dlaczego szukaliśmy człowieka uczciwego i wybraliśmy was. Kapuśniak poprostu zdefraudował i teraz umyka przed nami jak zając. My go nie znajdziemy, ale wy może go przychwycicie; gdybyście się zechcieli wybrać i wziąć gościa za łeb, było by to bardzo pożyteczne i pedagogiczne.

Wskazał mu adres na Nowym Mieście, informując, że Kapuśniak mieszka u swojego ojca i Wolski oczywiście chętnie zgodził się na odbycie konferencji z byłym administratorem wydawnictwa.

Nie zwlekając, następnego dnia udał się pod wskazany adres. W żółtym piętrowym domu odnalazł niewielki warsztat szewski, nad którym wisiał mały zczerniały szyld: Abram Kapuśniak.

Pchnął drzwi i wszedł do wewnątrz. Ogar-

nęła go ciężka, stęchła atmosfera starego obuwia, skór, owa nieokreślona woń suszonych łachmanów i kiepskiego jadła. Nad małym warsztatem, zarzuconym stosem lichego obuwia, siedział chudy, pochylony żyd z siwą skołtunioną brodą i zaczerwienionymi oczami. Spod grubych szkielek okularów podniósł oczy i z zainteresowaniem spojrzał na wchodzącego.

— Czy tu mieszka pan Henryk Kapuśniak? — spytał Wolski.

— Tu mieszka Abram Kapuśniak, szewc — odpowiedział twardo stary. Tu żaden pan Henryk Kapuśniak nie mieszka, tu mieszkał kiedyś Hersz Kapuśniak, ale ten łobuz, ten gałgan już tutaj nie mieszka, bo ja jemu wyrzuciłem na zbity łeb. A co pan od niego chcesz?

Wolski stropiony, chwilę milczał, potem bąknął. — Mam interes...

— Uj, uj, interes. Jego właśnie te interesy to zrobiły na całego gałgana. Bo ja wiem, może trzy, może dziesięć razy dziennie to przechodzili do niego tacy, co mówili: mam interes. A on właśnie miał interes, żeby nie uczyć się, tylko latać jak ten wściekły pies po rozmaite dancingi, narade, kombinacje, bo ja wiem gdzie, po co, z kim? Ja mu mówię, Hersz, ty się ucz, ja za ciebie na te uniwersytetu płacę słony grosz, a ty z książką rzucasz w ką i latasz, jakby ciebie kto nadmuchał gazem. To on do mnie, rozumiesz pan, z pięścią: niech tata pilnuje buty, nie mnie, rozumiesz tata?

— To ja rozumiałem, ja patrzałem, ja jestem stary człowiek, mam już siedemdziesiąt lat i moje oczy dużo już na świecie widziały, ale na co ja miałem patrzeć, czy na to jak on w szabas pali papierosy, jak on je trefne,

jak on z dziewczynami lata na zabawie, jak on starego ojca nima za podarte cholewke, no, to co ja miałem powiedzieć?

— Ja byłem, panie, ciągle cierpliwy, ja czekałem, ale jak on do starej mojej żony rzucił się z krzeselkiem w rękę, to ja zrobiłem się lew, rozumiesz pan, dziki żbik, ja jemu wziąłem za łeb i powiedziałem: precz z mojego domu, ty nie jesteś porządny, uczciwy żyd, ty jesteś łobuz, szmejgeles, pętał!

Pogmerał nerwowo w rozłożonym obuwiu i mówił dalej.

— Ja nie wiem, co pan od niego chcesz, ale ja panu powiem co — pan jest młody, pan uciekaj od takie towarzystwo. Ja nie mówię, on nie jest zły chłopak, on jest tylko głupi, rozumiesz pan, głupi, on jeszcze jest taki jak ten mały bachor, co ciągnie smoczka z mlekiem. On jeszcze potrzebuje dostać od życia w skórę. Aj, panie drogi, jaki świat, jaki świat! Komunisty, anarchisty, bandyty, a człowiek uczciwy to chodzi jak ten wariat, jak ten głupi, sam jeden jak palec. Pan jesteś młody, pan nie pamiętasz jak to było, ale ja pamiętam. Żydki, jak żydki: handlowali, pracowali, siedzieli cicho — i było dobrze. Dziś przyszli ci młodzi, te wariaty, łobuzy i krzyczą: ty stary precz, ty jesteś głupi, ty jesteś dziki osioł, my wam pokażemy, jak się żyje, co znaczy żyd! No i co pokazali? Niemcy gonią żydów, Francuzi gonią żydów, Anglikanie gonią żydów, dzikie Araby gonią żydów i czy ja wiem, cały świat krzyczy precz z żydami. A już nie mówię u nas. U nas wszyscy zgrzytają z zębem i hurra na żydów. No i co oni pokazali, co?

A ja panu powiem jak było dawniej. Ja w te mieszkanie siedzę już czterdzieści pięć lat i na ten kościół — wskazał głową na śliczny kontur kościoła Maryi Panny — patrzę od swojej młodości. Tu, w tym kościele był ksiądz, uj, panie, co za ksiądz! złoty, kochany człowiek. Przechodzi rano, wtyka głowę przez okno i mówi: dzień dobry Kapuśniak. To ja odpowiadam: Bóg dał zdrowie księżu dziekanu. Panie Boże pomagaj. I tak co dzień, ile, ile lat.

— Aż raz na wiosnę, to przyszedł na mnie zły czas: roboty nie było, żona mi zachorowała, potem jedno dziecko, potem drugie, aż wreszcie jedno umarło i trzeba było wyprawić pogrzeb; a tu bida, brak roboty, choroba w domu. To w ten czas przychodzi księżu dziekanu, wtyka głowę przez okno i powiada: co to Kapuśniak, podobno u was choroba, nie-szczęście?

— Uj, powiadam, już gorzej być nie może.

A on na to powiada:

— Cicho, Kapuśniak, cicho, Bóg nigdy nie ześle więcej, jak człowiek udźwignąć może. Niech wola Jego przenaświętsza będzie pochwalona.

I wyciąga z portmonetki dwadzieścia rubli i powiada mi: masz tu bracie na poratunek. To ja rzuciłem się, żeby ucałować mu te kochane, złote ręce, a on mnie brudnego żyda wziął i przycisnął do piersi i znów powiada: wszyscyśmy bracia w Bogu Przedwiecznym.

— To widzisz pan, tak było, a dzisiaj jak jest? No, jak ma być, kiedy szachrajstwo, szelmstwo, gałgaństwo panuje nad całym światem. Człowiek do człowieka leci, jak pies z wyszczerzonym zębem, chce jego zarzynać, obed-

rzyć ze skóry, zamordować, bo wiesz pan co, serce człowieka zgubiło się jak igła w stogu siana. Otarł zaczerwienione oczy i z rezygnacją pokiwał siwą głową.

— Pan tego nie rozumiesz, boś pan młody, panu się też zdaje, że pan zawojujesz cały świat. A co to jest świat? Jak pan będziesz siedzieć sam, to pan pomyśl trochę, co to jest ten świat; pomyśl pan dobrze, ostrożnie, to pan zobaczysz, że stary szewc Abram Kapuśniak z Nowego Miasta, chociaż nie jest uczony, chociaż jak jego syn Hersz nie chodził na uniwersytetu, ale jest mądrzejszy od tych, młodych, co krzyczą: my, my! A co to jest to my? lajnoj!

Wziął jakiś but do ręki, przyklepnął kilka razy młotkiem i już zupełnie innym tonem dodał:

— Tu żaden Henryk Kapuśniak nie mieszka, szukaj go pan sobie na świecie.

Wolski wyszedł po tej rozmowie głęboko wstrząśnięty. Więc to tak, więc to tak, latało mu w myśli, ale na głębsze dyfundowanie tej sprawy nie było czasu, bowiem wróciwszy do redakcji, zastał sporo interesantów, a przede wszystkim zemocjowało go, szarpnęło jak dynamitem krótkie słowo Tulickiego:

— Mielście telefon od Karówny, zadzwoniła za godzinę.

Odebrało mu to swobodną myśl, wytraciło z normalnego toku pracy.

Stosunek jego z Ewą pogłębiał się z dnia na dzień. W jego rozpaloną krew ta dziewczyna przedziwnej urody wlewała się jak roztopiony ołów, parzyła mu mózg, osiadała na oczach jak ciężkie, słodkie widziadło... Po nocach majaczył mu obraz jej miedzianej kaska-

dy włosów, rankami w zamglonym, zmęczonym wzroku snuły się kontury węzowej, gibkiej figury... Nie wnikał, ani nie chciał rozważać, czy była to miłość, czy szaleństwo, ale wiedział, że obraz jej przekreślał wszelką rzeczywistość, która rozpoczynała i kończyła się tam, gdzie zaczynała się i gdzie zbiegała myśl o niej.

To też wiadomość od Ewy zelektryzowała go jak prąd o wysokim napięciu. Na każdy dzwonek podbiegał, chwycił za słuchawkę i w niecierpliwym rozczarowaniu stwierdzał, iż nie był to głos Ewy. Aż wreszcie w czarnej tubie zadźwięczały słowa.

— Ach, to wy Wolski? Mam wam coś do zakomunikowania, tylko uprzedzam—a discrecion. Dziś o godzinie dziesiątej wieczorem mamy w swoim małym kółku wieczór klubowy w Świcie. Składka po pięć złotych. Może przyjdziecie?

Oczywiście, roztrzęsionym ze wzruszenia głosem, odpowiedział, że się stawi. Kiedy przybył do Świtu, zastał w pokoju sekretariackim stół zastawiony białymi papierami, a na nim obszerną baterię butelek wśród licznych asortymentów zakąsek; okna były szczelnie pozasłaniane, towarzystwo istotnie nie wielkie, z najbliższych, z zaferowaną jak zwykle Blaserówną, pełniącą rolę gospodyni i z patefonem, jaki nie wiadomo skąd przyniesiony, wygrywał namiętne tango.

Ewa, w głęboko wydekoltowanej sukni, z ożywioną, roześmianą twarzą, królowała wśród tej niewielkiej gromadki; jej czarne, głębokie oczy, rozjaśnione radością, błyszczały jak diamenty, a usta rozchyłały się tak ponętnie, iż zdawało się, że wśród tych młodych warg mieszka niezgłębiona słodycz i upojenie...

Nastrój wziął od razu wysoki ton, który w miarę opróżnianych butelek, stawał się coraz swobodniejszy, pozbywający się wszelkich form, skrępowań, rozlewny nieomal aż do orgii. Wolski przez zasnutą mgłą alkoholu oczy, widział śmieszna figurkę Herberga, który podrygując w takt dzikiego tanga, przytulał do siebie chudą, na pół pijaną Blasserównę i pary podrygujące w pijackim zgubionym tempie pod takt chrypiącej muzyki patefonu. Raz po raz obijali się o niego tańczący, porwani murzyńską melodią, rozgorączkowani, nieprzytomni. Przyciskając Ewę do siebie i wirując w takt muzyki, szepnął zgorączkowanymi ustami.

— Kocham cię Ewo, kocham...

— Ach ty miły wariacie, wariacie...

Potem stracił już właściwie orientację, rachubę czasu i wymiar rzeczywistości. Lokal Switu zamienił się na podrzędną knajpę, w której kłęby dymu przesłaniały światło żyrandola, opar trunksów ćmił mózgi, a słodka jak miód melodia Margeryty sączyła się trucizną do serc i mózgów.

Snuł się pół przytomny za Ewą i bez przerwy powtarzał ciągle jedno i to samo wylewające mu się na wargi, jak gorący war, rozbryzgujący się pod parciem płomienia.

— Kocham cię Ewo, kocham...

— Jerzy, Jerzy—mówiła uśmiechając się do niego, czy ty wiesz kim ja właściwie jestem, czym jestem, dokąd dążę, jakie są moje plany i zakres działania?...

— Wszystko mi jedno, gdybyś była bodaj nawet szatanem, będę przy tobie i pójdę za tobą.

— A gdybym była szatanem wielkiej myśli, wielkiej prawdy, wielkich prądów współczesnych, gdybym była naprzykład... komunistką? Rozumiesz Wolski—komunistką—i wparła się weń płomiennym, gorącym wzrokiem.

— Ewo, czyż właściwie nie jestem nim? Czyż ideowo nie jestem związany z wami, z waszym ruchem, z tobą?

Nie odpowiedziała nic, tylko wstała i ujawniła go pod rękę, chwiejnym nieco ruchem pociągnęła w stronę przedpokoju. Na sali kipiało tango, a za oknami leżała głęboka, ciemna jak aksamit noc zimowa.

— Podaj mi palto—szepnęła.

Otulił ją futrem i czuł, że zęby szcękają mu jak w febrze. Zeszli na dół i ogarnęła ich głęboka nocna cisza ulicy. Podeszli do taksówki i kiedy znaleźli się wewnątrz, Wolski przyciskając jej pachnące ręce do rozstrzęsionych ust spytał.

— Dokąd jedziemy?

— W nowe jutro!...

— Kiedy rano powracał do domu, zdawało mu się, że opar alkoholu nie tylko nie uleciał z jego rozpalonego mózgu, ale burzy się tam i kłębi, napędzając fale gorącej, czerwonej krwi do rozszerzonych z upojenia oczu...

Polska, to święta rzecz!

Jest wczesny, wiosenny dzień; po błękitnym niebie przepływają leniwie białe, jakby utkane z waty chmurki, a słońce, głosząc triumf wiosny, rozlewa wokoło potoki blasków. Świat jest jakby przesłonięty przejrzystym zielonym tiu-

Sieć z czerwonej przędzy

lem. Wszystko, na cokolwiek spojrzeć—pola, łąki, ogrody, drogi stoją w zielonej młodej kurzawie, kipią, drgają i prężą się pod tchnieniem nowego życia.

W szkole dobiega ostatnia godzina lekcji; jak zwykle przed świętem, pani ma pogadankę, a dzieci ogromnie lubią, kiedy młoda nauczycielka opowiada im tak prześliczne historie, że słucha się tego, jak najpiękniejszej bajki. Oto i teraz pani przyniosła i porozwieszała na ścianie szereg kolorowych obrazków i mówi o Polsce. Klasa, mimo, iż za oknami jaskrawe słońce wabi i nęci, siedzi zasluchana, a pani, przechodząc od obrazka do obrazka opowiada o tym, jaka ta Polska piękna, wspaniała i wielka.

Oto tu, gdzie widać ten las czarnych, gęstych kominów, z których buchają pióropusze dymów, gdzie wielkie ciemne budynki zdają się przytłaczać ziemię—to Śląsk. Tu wszystko tętni, pracuje i bije nieustającym ruchem, jak serce w człowieku, drga i szumi, huczy potężnymi młotami, zionie żarem z rozpalonych czeluści pieców, a wśród tego piekielnego zgłętku, warkotu i ruchu, wśród łun, jakby gorzały całe siedziby ludzkie, przewijają się setki i tysiące robotników, chwytają w żelazne kleszcze rozpalone do białości żelazo, gną je, wyciągają w długie belki lub szyny, wtłaczają pod paszczę parowych młotów i rzucają w świat jako owoc tej żelaznej, kamiennej, żmudnej pracy.

A tu znów, gdzie ponad ziemią wyrastają ni to budynki, ni to wieże—to Borysław, serce polskiej nafty. Tam w łono ziemi—matki wbijają się potężne świdry, szukają drogocennej ropy, przelewają ją do zbiorników i rafinerii, do potężnych cystern, jakie widać na kolorowych rycinach, a potem już, jako kryształowy

czysty płyn, przesyłają daleko, daleko, aż i tu do nas właśnie, do wsi i do szkoły.

Tu, gdzie widać jak potężne bloki kamienne spadają prostopadłą ścianą w głąb morza—to Gdynia, nasze płuca, nasze wielkie, okno morskie na świat. Pod olbrzymie, ciężkie kadłuby okrętów podjeżdżają na kamiennym molo wagony, dziwaczne dźwigi, krany i żorawie, chwytają jakby w pożądliwe ręce olbrzymie bele towarów, skrzynie, paki i, niby dziecinne zabawki, przenoszą je bez najmniejszego wysiłku na pokłady okrętów dygocących od wewnętrznego ruchu maszyn, by potem z tymi skarbami, ukrytymi wewnątrz, wypłynąć na szerokie fale Bałtyku, pruć ostrym dziobem szmaragdowe wody i dążyć w świat do Azji, Afryki, Ameryki...

Te niebotyczne góry, jakby odlane z bronzowo zielonej masy, z białymi koronami śniegów na szczycie, sięgające wierzchołkami aż pod chmury—to Tatry. Oto zielona polonina, na niej niski dom z płaskim dachem, przywalonym ciężkimi kamieniami i stado białych owiec, strzeżonych przez górala. Góral w swojej guni z twarzą podobną do indianina, z orlim piórem na płaskim kapeluszu, sam podobny jest do orła—zdaje się, iż lada chwila gunia rozwinie się jak skrzydła i ten człowiek gór uleci gdzieś na szczyty...

A tu znów te wspaniałe, piękne gmachy, to Wawel, Zamek królewski, odwieczny ratusz w Toruniu... Pani mówi, a klasa siedzi zasluchana, bo z ust młodej nauczycielki płyną takie piękne, gorące słowa, jakby kto deklamował najpiękniejsze wiersze, albo śpiewał najśliczniejsze pieśni w kościele. Nawet ksiądz

proboszcz na ambonie nie potrafi tak ładnie mówić, jak pani...

A pani mówi:

— Widzicie więc, jaka ta nasza Ojczyzna jest piękna, wspaniała i wielka? Ileżby trzeba mieścić, by obejść jej granice, biegnące od morza, aż po obce, dalekie ziemie. Wszystko ta ziemia ma: żelazo, rudy i metale, węgiel, naftę i sól, z północy na południe i od wschodu na zachód przerzynają ją rzeki spławne i rybne, w lasach i borach gnieździ się zwierz, tyśiące sosen drwale walą na pożytek ludzki, a z łona tej ziemi biją lecznicze źródła, przywracając ludziom zdrowie... Wspaniałe gmachy, zamki i pałace, kościoły, dzieła budownictwa, niebotyczne góry i błękitne jeziora stroją ją jakby drogimi kamieniami, a człowiek w mozołę pręży się, by z trudu swego przysporzyć tej ziemi owoców... Wszystko ta ziemia ma, potrzeba jej tylko rządnych i mądrych gospodarzy, więc pamiętajcie, musicie się dobrze uczyć, pracować nad sobą, aby w przyszłości być takimi gospodarzami, poświęcić dla tej Polski wszystko, wszystko jej oddać, nawet jeśli trzeba i siebie—bo Polska, to święta rzecz!

Pani skończyła i spojrzała na maleńki zegarek na rękę.

— Jeszcze pozostało parę minut czasu, więc teraz nam Jadzia Bartkowiakówna zadeklamuje ten wierszyk o Polsce.

Jadzia, z myśm warkoczykiem, wychodzi na środek sali, obciąga perkalikową sukienkę i cieniutkim głosikiem recytuje:

Nie orężem bojować nam trzeba,
Nie iść ciemnią, ale iść jasnością,
Czerpać siły ze ziemi i z nieba
I zwyciężać — światłem i miłością!

— Bardzo dobrze, Jadziu, a teraz, dzieci, modlitwa.

Lekcja jest skończona, po chwili w izbie szkolnej panuje wrzawa, krzyk, bezładne pakowanie do płóciennych woreczków książek i gromada wysypuje się na dwór. Tu wsiąka w blask, w słońce, w zieleń i roztopia się wśród wioskowych ulic.

Janka Wisnowiczówna otwiera okno i do sali wpada ciepłe kwietniowe powietrze; powoli zbiera zeszyty i z pliką kajetów przechodzi do małej kancelarii szkolnej. Jest pora obiadowa i Janka, która stołuje się u kierownika szkoły, powinna już iść do małego domku starego nauczyciela, ale czuje się dziwnie zmęczoną, ociężałą, pełną jakiegoś wewnętrznego niepokoju, jaki nie wiadomo skąd stłoczył się i padł nieznośnym ciężarem na serce. Na świecie tak jasno, słonecznie i wesoło, a jej się zdaje, że to ciemny i dżdżysty listopadowy dzień wisi za oknami...

Przeciera dłonią czoło i zmierza powoli w stronę domu nauczyciela. Pan Kobyliński jest już właściwie na wylocie — jeszcze niespełna rok i wreszcie osiągnie emeryturę. Janka pracuje ze swoim kierownikiem już od kilku lat, a stary pedagog ceni niezmiennie tę dziewczynę za jej charakter, równowagę i pogodną szlachetność uczuć. To też na widok nauczycielki, uśmiecha się przyjaźnie, kiwa siwą głową i odkładając gazety, poczyną gawędzić o małych, drobnych sprawach codziennego dnia. Janka czuje się w tym domu jak u siebie — wyjmując z małego kredensiku obrus, nakrywa stół, stawia talerz z chlebem i szklaną cukiernicę, gdy tymczasem pani Kobylińska, okrąglutka jak sądek, na krótkich, pulchnych nóżkach,

rozstawia talerze i układa nakrycia, wiedząc, iż mąż nie lubi, gdy obiad się spóźnia...

Janka je w milczeniu. W pewnej chwili Kobyliński podnosi wzrok, uważnie wpatruje się w twarz młodej dziewczyny i mówi:

— Coś mi się pani od pewnego czasu, pan-
no Janeczko, nie podoba. Mało pani je, hu-
mor gdzieś zniknął i widocznie coś pani przed
starymi przyjaciółmi ukrywa. Cóż tam gnie-
cie serduszko, niech no pani powie?

— Ależ nic, — odpowiada i uśmiecha się
blado.

— Ho, ho, starego w pole pani nie wypro-
wadzi, nauczyłem się już patrzeć w ludzkie
dusze. A jakież wiadomości z Warszawy? —
zapytuje po chwili.

— Owszem, nic złego — odpowiada — i, nie-
wiadomo dlaczego, lekko się rumieni.

Po obiedzie idzie do swego maleńkiego
mieszkanka, prawie na drugim końcu wsi. Tak
chce być sama, tak chce pozostać tylko ze
swoimi myślami, co, jak spłoszone ptaki, biją
skrzydłami o komórki jej serca. Janka zna
źródło tego niepokoju, jaki ogarnął ją od kilku
tygodni i dlatego właśnie na zapytanie starego
kierownika o wiadomości z Warszawy, mimo
woli się zmieszała. Tak — Warszawa była
źródłem jej niepokoju. Kiedy Jerzy napisał, że
dostał posadę w administracji pisma, jakże się
ucieszyła, iż ten kochany jej człowiek wyjdzie
wreszcie z koliska udręki i niepewności; prze-
cież ona razem z nim przeżywała jego mękę,
cierpiała jego niedolę, rozumiała i przeżuwała
tę gorycz, jaka zalewała go w tych strasznych
dniach bezczynności. I oto cieszyła się nie-
omal jak małe dziecko, ale jakże — niestety —
nie długo. W pierwszym liście poprosiła, aby

natychmiast przysłał jej numery tygodnika, w
którym pracuje; tak je chciała widzieć, trzyma-
ć w ręku, czuć się choć w ten sposób zwią-
zaną z tą częścią pracy, jaką wkładał w pi-
smo. Ale, kiedy mimo listu jednego i drugie-
go, Jerzy egzemplarzy „Naszej Myśli” nie na-
desłał, Janka, tłumacząc to sobie, iż może za-
ginęły na pocztce, przy pierwszej okazji spro-
wadziła je z Warszawy i wówczas... Wówczas
zdawało jej się, że to zaszło jakieś nieporozu-
mienie, że Jerzy pomylił się co do tytułu pis-
ma, że przecież Jerzy nie mógł pracować w
wydawnictwie, które z każdej szpalty, z każ-
dej strony zionęło źle ukrywaną nienawiścią
do wszystkiego, co tak mocno, trwale, bezpo-
średnio łączyło się z jej pojęciami, co było
żywym zaprzeczeniem ideałów, jakie miała o
o człowieku, Ojczyźnie, Bogu...

Wczytywała się w te długie kolumny przez
szeregi godzin i na każdy artykuł, na każde
niemal zdanie chciała krzyknąć: kłamstwo,
kłamstwo! Swoim inteligentnym, żywym umy-
słem, wczuciem się w prądy społeczne, rozu-
miała, iż pod maską tej pseudo postępowości,
tego liberalizmu, głoszonego w imię hasła wol-
nego człowieka, czai się zasadzka na dusze
ludzkie, że te szumne, retoryczne artykuły są
wilczymi dołami, w jakie mają wpadać mniej
świadomi...

Nie miała żadnych wątpliwości, czym jest
i do czego dąży „Nasza Myśl”. Ale potem
przyszły refleksje — może się myli, może źle
sądzi, może jej niedociągnięty do wielkich świa-
topoglądów umysł skromnej, wiejskiej nauczy-
cielki nie jest w stanie wchłonąć i należycie
ocenić tego, co miała przed oczyma. Ach,
gdyby tak było, z jakąż radością przyznała by

się, że jest głupiutką, naiwną dziewczyną, która nie może sięgnąć do tych wspaniałych, zawrotnych niemal szczytów myśli ludzkiej, przelewającej się jak spienione fale na wielkim oceanie bezustannego ruchu i tętna życia. Ach, gdyby tak było... Postanowiła „Naszą Myśl” zanieść Kobylińskiemu, wiedziała, że ten skromny nauczyciel wiejski dużo czyta, studiuje i nie obcy mu jest żaden prąd, żaden ruch we współczesnym kotłowisku życia.

— Dostałam te numery zupełnie przypadkowo, niech pan je, proszę, przejrzy.

W kilka dni potem oddał jej egzemplarze i powiedział krótko.

— Skąd to pani ma? Przecież to jest najwyraźniejszy komunizm, że też to, doprawdy, władze pozwolą wydawać.

Wówczas Janka nie miała już żadnych wątpliwości, nie miała zaś ich tym więcej, że listy od Jerzego stawały się coraz rzadsze, lakoniczniejsze, takie obce, dziwne, iż gdyby nie znany jej tak dobrze jego zamaszysty charakter pisma, przypuszczała by, że pochodzą one od kogoś innego... Pisał zwięźle, donosił, że powodzi mu się zupełnie znośnie, że jest ogromnie zajęty, a na długi list Janki, w którym szczerze, nieomal rozpaczliwie wypowiedziała swoje pojęcie o „Naszej Myśli”, odpowiedział jej krótko: „W sentymenty niech się bawią ci, których na to stać. Ja, który zdychałem z głodu, dziś już, na szczęście, wiem w czym i gdzie leży prawdziwy sens i prawda życia. Radzę ci, Janko, wczytać się uważnie w treść naszego pisma, a dojdiesz do tych samych wniosków, co i ja. Zresztą z posady jestem pod każdym względem zadowolony i nie tyle Bogu, co ludziom wdzięczny, że ją otrzymałem”.

Była tym listem przerażona—zawziętość, jaka biła z jego słów, świadczyła, że Jerzy przetorował swe dotychczasowe życie na inną jakąś drogę, że wiąże go z tym nowym polem pracy coś więcej niż tylko strona materialna. Znała go dostatecznie, nie obce jej były jego myśli, uczucia i zapatrywania, jego poglądy i pojęcia społeczne i dlatego właśnie teraz, chociaż na świecie przetacza się w pijanym, radosnym szale wiosna, chociaż ziemia gra barwami najprzecudniejszych szmaragdów, chociaż wszystko kipi weselem i nowym tchnieniem, młodej nauczycielce jest ciężko i smutno, jak gdyby te wszystkie cuda natury leżały gdzieś poza nią i były nie dla niej... Siadła przy stole i wzięła do ręki książkę. Była to „Elektra” Saeyes'a, którą wypożyczyła sobie od młodego wikarego. Książka ją szalenie interesowała, ale zaledwie przeczytała kilka kart, wstała zdenerwowana i poczęła chodzić po pokoju. Z za okien dobiegał wesoły śpiew dziewcząt, pracujących pod wiosenne porządki w ogródku i Jankę ten głośny śpiew drażnił i rozstrajał tak dalece, że nie była w stanie powrócić do rozpoczętej lektury.

Myśli jej biegły ciągle ku Jerzemu i Warszawie. Przez ogromną miłość, jaką miała dla niego, nie rozumowo, nie logicznie, ale podświadomie raczej, a tak silnie, że nie ulegało to dla niej najmniejszej wątpliwości, wyczuwała, iż w życiu Jerzego coś się załamało, uległo kapitalnej przemianie, wtargnęło w jego najistotniejsze jestestwo. Gdyby jej napisał, że posadę tę przyjął dlatego jedynie, iż nie miał innego wyjścia z sytuacji, że z wydawnictwem związany jest wyłącznie tylko stroną zarobkową, wówczas zrozumiałaby niewątpliwie te ar-

gumenty, wiedząc, że głód, nędza, poniewierka, o jakie ocierał się od tyłu, tyłu miesięcy, nie pozwoliły na wybór i trzeba było chwycić, co w tych nieszczęsnych dniach przyszło pod ręce pierwsze. Ale list Jerzego rozwiązał te złudzenia, Janka, odczytując go wielokrotnie, z przerażeniem wczuwała się w treść tych zdań, jakie w zimnej, wyrozumowanej pasji rzucił na papier. A więc związany jest z tym pismem nie tylko stroną materialną, ale wszak pisze, że czuje się tam jak najlepiej, a zatem w grę wchodzi coś więcej, niż zwykły codzienny kęs chleba. Więc co? Idea, przekonania, zbieżność myśli? Ależ przecież Jerzy musi lepiej od niej wiedzieć i widzieć gdzie, z kim i dla kogo pracuje, przecież jego doświadczenie, wyrobienie życiowe, inteligencja nadto szeroko otwierają mu oczy, by nie rozumiał, że służy sprawie złej, niegodnej, wypalanej przez całe społeczeństwo, jak wypala się wrzód rozżarzonym żelazem. Więc w tym, co się stało, jest jakaś tragiczna zagadka, której oto ta biedna dziewczyna z małej wiejskiej szkółki nie może rozwiązać i tylko serce niespokojne, udręczone nadmiarem bólu, tłoczy potężny głaz, ale chociaż pręży wszystkie wewnętrzne siły, nie jest go w stanie zepchnąć. Zamyka drzwi i wychodzi na wiejską ulicę. Chce iść, chce ruchu, chce w tym fizycznym odprężeniu rozproszyc ponure myśli, stopić się i wsiąknąć pod blaski zachodzącego słońca, co jakby pyłem purpurowo ametystowym przesłaniają świat... Skręca ku łąkom i przez wąską ścieżynę idzie nad brzegiem rzeczki, co teraz z wiosną przelewa swe fale radośnie i hucznie. W dalekiej opalowej poświacie zachodzącego słońca ciemniej na skrajach fioletowe pasma lasów i Jan-

ka zmierza ku tej ścianie, jaka nęci spokojem i tajemnicą... Jest tak cicho, iż słysząc najsłabszy krzyk ptasi, każde uderzenie drobnej fali i dalekie od błot dolatujące pokumkiwanie żab. Słońce, jak wielka rozgorzała blaskami monstrancja zniża się ku fioletem lasów, nad wsią wiszą błękitne smugi dymów, ulatujących z kominów, słysząc rżenie koni i radosne poszczekiwanie psów.

Tam, za ciemną grupą olch terkocze młyn i obrosłe zielonymi mchami koło rozbija w białą zburzoną pianę wody, co z szumem spadają na to młyńskie perpetuum mobile. Janka Wisnowiczówna idzie i wchłania cały ten urok, ten czar przedziwny, jaki bije z każdej roślinki, z każdej grudy ziemi, z każdego jej skrawka. Jakże jest pięknie, jakie jest cudowne dzieło rąk Tego, który rozpostarty w nieskończoności, w błękitach, ochrania Boskimi rękami tę drobnutką kulkę wszechświata, woła swoją rzuconą w orbitę miliardów gwiazd i słońc... Jance robi się tak smutno, ciężko i gorzko, że lży poczynają płynąć z jej ciemnych oczu i szybko, kropla po kropli spływają po ślicznej twarzy.

— Jerzy, Jerzy — szepcze, wyprowadź mnie z tej nocy niepewności, przyjdź i powiedz, że się myślę, powiedz, że kochasz, jak kochałeś dawniej i że jesteś takim, jak dawniej...

Ziemia stoi cicha, jakby rozmodlona w tym pięknie wiosennego zmroku... Z nad łąk unoszą się lekkie, zwiędłe opary, z trzcina dolatują ostatnie kwilenia ptactwa, a żaby rozpoczynają długie swoje różańce senne i monotonne. Słońce zapadło już dawno za ciemną ścianę borów, a z za czarnych olch ukazał się błądy i nikły rozek wiosennego miesiąca...

Janka podnosi pobladłą twarz i zwraca oczy na błękitne światło, co poczyną saczyć się gdzieś spod nieba, potem ogarnia ziemię rozmodlonym spojrzeniem, a na usta wybiega szept.

— Polska, to święta rzecz!

Filizanka słodkiej mokki...

A tymczasem w Warszawie machina, w której zasięgu pracował Wolski, działała nieustannie, systematycznie, miażdżąc nie tylko jego wolę, ale i resztki świadomości krytycznej, jakie mu jeszcze pozostały. Wszystkie jej koła rozpędowe, tryby i łożyska, pędzone chłodnym rozumem ludzkim, wytwarzały prąd o najwyższym napięciu dynamicznym, jaki rozbiegając się z lokalu redakcyjnego, miał jeśli nie zabić, to przynajmniej, ogłuszyć, oszołomić i ogłupić masy społeczne, gdzie tylko dobiegała Nasza Myśl.

Wolski już nie miał najmniejszych wątpliwości, że wydawnictwo jest ekspozyturą Kominternu, a po kilku miesiącach współpracownictwa stwierdził, że środki materialne na pismo płynęły nie tylko z naturalnych źródeł prenumeraty, zresztą dość licznej, ale i ze specjalnych funduszy, jakie skrupulatnie ukrywało się w księgach buchalteryjnych. Nervus rerum byli tutaj Rundlein i Tulicki, którzy, aczkolwiek działając z ukrycia, umieli słowo giętkie, jak platyna, przeżyć w niewidzialną nić przecinającą psychiki i uczucia ludzkie.

Pismo było parokrotnie konfiskowane, ale Gasper, pełniący funkcje radcy prawnego, po każdym takim wypadku mówił z lekceważącym

uśmiechem: — To się w następnym numerze odrobi.

I istotnie odrabiało. Gazy spalinowe, jakie tchnęły z każdego artykułu, z każdej szpalty, miały w sobie trujący czad nie tylko dla mas czytających, lecz i dla Wolskiego. Był on już zarówno i kierownikiem administracyjnym i współpracownikiem redakcji, swoim — jak go nazywano — człowiekiem. Niejednokrotnie późna noc wypędzała go z lokalu redakcyjnego, gdzie toczono długie i namiętne dyskusje nad każdym artykułem, każdą wzmianką, jaka miała się pojawić w piśmie.

Pensja jego po kilku miesiącach wzrosła niemal w dwójnasób, czuł się w wydawnictwie człowiekiem murowanym, a chociaż ściśle nie należał jeszcze do partii, wiedział, iż jest to tylko kwestia najbliższego czasu, studium nad jego osobą, jego psychiką, zżyciem się z ideą, do jakiej wprzągnął się bez wszelkich już dzisiaj zastrzeżeń...

Ale najpotężniejszą, najbardziej zachłanną, oszołamiającą jednocześnie siłą była Ewa Karówna. Kiedy po raz pierwszy na zaproszenie przyszedł do jej mieszkania, zdumiał się wobec warunków, jakie zastał w tym brudnym, rojnym szarym domu. Schody z wdeptanym setkami nóg błotem, oślizgłe i wilgotne wśród odrapanych ścian, wiodły w mrok ciemnego kurytarza, gdzie woń zgnilizny, odorów pralni i zatęchły brud codziennego życia chwycił za nozdrza i gardło. Gdy wreszcie odszukał drzwi i począł w nie kołatać, otworzyła je stara żydówka w czarnej, kruczej peruce, rozdzielonej gęsim piórkiem na środku i obrzuciwszy go złym spojrzeniem, rzuciła jeden jedyny wyraz.

— No?...

Pokój Ewy był antytezą, zaprzeczeniem tego, co widział dotychczas; jasny, wesoły, umeblowany nie tylko dostatnio, ale elegancko, z widocznym smakiem artystycznym, nęcił głębokimi fotelikami, szeroką kozetą, zarzuconą pluszową narzutą i grubym puszystym dywanem, zaścielającym podłogę. Kwiaty, obrazy, poduszki i wielka lampa okryta ciemnym abażurem, wsunięta w róg pokoju, dopełniały całości umeblowania.

Ta pierwsza bytność stała się już łańcuchem, którego ogniwa nizały się niemal w każdy dzień następujący po sobie. Minęło parę tygodni i Wolski znał każdy stopień, każdy załam, każdą wnękę ściany, wiodącą do mieszkania Ewy. Znał odurzający zapach tego pokoju, przyćmione światło lampy i maleńką filiżankę czarnej, słodkiej mokki, jaką Ewa na nikłowej błyszczącej maszynce przygotowywała dla swego gościa.

Wychodził stamtąd pijany, napół przytomny, z nerwami naprężonymi jak cięciwa łuku. Był jej i dla niej. Wiedział, iż nie wyzwoli się spod czaru tej wspaniałej kobiety, świadomej swojej jaźni, swojej piękności i magnetyzującej siły.

Kiedy już bezsilny, wyzut sam z siebie, przytomniał, poczynali z Ewą długie, ciągnące się czasami godzinami dyskusje o tym szalonym pędzie, w jakim ludzkość dąży do nowych form istnienia i bytu.

— Jeśli myślisz, drogi, że ludzkość jest w stanie zatrzymać się na tym, co jej przynosi dotychczasowa obłudna moralność i cywilizacja, to jesteś, Jerzyku, głuptasek, podobny do małego bachorka, biegającego za barwną piłką w Sańskim ogrodzie. Masy ludzkie zrozumiały, że wy-

zwolenie leży nie w zasięgu utartych form kapitalistycznych, nie w koncepcjach faszyzmu czy monarchizmu, nie w idiotycznych totalizmach, wytworzonych przez doktrynerów i ideologów, ale w olbrzymim, potężnym zespoleńiu się mas uciemżonego proletariatu, chłopów, robotników, liszeńców, wyzuty z posiadania i wyrzuconych poza nawias życia ludzi, którzy na wykresach wszelkich szerokości geograficznych, krzyczą milionowymi gardłami: sprawiedliwości i chleba!

Kto tę sprawiedliwość i chleb niesie? Czy przestarzały, zmurszały obecny ustrój, czy może demokracje, w których setki tyją, a miliony zdychają z głodu? Nie! — my, komuniści, my, którzy chcemy sprawiedliwości i wolnego bytu dla uciemżonych, dla tych, którym głód, chłód i nędza jest codziennym towarzyszem bytu.

Czasami w zmorfinizowanej już niemal doszczętnie świadomości Wolskiego budziły się odruchy i wówczas słabo oponował.

— A jednak Ewo, co w Rosji przyniósł komunizm? Głód, załamanie się najtrwalszych podstaw społecznych, tysiące dzieci, z których rekrutują się młodociani zbrodniarze i prostytutki, intrygi i wieczny niepokój. Przecież wystarczy wziąć pierwsze lepsze pismo do ręki...

Ale Ewa przerywała mu ze śmiechem.

— Ach, jeżeli swoje dziecinne argumenty opierasz na bzdurstwach z klerykalnych piśmiątek, czy z organów redagowanych przez snobów i fabrykantów, to winszuję ci orientacji. Zresztą, mój drogi, czy sądzisz, że aby przebudować, przerobić, przekształtować w zupełnie nowe formy sto czterdziesto milionową masę narodu, to dochodzi się do tego w kilkun-

stoletnim okresie? Przecież znasz historię i wiesz, że wielkie, głębokie reformy socjalne i społeczne ciągnęły i ciągną się wiekami, że z pokolenia na pokolenia przekazywano metody, ulepszano je, wzbogacano, aby wreszcie dzieło doprowadzić do końca. Kto ci powiedział, że komunizm jest sprawą wyłącznie rosyjską? Komunizm jest zagadnieniem całego świata, wszystkich narodów, ludzkości, komunizm jest potęgą, która wprowadziła ten stary zmurszały świat rozbija w gruzy, ale na tych gruzach dźwignie gmach tak wspaniały i wielki, że dla nikogo już nie zabraknie w nim ani światła ani powietrza, ani chleba. Za mało, Jerzy, czytasz, aby chcieć coś poznać, trzeba się w to wgłębić, mieć w sobie.

I do rąk Wolskiego poczęła płynąć literatura Rodiszczewa, Bogdanowa, Jużego, wybitnych komunistów i bezbożników; każda stronica tych książek miała w sobie zatruwający jad nienawiści i siły. Siły, która sama się narkotyzowała, ekscytowała i w bezkrytycznym całkowitym oślepieniu parła naprzód. Argumentacja pozornie logiczna przy głębszej myślowej analizie stawała w sprzeczności z logiką, z nieugiętymi prawami życia, ale by to dostrzec, trzeba było mieć umysł spokojny, niezależny, wówczas, gdy Wolski, zatruty już atmosferą stosunków i ludzi, przyjmował wszystko z bezpośredniością, zaciemniającą sąd i wszelką wnikliwszą krytykę.

Czasami powróciwszy do domu, kładł się i długo myślał nad tym, co przeczytał. Tak, istotnie w życiu panują wspaniałe, wielkie hasła: prawda, miłość, sprawiedliwość—ale gdzie ich szukać, gdzie są one w formie realnej, gdzie wcielają się zasady, o których mówi się

z trybun parlamentarnych, z katedr uniwersyteckich, z ambon. Życie jest bezprzykładną walką, a w walce zwycięża ten, kto silniejszy i śmielszy, kto zimnym, nawskroś trzeźwym wzrokiem patrzy na otaczające go zjawiska. Kto wie, czy Lenin, głoszący, że religia jest opium dla narodów—nie ma racji. Co religia daje? Obietnice wiecznej szczęśliwości po śmierci, a tu? Tu panuje wyzysk, nędza, niesprawiedliwość, głód i uciemiężenie tych, którzy nie umieją podnieść zaciśniętej w kulak pięści do góry i krzyknąć: oto moje prawo do życia!

I tak powoli, kropla po kropli, z każdą nową filiżanką czarnej odurzającej kawy, Wolski zbliżał się do ostatecznego momentu, aż wreszcie chwila owa dojrzała. Kiedyś stanąwszy przed Ewą, bez żadnych wstępów powiedział.

— Chcę należeć do partii, być jej czynnym członkiem. Ułatw mi to.

Przez chwilę nie odpowiadała, wreszcie odezwała się, patrząc mu prosto w oczy.

— Dlaczego zwracasz się z tym do mnie? Ja jestem ideową komunistką, ale z partią mogę nie mieć nic wspólnego i mogę do niej nie należeć.

— Żartujesz, Ewo!

Pociągnęła go i siedli na otomanie.

— Wiesz na czym polega siła i organizacja partii w tych warunkach, w jakich pracuje tu, w Polsce? Przede wszystkim na konspiracji; gdybym więc nawet była członkiem partii, to w żadnym razie ani nie mogłabym ci mówić o tym, ani ty nie potrzebujesz o tym wiedzieć. Ale... zawahała się chwilę, ale ja ci to ułatwię. Słuchaj: pójdziesz na ulicę Pawią do czy-

Sieć z czerwonej przędzy

telni „Postęp”, polecisz sobie dać katalog, wybierzesz zeń książkę, oznaczoną liczbą 177, otworzysz ją na stronicie również 177-ej i podasz kierownicze czytelní. Dalej już zobaczysz.

— I to wszystko?

— Wszystko. A teraz napijmy się kawy.

Nastawiła maszynkę, założyła płytę na telefon i po chwili w pokoju płynęły słodkie dźwięki hawajskiego tanga, a z małego nikłowego przyboru unosiła się odurzająca, aromatyczna woń kawy...

Wolski postanowił nie zwlekając udać się pod wskazany adres, tymczasem jednak zaszedł wypadek, jaki na kilka dni wytrącił go z równowagi. Oto otrzymał list od Janki, w którym ta, w słowach pełnych gorącej radości donosiła, że starania, jakie porobiła już dawniej w kuratorium o przeniesienie jej bliżej Warszawy, prawdopodobnie zostaną uwieńczone pomyślnym rezultatem i od wakacji może już znaleźć się w szkole, leżącej zaledwie kilka kilometrów od stolicy.

„Mój kochany, pocziwy kierownik—pisała—wyzyskał wszystkie swoje wpływy i stosunki w kuratorium szkolnym, a że przy tym, jak mi powiedział, w inspektoracie mam też niezłą markę, więc sprawa może się udać. Jur, co za szczęście! Szczęście tym większe, iż pracowałabym już nie jako siła pomocnicza, ale samodzielna kierowniczka, a więc i dochody moje wzrosły by znacznie. Zaczny, drogi Kobylińsiol!”

List ten zmaćił dotychczasowy jego spokój i nie tylko nie wywołał radości, ale przeciwnie—przyjął go niechętnie. W wyobraźni stały mu dwie postacie: płonąca rozpaloną ka-

skądą miedzi głowa Ewy i skromna, szara na tle obecnych jego stosunków postać Janki. Chciał odpisać, lecz nie umiał złożyć kilku wierszy zwykłego listu, odłożył więc korespondencję na później, sam zaś poszedł na Pawią. Była w nim wewnętrzna potrzeba przełamania dotychczasowej sytuacji i pchnięcia jej jednym rzutem naprzód w zdecydowane. Niech się stanie.

Czytelnia była maleńka, prawie ciemna i pusta; kilka pólek z książkami, zwykła sklepowa lada, mały stół i krzesło pod oknem dopełniały umeblowania. Kiedy wszedł, z za tanej kotarki wyszła szczupła, o przenikliwych oczach kobieta, która obrzuciwszy go spojrzeniem, spytała krótko.

— Pan sobie życzy?...

— Chciałem prosić o katalog.

— Czego? Jaki katalog? Katalogów jest kilka.

— Wolski chwilę się zawahał: — Zwykły, odpowiedział.

Podsunała mu brudną, zatłuszczoną książkę, gdzie odszukał numer 177-my i kazał podać sobie dzieło, oznaczone tą liczbą. Żydówka spojrzała nań baczniej i po chwili odszukawszy na półce, dała mu żadaną książkę. Uśmiechnął się. Była to „Nana” Zoli.

Powoli, obserwowany przez kierowniczkę czytelní, otworzył ją na stronie 177-ej i bez słowa położył na kontuarze przed zarządzającą „Postępu”. Pochyliła się i podnosząc głowę, spytała.

— Pan się nie myli co do strony?

— Nie, odpowiedział.

— Proszę.

Wprowadziła go za czerwoną kotarę, otwo-

rzyła drzwi i wpuściła do niewielkiego pokoju jeszcze brudniejszego i ciemniejszego od właściwej czytelnicy. Okno, wychodzące na podwórze, zalepione było do połowy bibułką i mętne światło niewiele rozjaśniało mrok, zalegający wewnątrz. Przy stole siedziało dwóch młodych ludzi, którzy na widok Wolskiego nie poruszyli się z miejsc, jeden tylko z nich, w dużych rogowych okularach, jakby od niechcienia spytał.

— Jaką chcieliście książkę?

— 177 i strona również 177.

— Aha, w porządku. W czwartek o godzinie ósmej wieczorem przyjdziecie na ulicę Muranowską pod numer 91 i zgłosicie się do pracowni krawatów. Spytaacie czy sześć jedwabnych krawatów jest już dla was gotowych. Więc zapamiętajcie: czwartek, ósma wieczór, Muranowska, pracownia krawatów. Nic nie zapisywać, tylko wszystko pamiętać, towarzyszu. A teraz idźcie, bo my mamy tutaj dużo roboty.

Po wyjściu z czytelnicy, Wolskiemu wydawało się, iż wszystko to trwało tak krótko, jakby było złudzeniem, a wiedział jednak, że oto już jest wciągnięty faktycznie i istotnie w ruch tej maszyny, jaka milionowymi kółkami działała na terenie Polski. Wyobrażał sobie, że przyjęcie do partii odbędzie się w inny, jakiś bardziej uroczysty, bardziej poruszający go sposób. Tymczasem ot, tak, trochę konspiracji i sprawa właściwie załatwiona, chodziło tylko o to, by znać ów numer książki i strony.

Wrażenia tego dnia nie miały jednak skończyć się na bytności w czytelnicy Postępu, kiedy bowiem powrócił do domu, zastał zupełnie nieoczekiwany list od Rychtera.

„Kochany ziomku, wasza sprawa jest na

jak najlepszej drodze. Posada prawie w garści. Wyjazd na prowincję, warunki bardzo dobre. Gratuluję! Niezwłocznie rano dzwonić do mnie, albo najlepiej przyjedźcie osobiście, to poinformuję was szczegółowo. Sciskam zaczął łapę”.

— Wybrał się, mruknął Wolski — i zmiąwszy z pasją list, rzucił go do kosza. Ani Rychter, ani jego posada nie interesowały go już w tej chwili w najmniejszym nawet stopniu, miał nawet jakby pretensję, że Rychter dopiero teraz zwraca się do niego, proponując jakiś tam wyjazd na prowincję. To też dopiero w parę dni zadzwonił do fabryki i w dość oziębły sposób podziękował za pamięć, oświadczając, iż posadę ma oddawna i z Warszawy bynajmniej nie myśli wyjechać.

— Szkoda — powiedział Rychter — żeście mnie nie poinformowali o tym zaraz po otrzymaniu listu. Naraziliście mnie w ten sposób na przykrość, zrobiłem bowiem zawód człowiekowi, którego o was gorąco prosiłem.

— Bardzo mi przykro — bąknął w tubę telefonu.

— Mnie tym więcej. Dowidzenia, powiedział krótko Rychter i z trzaskiem powiesił słuchawkę.

Tego wieczoru poszedł do Ewy i niespodzianie zastał parę osób, z których część spotykał w Świcie. Oczywiście przy gorącej dyskusji, jak zwykle na tematy wielkich nowych prądów, wiejących od Rosji, przy dźwiękach najnowszych foxtrotów i czarnej kawy nie było czasu ani możliwości na zdawanie relacji z bytności w Postępie, pozostawił więc tę sprawę na później, a sam oddał się obserwowaniu Karówny, która tego dnia specjalnie rozbawio-

na, wyglądała jak gorący złoty płomyk, pociągając widokiem swym oczy i zmysły.

Wonna, odurzająca mokka działała coraz silniej...

W jaczejce.

Kiedy w oznaczonym dniu i godzinie znalazł się w wielkiej, ruchliwej kamienicy na Muranowskiej i odszukał pracownię krawatów, ogarnął go lekki niepokój i ciekawe podniecenie, co będzie. Na głos dzwonka, drzwi otworzył mu rośli, barczysty mężczyzna, bez marynarki i kołnierzyka, z przewieszonym na szyi metrem krawieckim i spytał.

— Co pan chce? Magazyn już zamknięty.

— Czy moje sześć jedwabnych krawatów już gotowe? — zapytał Wolski.

— Gotowe. Chodźcie — i przeprowadził go przez obszerny pokój szczelnie zastawiony sprzętami do następnego, który widocznie był pracownią, stały tam bowiem maszyny do szycia, a na dużych krawieckich stołach leżały ścinki jedwabiu, rozrzucone sztuki barwnych materiałów, w kącie zaś piętrzył się stos płaskich pudełek do krawatów.

W pokoju było kilku młodych ludzi, ale wszyscy oni nie mieli tu ani nazwisk, ani stanowisk, ani adresów. Byli to towarzysze Grzyb, Łysy, Doktor, Latarnik. Przewodniczącym tej najmniejszej komórki w olbrzymim organizmie partii komunistycznej był towarzysz Dzwon, jak się następnie okazało, urzędnik jednego z banków prywatnych, doktor praw. Zebrani, za wyjątkiem towarzysza Łysego (o bujnej, gęstej czuprynie) studenta medycyny, należeli

przeważnie do sfery drobnych subiektów sklepowych i rzemieślników. Wolski, wiedząc, że nazwiska tu nie istnieją, przybrał sobie miano towarzysza Twardego, w ten sposób niejako sugerując sam siebie w swoich poczynaniach i postanowieniach.

I oto w tej pracowni krawieckiej, ukrytej wśród rojnego łału ludzkiego, działało jedno z tysiącznych kółek wielkiej maszyny komunistycznej, na pozór nawet nie szkodliwe, a jednak groźne, szarpiące, grożące śmiercią i krwią. Tu ludzie, osobowości ich, indywidualności przestawały istnieć; kto wchodził do tego pokoju, pozbywał się swego nazwiska i stawał się bezwolną cząsteczką organizmu, jaki go wchłoniął i z sobą zespałał. Wszystko polegało na konspiracji: żadnych nazwisk, adresów, notatek, nawet ukłonów na ulicy, żadnych spotkań w miejscach publicznych, cukierniach, restauracjach — towarzysze poza partią nie mogą się znać, nie mogą nic o sobie wiedzieć. Konspiracja i tajność, zamaskowanie się — to podstawa roboty.

Towarzysz Dzwon mówił.

— Dobry, ideowy komunista musi mieć oczy bystre jak sokół, a węch jak ogar. Policja i tak depcze nam po piętach, śledzi, węszy, tropi i pamiętajcie towarzysze, że najmniejsza, głupia wsypa może pociągnąć za sobą nieobliczalne niebezpieczeństwa dla całej partii, a interes partii, jej dobro trzeba cenić więcej nawet, niż własne życie.

Zebrania odbywały się w rozmaitych punktach miasta, przeważnie w lokalach środowisk rzemieślniczych i były prowadzone bardzo ostrożnie, z całym przemyśleniem konspiracyjnym. Schodzono się w pojedynkę i opuszczano

no lokal stopniowo, z dużymi ostrożnościami, aby nie zwracać najmniejszej na siebie uwagi. Jaczejka była formą przygotowawczą, stąd rozplątywała się literatura, pisma, broszury, cały ten materiał, jaki miał rzucić głębokie światło na idee, cele i metody komunizmu.

Dzieła Lenina, Marxa, Róży Luksemburg, nawet ustępy z dzieł Bucharina, mowy i artykuły Radka, wszystko to bądź w postaci niewielkich broszur, bądź poprostu w odpisach na cieniutkich zwitkach bibulek przechodziło z rąk do rąk, tonęło w kieszeniach towarzyszy, którzy na całej tej komunistycznej literaturze mieli urabiać swoje poglądy i stopniowo wchodzić w głąb organizacyjną.

Wolski wczytywał się z zacięciem, z nerwową jakby zgorączkowaną ciekawością w zadrukowane karty i w umyśle jego pod wpływem tej literatury zarysowywał się obraz bezdusznej, tępej lawiny, która w ślepym ruchu tocząc się w dół, miała zmiażdżyć wszystko, co leżało na jej drodze. Komunizm miał w sobie potęgę ślepoty, gilotyny, działającej mechanicznie, bez żadnego duchowego sensu i ładu.

Słowo wolność brzmiało niemal z każdego wiersza, łopotąło jak olbrzymie, niebosiężne skrzydła, to samo jednak słowo, rzucone pod mikroskop chłodnego rozumu, traciło swoją wyrazistość, mętniało, stawało się społecznym, ideowym superlatywem bez określonej formy. Komunizm był kształtem tak ograniczonym, wręcz zmechanizowanym, iż ta wolność nie mogła się w nim zmieścić, dlatego właśnie formy samego działania były negacją, zaprzeczeniem wolności. Ale Wolski tego nie rozumiał, jego umysł, zatruty doszczętnie wchłanianą dzień po dniu morfina, nie reagował kry-

tycznie, podniecał się natomiast tą ślepą potęgą, jaka aby wybudować, aby stworzyć nowe istnienie ludzkości, chciała przedtem wszystko zburzyć, zmiażdżyć, obrócić w gruz i perzynę. Na popielisku i gruzach, w jakie chciano zmienić wysiłek stuleci kultury ludzkiej, cywilizacji, dorobku duchowego i materialnego, komunizm chciał wznieść nową współczesną wieżę Babel z pomieszanych językami, z chaosem i gmatwaną psychiką narodowych, z rozbieżnością pragnień, narastających przez całe wieki i pokolenia i dlatego aby oszukać, oszołomić masy, przykrywał swoją sztuczną konstrukcję, czerwonym sztandarem, furkoczącym, fascynującym hasłem — wolność!

Idea komunistyczna, jej zasady, podstawy odrzucały wszelką wartość duchową, chciały widzieć w człowieku jedynie zlepek materialny, fizjologiczny, istniejący tak długo, póki śmierć nie przetnie okresu żywota. Dlatego też krzyczano w obydwa uszy: życie twoje jest tylko i tylko materią, opieraj się zatem wyłącznie na szczęściu materialnym, odrzucając wszelką legendę Boga, wiary i duszy. My, komuniści, niesiemy ci prawdę twojego istnienia i twoich celów — odrzucamy opium o jakimkolwiek szczęściu pozagrobowym, o zbawieniu, piekle czy niebie. Komunizm widzi człowieka złożonego z mózgu, żołądka i nerwów; dla tego mózgu i żołądka, dla uczuć nawskroś ludzkich, zwierzęcych pracujemy, bo chcemy ci dać największą sumę użycia, jakie tu w przejściowym spacerze życia osiągnąć możesz.

Rzeczywiście — myślał, — czy syty żołądek, rozkoszny uścisk Ewy, oszołamiający i słodki ruch życia nie jest więcej wart od wszelkich najpiękniejszych, najwznioślejszych brzmiących za-

pewnień, że tam, kiedyś, gdzieś, w niewiadomym i w nieokreślonym przyjdzie zapłata za trud, męki i cierpienia? Komunizm stawia swoje problemy w pełnym, wyraźnym świetle: żyj, jak chcesz, bo jesteś grudką ziemi, którą kopnięcie śmierci rozbije w nicość.

Po kilku tygodniach Wolski zorientował się, że szczyty organizacji, jej władze kierownicze, które promieniują na cały świat, tkwią korzeniami swoimi zagranicą i one to są decydującym ciałem i głosem o wszelkich ruchach i poczynaniach partii. Centralny Komitet, Biuro Polityczne i władze organizacyjne, wszystko to ukryte było poza granicami, przez kogo kierowane, kto byli ci ludzie, o tym Wolski oczywiście, jak zresztą i towarzysze z pomniejszych komórek organizacyjnych nie mieli pojęcia i w tym wypadku bowiem konspiracja była niezmiernie ścisła i zatajenie dochodziło do kresu ostatecznej możliwości. Domyślał się natomiast, że np. taki Rundlein, aczkolwiek pracował w zasięgu warszawskim, był jednak wykonawcą na tutejszym terenie władz centralnych i niewątpliwie stanowił łącznik pomiędzy egzekutywą krajową, a centralnymi władzami partii komunistycznej. Był również o tyle uświadomiony, iż przypuszczał, że środki materialne, jakie płynęły na robotę partyjną, miały źródło swoje przede wszystkim w pompie zagranicznej, która widocznie raz po raz musiała zasilać znacznymi funduszami robotę, bowiem, jak nie wątpił, i Nasza Myśl, pochłaniająca znaczne fundusze, również korzystała z jakiegoś odpływającego strumyka tej głównej fali. Z czego np. żyła Werenhardowa, Rundlein, z jakich funduszków urządziło się orgie w Świecie?... Nie chciał się jednak wgłębiać

w te sprawy, wiedząc, że istotnej prawdy nie będzie w stanie dociec, a następnie był już o tyle wprowadzony w zagadnienia organizacyjne, iż rozumiał, że zbytnie dociekanie pewnych tajemnic partyjnych, było sprawą bardzo niebezpieczną i mogło skończyć się w sposób wysoce nieprzyjemny.

Władze partii nie pozwalały też towarzyszom swoim sięgać tam, gdzie uważały to za zbędne; karność i rygor przestrzegane były z całą surowością, a wszelkie wychylanie głowy poza przepisowy mur, groziło nawet że głowa ta mogła bardzo łatwo spaść...

Nie dociekając przeto zbytnio nurtu, jaki działał w podziemiach konspiracji, pracował z oddaniem się, uczęszczając systematycznie na zebrania i coraz bliżej wchodząc w łączność z towarzyszem Dzwonem. Gdzie i jakie jaczekki na terenie Warszawy istniały, nie miał pojęcia, bowiem i ten fakt też był ściśle zakonspirowany, natomiast wiedział już ponad wszelką wątpliwość, że towarzysz Dzwon ma ścisły kontakt nie tylko z kierownikami poszczególnych gniazd, ale z sekretariatem i z wydziałami organizacyjnymi, w których rozpoczynała się dopiero właściwa praca.

Wolski pojmował, że w tej chwili jest tylko drobną, mikroskopijną cząsteczką tego skomplikowanego aparatu, jaki rozbity na wydziały, biura, sekretariaty okręgowe i terytorialne, wiązał się z sobą zazębiał i ostatecznie scementowywał w zdecydowaną całość; wiedział też, iż na to, by trafić do wyższego stopnia organizacyjnego, trzeba nie tylko osiąść całkowicie, bezwzględne zaufanie kierownictwa, ale mieć na rachunku swoim duże plusy, świadczące o oddaniu się i robocie dla partii. Jego

ambicja szła też w tym kierunku, z jednej strony bowiem nurtowała go ciekawość, jak pracowały owe precyzyjniejsze cząstki wielkiej maszyny—z drugiej—przez głębszy zasięg do partii czułby się tym bardziej zbliżony do otoczenia, a przede wszystkim do Ewy.

Ach, jakże pragnął zaimponować Ewie, stanąć na równi z nią, okazać się człowiekiem, ku któremu w organizacji zwracają się oczy i umysły; wiedział, że Ewa jest komunistką, zajmującą wyższy stopień w hierarchii partyjnej, traktującą go dotychczas z tą pobłażliwością, z jaką stary, obsiedziały student traktuje młodego szczeniaczka po raz pierwszy przekraczającego próg uczelni... Postanowił, iż osiągnięcie to i dlatego czas swój rozdzielał skrupulatnie między pracę w wydawnictwie, partię i Ewę, bez której już nie wyobrażał sobie swego istnienia.

Widocznie, że działalność jego na terenie jaczejki zwróciła uwagę towarzysza Dzwona, ten bowiem traktował go ze specjalnym wyróżnieniem.

Był to okres, w którym partia przeżywała duży wewnętrzny ruch; kryzys czynił poważne spustoszenia nie tylko wśród inteligencji, ale przede wszystkim uderzył ostrzem swoim w wieś i wygłodniałych na przednówku chłopów oraz w ogromne masy, bezrobotnych robotników, których zaledwie niewielką część mogły wchłonąć roboty publiczne. Puste żołądki poczęły robić swoje—rozgoryczenie i zniechęcenie, połączone nieomal z nienawiścią przelewało się groźną falą raz po raz, odzywając się echami w codziennej prasie zająć i zamieszek, jakie wybuchały na Śląsku, w Zagłębiu krakowskim, w Łodzi i nawet na owych cichych

i spokojnych wsiach, gdzie, dotychczas nie można było przypuszczać, by dopłynęła fala groźnych ruchów, narastających w psychice społecznej.

Moment ten postanowiła wykorzystać partia komunistyczna i dlatego rzuciła na swój front hasło: wyzyskać kryzys, agitować głodnych, podburzyć zniechęconych, rozpalić bunt gdzie tylko się da! Pracowano więc całą siłą wszystkich motorów partyjnych, a chociaż raz po raz policja tłamsiła po rozmaitych lokalach na Zamenhofa, Wołyńskiej, Nowiniarskiej, Karłowickiej itd. gniazda komunistyczne, zebrania i konferencje, choć coraz częściej przed kratkami sądowymi rozgrywały się głośne procesy na tle akcji komunistycznej, to mimo tych represji i wysiłku władz, mimo coraz ostrzejszych głosów prasy, ostrzegających przed niebezpieczną falą, jaka toczy się na Polskę—motory pracowały coraz intensywniej, tłoki i tryby zdawały swój ruch, potęgowały ciśnienie atmosferyczne, z góry bowiem, od szczytów władz, szedł nakaz wyzyskiwania koniunktury i naciskania pedałów o ile się tylko pozwoli.

To podniecenie, panujące w szeregach komunistycznych, w centrali, wydziałach, udzielało się też i najniższym komórkom organizacyjnym, gdzie zdawano tempo akcji i wpompowywano stale przekonanie, że zbliża się moment, którego idea komunistyczna nie może lekceważyć, ale musi na wszystkich odcinkach wyzyskać i wykorzystać. Pracowano więc zarówno wśród sfer inteligencji, sięgano już nie do pojedynczych jednostek, ale do związków, organizacji, stowarzyszeń; zapuszczano sieci swoje zarówno na wieś, jak i w sfery robotnicze i towarzysz Dzwon przynosił całe pliki wycin-

ków z gazet o zamieszkach, rozruchach i zaburzeniach, a odczytując je komentował zawsze i wyłącznie w sensie, że oto idea komunistyczna dojrzuje wśród coraz szerszych sfer społecznych, ogarnia masy i nie ma takiej siły, która byłaby w stanie wstrzymać jej pochód.

Po każdym takim sprawozdaniu — referacie wśród zebranych następował entuzjazm, który Dzwon wyzyskiwał umiejętnie, stale powtarzając.

— Czym głębiej idea komunistyczna wżera się w warstwy społeczne, tym większy mamy obowiązek podwoić, potroić i zdziesięciokrotnie pracę. Pamiętajcie towarzysze, że zwycięstwo naszej idei Lenina i Marxa jest już niedalekie, ale nie wolno ustać w połowie drogi, nie wolno zaniedbać niczego, co by to zwycięstwo mogło przyspieszyć!

Okres był tym więcej podniecający, iż zbliżał się dzień pierwszego maja i w partii panowało głębokie przekonanie, że święto robotnicze, jakie chciano wyzyskać dla sprawy komunistycznej, przyniesie niemały sukces; rozmawiano i dyskutowano na ten temat bardzo wiele, filtrowano projekty, czyniono też zabiegi, aby jakiegokolwiek tarcia z P. P. S. nie zakłóciły wystąpień komunistycznych. Wolski w tej całej robocie brał żywy udział zasugerowany narkozą, jaka szła z zebrania i z przemówień przywódców, okazywał tyle energii, że Dzwon po jednej z takich dyskusji zwrócił się do niego i rzekł.

— Zostańcie towarzyszu Twardy po zebraniu chwilę, bo chciałbym z wami obszerniej pomówić.

Oczywiście przyjął tę propozycję z zado-

woleniem, wewnątrznie wyczuwając, iż rozmowa z Dzwonem będzie dla niego stanowić krok naprzód — i nie omylił się, kierownik bowiem najczęściej wręcz mu powiedział.

— Obserwujemy was, towarzyszu, od dłuższego czasu i widzimy, że robota w partii wypływa z waszej głębokiej idei, przekonania i zrozumienia wielkości sprawy, dla jakiej pracujemy. Wasza inteligencja, wykształcenie i... stosunki, jakie możecie mieć, jakie powinniście sobie wyrobić, dodał z naciskiem, mogą się partii przydać, dlatego też postanowiliśmy przenieść was do wydziału wykonawczego, a tam już znajdziecie szerszy teren dla swoich zdolności i możecie oddać komunizmowi większe usługi, niż w pracy dotychczasowej. Ma się rozumieć doceniacie ten stopień zaufania okazywany wam w ten sposób i, nie wątpimy, że uczynicie wszystko, aby władze wydziału oceniły was należycie. Liczcie się ze znacznym zaabsorbowaniem czasu w wydziale, biorąc jednak pod uwagę, iż robota odbywa się przeważnie wieczorami, będziecie zapewne mogli poświęcić parę godzin partii.

Wolski wprawdzie był mocno zajęty pracą w administracji i skomplikowanymi rachunkami, prowadzonymi w odmienny zupełnie sposób od normalnych, często też w ostatnich czasach z polecenia Rundleina miewał referaty w Świcie, do których musiał przygotowywać się długo i starannie, niemniej jednak propozycja Dzwona pochwiliła mu tak dalece, iż bez słowa odpowiedzi entuzjastycznie nieomal wyciągnął doń rękę i mocno ją na znak zgody i potwierdzenia uściśnął.

Krwiożercza, zachłanna hydra opłatywała go coraz silniej swymi oślizgłymi mackami.

Schody prowadzące w głąb.

Wydział partii mieścił się w lokalu organizacji sportowo-robotniczej, w ostatnim małym pokoiku obszernego kilkopokojowego mieszkania, położonego w zachodniej dzielnicy miasta, w głębi długiego i wąskiego jak kiszka podwórza. Wolski pracował tam już od paru miesięcy, spędzając prawie wszystkie wieczory i stopniowo wchodząc w arkana roboty, jaka wrzała w wydziale partii. Tam też spotkał się z Gasperową, pracującą w organizacji jako towarzyszką Olga, aczkolwiek spotkanie to nie zaskoczyło go właściwie, był bowiem oddawna przekonany że Gasperowie są czynnymi członkami partii, to jednak zobaczywszy ją po raz pierwszy na terenie wydziału lokalu, lekko się zmieszał, lecz adwokatka bez słowa wyciągnęła do niego dłoń z takim wyrazem twarzy, jakby spotkanie to było oddawna umówione i postanowione. Pracował głównie w kontakcie z towarzyszem Spokojnym, starszym mechanikiem z wielkich zakładów garbarskich. Spokojny, o pocziwej twarzy, sumiastych wąsach i błękitnych łagodnych oczach, był typem dobrodusznego hreczkosieja z jakiejś Woli czy Wólki, ale te zewnętrzne pozory kryły naturę twardą, nieustępliwą, konsekwentną w swojej zaciekłości aż do ostatecznych granic. Na terenie organizacji był figurą wysoko cenioną za usługi, jakie oddawał działalności partyjnej, za świetną znajomość organizacji i stąd też cieszył się powszechnym miem wśród towarzyszy. Zasympatyzowali z sobą bardzo szybko i Spokojny, wprowadzając go w bieg roboty, wypowiadał swoje poglądy na stosunki społeczne, mówił.

— Świat, młody towarzyszu, zmurszał jak spróchniały grzyb; trony diabli biorą, demokracje i parlamentaryzm pakuje się już dziś do lamusa, a na ich miejsce sypie się ludzkości w oczy piaskiem faszyzmu, hitleryzmu i licho wie jeszcze czego. Kapitalizm się jeszcze trzyma, nie u nas wprawdzie, bo u nas to właściwie hołota i dziady, ale w takiej Belgii, Holandii, Francji, Ameryce i trudno będzie to bractwo przewrócić, bo tam ręka rękę wspiera, a plecy podpierają plecy. Ale i na nich przyjdzie czas, bo wyzwolony robotnik, lud, masy pracujące to są miliardy, a miliardy to jest ocean; jak ocean ruszy z miejsca. to zatopi wszystko, co jest na jego drodze, zmyje. a dopiero potem na tym mule, na tym nawozie z przegniłej Europy wyrośnie nowe żyto dla wszystkich. To jest właśnie towarzyszu komunizm.

Zresztą mniej więcej w ten sposób mówili wszyscy, tutaj jednak mniej się naogół mówiło niż w jaczejce, natomiast więcej i intensywniej pracowało.

Z wydziałów rozbiegały się nici sekcji propagandowej, szkolnej, bezbożniczej, młodzieżowej, wojskowej, a nawet spółdzielczej. Robota w nich miała już zakres ściśle określony, wszystkimi swymi posunięciami, zmierzający do wytkniętego celu. Kierownicy sekcyjni pozostawali z sobą w ścisłej łączności, na posiedzeniach i konferencjach uzgadniali programy metod działalności, ale każda z sekcji pracowała niejako na własny rachunek, niektóre z nich z większym, niektóre natomiast z mniejszym nasileniem, zależnie od terenu i środowiska, jaki miały ogarnąć. Najsilniejszy nacisk kładziono w tym czasie na

sekcje propagandową, młodzieżową i szkolną; kierownictwo partii wśród innych rzuciło i hasło ogarnięcia młodzieży, wciągnięcia jej w wir komunizmu i dlatego też w tym celu zbierano nie tylko wszelkie poufne informacje o życiu szkolnym, o organizacjach młodzieżowych i szkolnych, sporządzano specjalne statystyki, ale i wyławiano najbardziej podatne jednostki, działano za pomocą bibuły, przenikano do wszelkich najdrobniejszych nawet komórek, aby tylko sieć, jaką zarzucano, mogła przynieść najobfitszy połów.

Ta właśnie sekcja młodzieżowa pociągnęła Wolskiego najżywiej; rozumował, że starsze pokolenie jest materiałem oporniejszym, trudniejszym do przewyciężenia, natomiast młodzież zapalna, bezkrytyczna, szukająca ujęcia często dla swoich utopijnych mrzonek, a przy tym w szerokich kołach zjadana przez nędzę i trawiona głodem, biczowana codziennym niedostatkiem i niedolą, stanowi najpodatniejszy grunt, jaki z łatwością można przeorać radłem komunizmu i rzuciwszy ziarno zasiewu, spodziewać się bogatych plonów. W rozumowaniu jego była poza tym i inna myśl, ukryta, nie wypowiedziana oczywiście przed nikim, a mianowicie, iż ten odcinek roboty mógł przynieść najprędsze, najtańsze i najefektowniejsze sukcesy. Wolski znał środowisko młodzieży nie tylko z jej psychiki, nastrojów i nurtujących prądów, lecz i z warunków codziennego bytu, w jakich wielkie jej zastępy się obracały, nie nazbyt bowiem były odległe czasy, kiedy sam studiując, należał do wielkiej rodziny owego młodego pokolenia, na które czerwona międzynarodówka zwracała specjalnie oczy i uwagę. Wielokrotnie rozmawiał z towarzyszem Spo-

kojnym, który widząc jego zapal w tym kierunku, nie tylko nie gasił go, ale przeciwnie, podsycał, otwarcie zresztą wypowiadając się, iż młody łatwiej trafi do młodych, łatwiej się porozumia, odczuja, a doświadczenie potrzebne do przeprowadzenia zamierzonej akcji powoli przyjdzie, tym więcej, że Wolski jako człowiek inteligentny, orientujący się i bystry obserwator, niewątpliwie szybko wejdzie w głąb roboty i ogarnie metody, jakimi należy działać. Zresztą sekretariat i kierownictwo wydziałów czuwa nad każdym krokiem, kontroluje i tam, gdzie należy, prowadzi nieomal za rękę... Przy tym własna inicjatywa, odczucie, obserwacja zdarzeń i faktów musi wchodzić w grę i współdziałać kierownictwu, tym warunkom jednak Wolski całkowicie odpowiadał i dlatego też bez sprzeciwu przydzielono go do wydziału młodzieżowego, pozostawiając w działalności szeroką nawet inicjatywę.

Tymczasem jednak w partii poczęły zachodzić wypadki, które zmąciły dotychczasowy, gorączkowy wprowadzić ciągle, ale naogół unormowany bieg pracy. Oto najpierw w największej tajemnicy, półszepem, niewiadomo skąd, z jakich źródeł poczęła rozszerzać się wiadomość, iż towarzysz Doński, stojący w najwyższej hierarchii kierownictwa partii, nie mógł wyliczyć się z kilkunastu tysięcy złotych i z tego powodu nie tylko on, ale cały szereg towarzyszy z sekretariatu miał bardzo poważne nieprzyjemności. Pogłoska w najwyższej tajemnicy przechodziła z ust do ust, krążyła, wciśkała się w szeregi organizacji, wywołując u jednych żywe oburzenie, u innych, którzy również pozornie przytakując, potępiali Dońskiego, mając takie wyrazy twarzy, jakby chcieli po-

wiedzieć: kradną inni, dlaczego nie miał ukraść i Doński.

Teraz dopiero poczęto sobie przypominać, ujawniać, wywlekać fakty, że Doński żył na szeroka rękę, hulał i nie jeden parkiet dancingu i nocnego kabaretu mógłby wiele powiedzieć, jak to towarzysz Doński płacił setkami za szampana i kwiaty dla fordanserek.

Nad towarzyszem Dońskim miał się odbyć specjalny sąd partyjny, cała ta sprawa jednak stworzyła nastrój, jaki zawisnął nad organizacją, wytwarzając atmosferę ciężką, przykrą i pełną nieufności. Głośno wprawdzie o Dońskim nie rozmawiano na terenie partii, ale jednocześnie jakimiś niewidzialnymi wręcz szczelinami poczęły błąkać się, niby widma, echa dawniejszych nieporozumień, wynikających na tle finansowym i w związku z tym przypomniano aferę towarzyszy: Samuelowicza, Liwskiego i Borycha.

W międzyczasie przyszły też i inne sprawy, daleko poważniejsze i groźniejsze, budząc u szczytów partii głębokie zaniepokojenie i popłoch. Oto władze bezpieczeństwa poczęły raz po raz i to coraz gęściej wylawiać nie tylko pojedynczych towarzyszy, nakrywać zebrania, lecz i trafiać na poszczególne jacejki, co ostatnio zdarzyło się na Dzikiej, Nowolipiu i Poznańskiej. Zdwojono tedy czujność, wydano specjalne zarządzenia, mające na celu jak najdalej posuniętą ostrożność, posypały się wewnętrzne okólniki, poczęto nieomal wspólnie się obserwować, inwigilować, sprawie jednak pomogło to niewiele. Policja mundurowa i wywiad tropiły tak skutecznie, zdobywały nie wiadomo skąd informacje i najwidoczniej na podstawie ich kosily coraz obficie szereg

partyjne, doprowadzając kierownictwo do stanu bezsilnej pasji i rozpacz. Nie ulegało wątpliwości, że musiała się zakraść jakaś parszywa owca, ktoś, kto należąc do szeregów komuny, wynosił konfidencjonalne wiadomości na zewnątrz i sypał w ten sposób partię. Ale kto? Oczywiście gdyby zdrajcę pochwyciono, gdyby zdobyto przeciwko niemu najdrobniejsze choćby poszlaki, los jego byłby przesądzony, tymczasem jednak żadne uzasadnione, oparte na najbardziej nawet blahych faktach podejrzenia nie miały miejsca i dlatego sytuacja stawała się tym trudniejsza do rozwikłania...

Nastrój jednak po niedawnej, bardzo nie-milej dla partii sprawie Dońskiego, stał się tym cięższy, chwilami wręcz nie do wytrzymania. Niektóre jacejki przestały na polecenie sekretariatu działać, zakonspirowano jeszcze silniej lokale, zebrania odbywały się w jak największej tajemnicy przy zachowaniu wszelkich możliwych ostrożności, ale atmosfery wewnętrznej nie tylko to bynajmniej nie odprężyło, lecz przeciwnie, naelektryzowało ją tym więcej, uczyniło drażniącą, duszną, jak gdyby lada chwila na partię miał się zwalić niewidzialny, a zawieszony w przestrzeni grom. Nieufność, występująca coraz wyraźniej, zapanaowała wśród najbardziej żytych towarzyszy, nic przeto dziwnego, że w tych warunkach tempo akcji uległo pewnemu osłabieniu i precyzyjna machina poczęła zacierać się i zgrzytać najgroźniejszym, jaki może być dla partii niebezpieczeństwem — zdradą.

Sekretariat wyteżał wszelkie siły i zdolności organizacyjne, zdwojono czujność, obarczono kierowników specjalną odpowiedzialnością... Powikłania przychodziły akurat w momencie

najbardziej korzystnym, który partia postanowiła wyzyskać, tymczasem zaś wypadki, godząc w nią z zewnątrz, hamowały ruchy i odbierały energię.

Przygnębienie, które ogarnęło wszystkich ideowych towarzyszy, padło i na Wolskiego, niemniej jednak w dalszym ciągu zajmował się swoją sekcją, przychodził bardzo regularnie i z całą gorliwością oddawał się pracy. Któregoś dnia zmęczony, rozdrażniony i pełen natłoku myśli o wypadkach, jakie toczyły wewnątrz partii, wstąpił do malej cukierenki i nie spodziewanie spotkał tam jednego z towarzyszy, Dziurbę, ex-studenta, oddawna pracującego w partii jako towarzysz Czub, z którym często stykał się na terenie organizacji. Dziurba zwrócił jego uwagę swą ponurą twarzą, na której nigdy nie zagościł najlżejszy uśmiech i wewnętrzną pogardą, jaką stosował do wszystkich i wszystkich; wiedział, że towarzysz Czub należy do szeregów partyjnych od kilku lat, ceniony jest za oddanie się i dużą inicjatywę i jeżeli zarzucano mu cokolwiek, to jedynie to, iż zbyt często zaglądał do butelki... Bliżsi towarzysze Czuba opowiadali, zresztą półgębkiem, że kiedyś przeżył głęboką tragedię miłosną, zakończoną śmiercią narzeczonej, że pociągnęło to dla niego bardzo ostre konsekwencje, z jakich ledwo się wyślizgał i stąd to właśnie uśmiech był dla niego obcym zupełnie gościem, ponurość natomiast nie odstępowała go na krok.

Dziurba ujrzawszy Wolskiego, podszedł do niego i przywitał się. Właściwie w stosunkach partyjnych było to wykroczeniem, ale Czub, przysiadłszy doń, najspokojniej zagabnął:

— Mam do was interes; potrzebny mi jest

materiał o amerykańskim wyzysku robotnika i nie mogę go zdobyć. Może macie coś w tym sensie?

Wolski chwilę pomyślał.

— Owszem, mam. Jest to książka towarzysza Pilniaka z Z.S.S.R. p. t. „O Key”, jeśli chcecie, mogę wam ją pożyczyć.

— Doskonale, a kiedy?

— Mogłbym wam ją pojutrze przynieść.

— Pojutrze?... To gorzej, bo jest mi to potrzebne prędko. Czy nie moglibyście dostarczyć mi jej wcześniej?

— W takim razie zajdźcie do mnie. I wskaż mi adres.

— Dobrze, powiedział Dziurba i na tym się rozstali.

Rzeczywiście na drugi dzień Dziurba zjawił się w mieszkaniu Wolskiego i ledwo się przywitał, nie trudno było wyczuć, że pił, był jeszcze bardziej ponury niż zwykle, podziękował za książkę i siadłszy szeroko na krześle, niespodzianie rzekł.

— No i co wy, towarzyszu, powiecie na Dońskiego? Psia krew, złodziej na złodzieju jedzie, złodziejem pogania i do złodziejstwa galopuje. Aby kałdun był napchany, to grunt, a zresztą—machnął ręką—Doński ani lepszy, ani nie gorszy od innych.

— Prowokuje mnie—pomyślał Wolski. Jest nastawiony i podchodzi czy pójdę na tę wędkę—a głośno odpowiedział.

— No, jakież tam niesprawdzone pogłoski, zresztą proszę was, gdzie to nie ma kanalii. Nie sposób wyobrazić sobie, aby istniały takie szeregi organizacyjne, w których nie zagnieździło by się szelmstwo. Są to wieści ostatecznie nie stwierdzone...

— Niestwierdzone, niestwierdzone... pokiwał głową Czub. Wy, towarzyszu, pracujecie w partii od roku, a ja od czterech. Takich niestwierdzonych wieści jest tyle, ile palców u rąk i nóg.

— Najwyraźniej mnie prowadzi—przemknęło znów przez myśl Wolskiego i dlatego uśmiechając się, rzekł.

— Co nas to właściwie, towarzyszu, obchodzi, od tego są władze, sekretariat, naszym prawem i obowiązkiem jest pracować na politykę partii i oto wszystko.

— Boicie się, że was prowokuję? Nie bójcie się, towarzyszu, nie bójcie. W jakim celu i poco? Tylko widzicie, poza partią jest własne swoje życie, myśl, odrębne indywidualności. Nie zawsze można być towarzyszem Czubem, czasami trzeba być i sobą, pogadać, wycisnąć na język tę żółć, co piecze jak rozpalone żelazo. W partii są ludzie oczywiście zacni, godni, ale indywidualności trudno tam szukać, trudno przyjść i powiedzieć: boli mnie bracie, więc szukam człowieka. Wy jesteście mózgowiec, inteligent, indywidualista, więc wyobrażcie sobie, że Antoni Dziurba, eks-student filozofii, wstawił sobie pół butelczyny uczciwego produktu P. M. S. no i musi, rozumiecie, z kimś pogadać nie jako towarzysz Czub, ale jako do waszych usług Antoni Dziurba, syn Józefa i Walentyny, urodzony legalnie w Lipnie 1909 roku pod knutem caratu moskiewskiego.

— Udaje, albo jest urzędnikiem w dyl—pomyślał Wolski.

— Partia, komunizm, idee, ludzkość, wyzysk, hasła i słońce wolności, to uważacie, przyjacielu, jest wszystko taki nadymany balonik, jaki sprzedaje na każdym rogu ulicy wyzyski-

wany proletariusz. Balonik piękny w kształcie, lotny, a w środku—pusty. Poleci trochę wyżej—i pac, pęka! A wiecie dlaczego, bo jak się to pospolicie mówi, atmosfera mu nie sprzyja. Atmosfera właśnie nie sprzyja całej ludzkości i poczekajcie jeszcze momencik, świat stanie się podobny do balonika—pęknie i rozleci się w niewidzialny pyłek. Tak zwana kultura, cywilizacja, doktryny, esseizmy i faszyzmy, wytwór mózgów ludzkich, wszystko to się już przeżyło, przyjacielu, i tych głupich kilkanaście miliardów, jakie wałęsają się po świecie, zżerają się, mordują i małpują, dawno już właściwie nie mają nic tutaj do roboty i może na tym gnoju wyrośnie kiedyś istotnie coś wspaniałego, godnego, aby dla tego żyć, cierpieć i kochać...

— Pogląd, jak na komunistę, bardzo filozoficzny.

— Phi, czknał pijacką czkawką Dziurba—kiedyś, moi drodzy, chodziłem na filozofię, ale rzuciłem to do diabła, bo i tam prawdy domać się nie można. Był tylko jeden człowiek na świecie, który znał i był prawdą, ale...

— Któż to taki?—zapytał Wolski.

— Chrystus. Wielki mędrzec i wielki filozof, ale dlatego właśnie, że znał prawdę i chciał prawdy, więc Go ukrzyżowali. Ludzie załgali i Jego i Jego naukę i dziś jeśli chcecie szukać prawdy, to postawcie przed sobą butelkę z niebieską główką i sam z nią w cztery oczy pogadajcie. Wtenczas odnajdziecie prawdę i przekonacie się, że wszyscy razem jesteśmy świnię, jedni w większym, drudzy w mniejszym stylu czy formie—co wam zresztą pozostawiam do łaskawego wyboru.

Zamyślił się, czknał znów parę razy i mówił dalej.

— Bo właściwie co to jest życie, o co walczymy, czego chcemy? No, pięknie—komunizm to powiadają wielka idea, ale niby proszę was, czy mnie kto prosił, żebym go uszczęśliwiał, jakim prawem włożę w mózg i duszę człowieka i powiadam: myśl i działaj wedle mnie, a będzie ci dobrze. Niby skąd ja wiem, że istotnie będzie mu dobrze. Słyszałem o takim wypadku, jak jedna pocziwa, idiotyczna dusza odcięła z paska gościa, który powiesił się na parkanie. I wiecie co? Powieszony, gdy doszedł do przytomności, dał owej pocziwej duszy po pysku. Prosiłem cię—powiada—durniu o ratunek? Wolność, jeżeli się ją głosi, musi być wolnością absolutną, nie skażoną, czystą jak światło spektralne, a jeśli się ją w jakimkolwiek kierunku narzuca albo krępuje, jeśli czyni się z niej jarzmo, w której masę ludzkie mają spacerować, to przestaje być wolnością, a staje się zakłamaniem.

— Jak na komunistę... zaczął Wolski.

— Co wy mi wyjeżdżacie ciągle z komunizmem. Nie wy mnie, ale ja was mógłbym uczyć, co to jest komuna. Cóż wy myślicie, że ja przyszedłem robić tutaj spiszek? Tu nie było żadnego towarzysza, był Antoni Dziurba, który w tej chwili pięknie wam się kłania i mówi: moje uszanowanie łaskawemu panu Wolskiemu.

Po wyjściu tego niezwykłego gościa, Wolski stwierdził trzy niezbite fakty: przede wszystkim, że Dziurba był pijany, że niewątpliwie na trzeźwo nie mówiłby tego, co przed chwilą słyszał i wreszcie, że jednak w partii tego rodzaju historie, co z Dońskim, zdarzały się już niejednokrotnie, że mimo pięknych haseł i szczy-

tnych słów, nie wszystko tam było w porządku i że złoto i banknoty, jakie miały służyć proletariuszom, rozplływały się po kieszeniach tych, co kierowali sprawami organizacji, wsiąkały w hulaszczę życie towarzyszy po nocnych spelunach i szantanach. Wogóle z bytności Dziurby nie był zadowolony, wiedział bowiem, że jeśli chodziło o surowy regulamin partyjny, to w wyraźny sposób przekroczył go i wylał się z tych ram, w jakich go życie organizacyjne zamknęło, wkrótce jednak przeszedł nad tą sprawą do porządku dziennego, zajęty wartkim biegiem pracy zarówno w administracji jak i partii.

W parę dni potem okazało się jednak, że wizyta Dziurby miała bez porównania daleko poważniejsze konsekwencje, niż mógł przypuszczać. Kiedy wieczorem, jak zwykle, znalazł się w biurze, towarzysz Spokojny poprosił go do swego pokoju, zamknął drzwi, a gdy Wolski siadł przy stole, spytał go zupełnie niespodziewanie.

— Towarzyszu Twardy, kiedyście się ostatni raz widzieli z Czubem?

Wolski lekko się zmieszał, co widocznie nie uszło uwagi Spokojnego, ten bowiem począł wpatrywać się swymi jasnymi oczami uważnie w jego twarz z takim napięciem, jakby pragnął przyspieszyć odpowiedź.

— Parę dni temu...

— Nie chodzi o to czy parę, czy kilka dni, ale ściśle kiedy?

— Ściśle nie pamiętam, zdaje się, że w czwartek...

— W sprawach partyjnych, trzeba towarzyszowi zawsze wszystko pamiętać ściśle. A gdzie?

Wolski wiedział, iż sprawa zaczyna nabie-

rać jakichś nieprzyjemnych cech, ale tymbardziej rozumiał, że ukrywanie prawdy mogło by wywołać wysoce niemiłe komplikacje, dlatego bez wahania odpowiedział.

— Był u mnie w domu, pożyczałem mu książkę, potrzebną dla jakichś studiów.

— W domu u was? Hm, hm... Czy znacie okólnik wewnętrzny numer 62, zabraniający jakiej kolwiek styczności pomiędzy członkami partii na terenie prywatnym?

— Znam.

— Widzicie, towarzyszu Twardy, sprawa jest z pewnych względów — podkreślił te ostatnie słowa — bardzo nieprzyjemna. Na razie chodziło mi tylko o stwierdzenie tego faktu, a potem jeszcze pomówimy.

I na tym się rozmowa przerwała. Wolski wyszedł podniecony i zaniepokojony, wewnętrznie wyczuwając, że pociągnie to za sobą dalsze jeszcze konsekwencje. I rzeczywiście, nie mylił się, w parę bowiem dni potem wezwano go do sekretariatu, mieszczącego się w biurze eksportowym przy jednej z głównych ulic śródmieścia. Towarzysz Spokojny powiedział.

— Jutro o dwunastej w południe stawicie się w sekretariacie — i wskazał mu adres.

Aczkolwiek Wolski wiedział, że ani sekretariat, ani wydział nic mu w robocie partyjnej zarzucić nie mogą, że jakiekolwiek posądzanie go byłoby wręcz nonsensem, to jednak ze względu na stosunki ostatnio panujące w szeregach partyjnych, na atmosferę podejrzeń i chmurę nieufności, przepływającą przez partię, cała historia z Dziurba rozdrażniła go i wprawiła w stan przygnębienia. Szedł z niepokojem do sekretariatu, postanawiając sobie jed-

nocześnie, przeciąć sprawę odrazu i zażądać wyjaśnień, w jakim charakterze został wezwany.

Zastał tam trzech nieznanych sobie zupełnie towarzyszy i Spokojnego. Młody, nikły blondyn, o niewyraźnej twarzy i rzadkiej bródce rozpoczął przeprowadzanie dochodzeń w sposób tak szczegółowy i wnikliwy, jak gdyby chodziło co najmniej o zdradę partii. Pytania sypały się jak na najbardziej wnikliwym śledztwie, aż wreszcie w pewnym momencie Wolski, nie panując już nad sobą, podniesionym i twardym głosem zapytał:

— Wnosząc z tego dochodzenia, widzę, że jestem o coś posądzany...

— Cicho, towarzyszu, cicho — powiedział z naciskiem przewodniczący i wyblakłymi oczami popatrzył na Wolskiego z taką przenikliwością, iż ten od razu umilkł. We wzroku tym czaiła się jakaś groźba, ostrzeżenie i magnetyzująca siła.

— Jakto towarzyszu powiadacie: posądzony, a więc uważacie, że są podstawy ku temu, by o coś was posądzać?

— Nie, odrzekł z mocą, tylko, zdaje się, pracuję dla partii w ten sposób, że nie wolno mi robić zarzutów, nie mających żadnego realnego podkładu.

— O tym, jak pracujecie dla partii, to sąd należy nie do was, a o tym zaś, czy są podstawy czy nie, to również nie jest wasza rzecz sądzić, towarzyszu Twardy.

Śledztwo ciągnęło się przeszło dwie godziny, a Wolski, zrozumiałwszy że wszelkie podniecenie może sprawę pogmatwać, zebrał wewnętrzne siły, skupił się i opanował, podkreślając raz po raz, iż Dziurba był pijany i je-

go filozoficznych majaczeń nie można traktować na serio.

Kiedy wreszcie ów krzyżowy ogień dobiegł końca, właściciel rzadkiej bródki zwrócił się do niego.

— My, towarzyszu Twardy, uważamy was za ideowego komunistę i daliśmy dowód swego zaufania, powierzając wam sekcję młodzieżową. Pamiętajcie jednak, iż szczególnie w obecnych czasach trzeba odmierzyć każdy krok i odważyć każde słowo, które się mówi. Wiecie co się dzieje — policja naciska nas coraz silniej, jesteśmy szarpani, biorą nam prawie spod ręki najlepszych towarzyszy. Na wszystko patrzeć, wszystkiego słuchać, ale samemu być niewidzialnym i mówić jak najmniej. Sprawę z wami uważamy za skończoną, wracajcie więc do roboty i okażcie się godnym towarzyszem partii, za jakiego was mamy.

Po śledztwie Wolski wyszedł jak z łaźni, klnąc Dziurbę i całą jego skądinziej ciekawą filozofię. Wewnętrznie, niewiadomo dla czego, przekonany był, iż Dziurba nie mógłby uczynić nic, co by splamiło jego honor partyjny i intuicyjnie wyczuwał, wierzył, że śledztwo idzie w fałszywym kierunku, że nie Dziurby, ale inna jakaś ręka pogmatwała sprawy partii, zakonspirawawszy się tak dokładnie, że nawet sekretariat nie mógł wpaść na właściwy trop. Ma się rozumieć, nie zamierzał bynajmniej dzielić się swymi domysłami, wiedział bowiem czym to pachnie, postanowił natomiast przypiąć się tym więcej do roboty, aby napocznie przekonać towarzyszy sekretariatu, iż w tym wypadku okazali się pospolitymi durniami i że jakiegokolwiek posądzanie go było partyjną gaffą godną prostopu smarkaczy.

Czas sprzyjał jego zamierzeniom. Rok szkolny dobiegał końca i postanowiono okres ten wyzyskać dla wzmożonej agitacji. Wobec tego, że bezpośrednie rozrzucanie i przeciskanie odezw stało się grą bardzo niebezpieczną, zdecydowano wylepić najbliższe punkty szkolne, szczególnie na peryferiach miasta drukami agitacyjnymi, by w ten pośredni chociaż sposób trafić do młodzieży. Rozumowano, że okres wakacyjny, kiedy zastępy zwłaszcza starszej młodzieży tracą całkowity kontakt z nauczycielstwem, można wyzyskać na rzecz idei komunistycznej i czerwoną sieć zarzucić na tę młodą wodę.

Wolski umówił się z dwoma „technikami” od tego rodzaju roboty, postanawiając, iż dzielnicę Mokotowską obsypią gęsto drukiem komunistycznym. Zdecydowali, że spotkają się w oznaczonym miejscu i późną nocą przeprowadzą robotę. Wieczór był ciepły, ale ciemny, nagromadzone zwały chmur groziły letnim deszczem. Z Puławskiej skręcili w jedną z bocznych ulic wsiąkając w jej długą czarną gardziel i kierując się w stronę, gdzie mieściły się wieczorowe kursy dokształcające. Ciemne, głuche masywy kamienic poczęły stopniowo rzednąć, dalej coraz częściej biegły parkany i majaczące wśród nocy, jakby jakieś potworne zabawki, wielkie rusztowania nowobudujących się gmachów. Mrok ulicy słabo rozświetlały nikielne płomyki gazowych latarni i pustka panowała zupełna. Przodem szedł towarzysz, który szybkim ruchem pociągał pędzlem umaczanym w klajstrze po parkanie, za nim zaś dopiero w odległości kilkunastu kroków drugi błyskawicznie nalepiał odezwę, cała zaś procedura w tych warunkach odbywała się tak szybko i w spo-

sób tak nieznacznym, że nawet przy natknięciu się na policję lub wywiadowców trudno było zorientować się, iż ci dwaj przechodnie, idący spokojnie w pewnej odległości za sobą, są „technikami”, przeprowadzającymi poważną robotę wywrotową.

W pewnym miejscu ulicę przecinał szeroki plac, na którym majaczyły stosy cegieł i szkielety wznoszonych rusztowań; w tym momencie, kiedy towarzysz pociągnął pędzlem po parkanie, z ciemnej głębi placu wynurzyły się dwie postacie, szybko zmierzające w stronę dwójki komunistycznej. Ledwo Wolski zorientował się w sytuacji, w głuchej ciszy nocy rozległ się nagły tupot nóg i obaj komuniści rozstrzelani, rzucili się do ucieczki. W ciszy nocnej dobiegły krzyki i nawoływania wywiadu, ale towarzysze gnali, jakby pędzeni wiatrem. Nie czekając, co stanie się dalej, puścił się wzdłuż parkanu i w pewnym momencie z przerażeniem usłyszał, że ktoś szybkim kłusem zbliża się ku niemu. Noc była nadto ciemna, by mógł dostrzec gdzie kończy się ściana wyrastających przed nim parkanów, bez namysłu przeto wspiał się, chwycił za jego brzeg i odbiwszy raz i drugi przesadził, a choć uczuł w dłoni piekący ból i ciepło spływającej krwi, nie zważał na to, głos kroków bowiem zbliżał się coraz wyraźniej. Skoczył na jakąś kupę śmieci czy nawozu i chyłkiem poczał gnać po pustym placu czy polu; nogi grzęzły mu chwilami w błocie, potykał się o jakieś wyboje i bruzdy, ale odetchnął dopiero spokojnie wówczas, gdy znalazł się pod drugą wyrastającą przed nim ścianą niskiego płotu. Przesadził i ten i wtedy dopiero rozejrzał się, gdzie się znajduje. Leżała przed nim szosa odcinając się jaśniejszą

linią wśród ciemności nocnych, a o kilkanaście kroków dalej spostrzegł wąskie, błyszczące pasemka szyn podmiejskiej kolejki. W niewielkiej odległości wisiała fioletowo-różowa luna miasta; spokojnie już poszedł w tę stronę i niespełna w godzinę znalazł się na placu Unji — tu wsiadł do pierwszej spotkanej taksówki i poleciał zawieść się do domu. Był kompletnie wyczerpany ręka rozdarta o brzeg parkanu krwawiła i piekła, ale wszystko to było drobnostką wobec niebezpieczeństwa grożącego mu owej pamiętnej nocy.

Na drugi dzień rano przeglądając pobieżnie dziennik, drgnął naraz i twarz mu pobladła jak płótno. Pod tytułem: „tajemnicze morderstwo”, przeczytał następującą wzmiankę:

„Nocy ubiegłej patrol policyjny natknął się na tyłach cmentarza Wolskiego na zwłoki młodego człowieka z raną postrzałową głowy i klatki piersiowej. Wobec braku dokumentów, narazie nie można było ustalić nazwiska zabitego i dopiero dochodzenie wszczęte w tym kierunku stwierdziło, iż zamordowanym okazał się niejaki Antoni Dziurba, b. student filozofii, ostatnio pracownik pewnej instytucji prywatnej. Wobec tego, że przy zabitym znaleziono sporą sumę gotówki oraz zegarek, morderstwo rabunkowe jest wykluczone, natomiast władze śledcze podejrzewają, iż chodzi tu o porachunki partyjne. Urząd prokuratorski wszczął dochodzenie w tej sensacyjnej sprawie.”

Wolskiemu pociemniało w oczach — z czyjej ręki padł Dziurba, nie ulegało dlań najmniejszej wątpliwości, ale czy padł słusznie, czy ten wyrok dotknął istotnego sprawcę? A jeśli nie? — kołowało mu w myśli — i czuł, że w głowie tworzy się chaos i przerażająca pustka. Sieć z czerwonej przędzy

A tymczasem...

Ostatnie przeżycia wpłynęły na Wolskiego w ten sposób, iż od kilku dni leżał chory. Wysoka gorączka i nieznosny ból, rozłaziący się po wszystkich członkach, zwiastował jakąś gripę, lecz mimo cierpienia, zadowolony był, że na pewien czas oderwał się od partii, atmosfery, jaka go ostatnio tam tłoczyła i ludzi, którzy pod wpływem wypadków, zmienili się, stali się obcy i poprostu czasami wręcz niemili. Głęboki wstrząs, jakiego doświadczył na wiadomość o morderstwie Dziurby, nie minął i raz po raz przychodziły mu na pamięć zawile, nie pozbawione głębszego sensu wywody eks-studenta, towarzysza Czuba. Nie wierzył, aby Dziurba zdradzał partię, był konfidentem politycznym, uczynił coś takiego, co by plamiło nie tyle jego honor partyjny, ile sumienie człowieka; przeczuwał, iż zaszła tu straszna, okropna pomyłka, iż na tyłach cmentarza Wolskiego padł człowiek zupełnie niewinny. A mordercy?—Jakim prawem, na jakiej podstawie wykonali ten krwawy wyrok, czy w sumieniach swoich znaleźli dostateczne podstawy, by przeciąć to nieszczęśliwe wprawdzie, ale młode jeszcze życie.

Leżąc w nocy, trawiony gorączką i wpatrując się rozpalonymi oczami w ciemność pokoju, doświadczał chwilami majaczeń, że oto nad łóżkiem pochyła się wysoka postać Dziurby ze swą ponurą twarzą i mówi:—idea komunistyczna to piękny balonik w środku pusty... Jedyną prawdą jest tylko Chrystus — wielki mędrzec i wielki filozof...

To znów zdawało mu się, że idzie jakąś ciemną drogą, a naprzeciwko biegnie Janka,

rozstawia ręce, jakby go chciała wstrzymać czy ostrzec i krzyczy przerażającym głosem: Jerzy! Jerzy! Zrywał się wówczas z łóżka, zapalał lampę i znów wpadał w długie i zawile rozmyślenia o partii, Dońskim, Dziurbie, a myśl powracała uparcie do Janki. Wiedział, iż zrobił i robi w dalszym ciągu tej dziewczynie krzywdę, iż właściwie zrywając z nią, postąpił nieszlachetnie, zlekceważył to, co dała mu najcenniejszego i najpiękniejszego—miłość. Przypominały mu się wszystkie jej uśmiechy, słowa, cała dobroć, jaka płynęła od jej jasnej i drogiej postaci, a jednocześnie powstawała jakby w wzburzonego odmetu złota głowa Ewy, jej zaciszny, przesycony ciężkim zapachem perfum pokój, jej zniewalająca, aż beczelna śmiałość wszystkiego co robiła i mówiła—i maleńka filiżanka czarnej, odurzającej, słodkiej kawy.

Po kilku dniach młody organizm zmógł chorobę, przygnębienie i rozdrażnienie nerwowe minęło i Wolski, wyszedłszy na słoneczny, jasny dzień, stwierdził z zadowoleniem, że świat jest jednak piękny, że dobrze na nim żyć i jest coś jeszcze do zrobienia. Majaki minęły, słoneczna poźłota pochłonęła je, a tęsknota za Ewą stała się tak silna, nieodparta i słodka, że nie zwlekając postanowił wieczorem zająć do niej.

W administracji wydawnictwa powitano go z zadowoleniem, przyszły bowiem nowe komplikacje rachunkowe i pracy był nawał. Uporawszy się z tym, już dość późnym wieczorem pospieszył do Ewy. Zastał ją widocznie podnieconą z wypiekami na twarzy i gorączkowo błyszczącymi oczami; w pokoju panował nieład, na krzesłach, tapczanie i fotelikach porzrucane były części garderoby, toaletowe dro-

biazgi, a na środku stała duża, elegancka waliza, w której Ewa spiesźnie układała rzeczy. Stał zdumiony i zanim otworzył usta, szybko rzuciła.

— Mój drogi, nie mam ani chwili do stracenia... wyjeżdżam i mogę ci Jur poświęcić zaledwie parę minut.

— Wyjeżdżasz Ewo, dokąd?

— Do... do Wilna.

— Skąd tak nagle, dlaczego, poco? — rzucił zaniepokojony.

— Ach, — odpowiedziała niecierpliwie — pociąg mam za godzinę i trudno teraz na wyjaśnienia. Jur, bardzo mi przykro, ale mam tyle roboty, że nie chcę cię dłużej zatrzymywać.

— Ewo...

— Tylko nie rozplacz się chłopusiu, bo masz taką minę, jakby mój wyjazd stanowił jakąś katastrofę. Mam interesy rodzinne, wyjeżdżam i oto wszystko. No, pocałuj mnie i uciekaj! Wyciągnęła ku niemu rozgorączkowaną twarz i przyłgnęła ustami do ust.

— Odprowadzę cię.

— Nie, nie, drogi, odprowadza mnie ojciec, więc nie chciałabym cię absorbować.

Wyszedł jakby oszołomiony, przeczuwając, iż Ewa nie mówi prawdy; kiedy skręcał w przyległą ulicę, minęła go w szybkim pędzie takśówka, zatrzymując się przed domem Karówny; wysiadł z niej Rundlein z drugim, starszym człowiekiem i prędko wbiegli do jej mieszkania.

Wolski szedł i czuł, że znów wysuwa mu się coś z rąk, załamuje się pod nim fundament, jaki uważał dla siebie za najtrwalszy, nawet bowiem krótka rozłaka z Ewą stanowiła dla niego, szczególnie w obecnym nastroju ducha

kłeskę, tym więcej, iż intuicyjnie przeczuwał, że Ewa coś przed nim tai. Była godzina dziewiąta wieczorem, z tego zaś co mówiła należało wnioskować, że pociąg do Wilna powinien odchodzić około dziesiątej — wsiadł zatem w tramwaj i pojechał na dworzec. Bileter poinformował go, iż pociąg odchodzi o 12,40.

— Nie myli się pan? zapytał, jakby pragnął się upewnić.

— Ja się mylę? — uśmiechnął się bileter — no, to niech pan sprawdzi w rozkładzie.

Udał się do informacji i tam usłyszał tę samą odpowiedź: 12, 40.

— Może Ewa się pomyliła — pocieszał się w myśli i postanowił czekać na odejście pociągu wileńskiego; przesiedział parę godzin, mimo jednak najskrupulatniejszego przeszukiwania hali wyjazdowej, śledzenia i wypatrywania, Ewy nie było — od godziny bowiem pociąg unosił ją w innym kierunku, a wyjazd nastąpił z innego dworca...

Wrócił do domu przygnębiony, pełen nieokreślonych, złych przeczuć, przewidując w tym nagłym, tajemniczym wyjeździe nierozwikłaną dla siebie zagadkę, wiążącą się jednak w jego umyśle ze sprawami partii komunistycznej.

A tymczasem w tym samym nieomal okresie Janka Wisnowiczówna odczytywała małą urzędową ćwiartkę papieru, powiadamiającą ją o przeniesieniu na nowe stanowisko samodzielnej kierowniczki szkoły, wraz z nowym stopniem służbowym. Ten małeńki arkusik, zawierający zaledwie kilka wierszy maszynowego pisma, zmieniał jej życie zasadniczo, przynosił to, o co poprostu modliła się w swych pragnieniach — zbliżał do Warszawy i Jerzego. Podróż autobusem do stolicy z nowej szkoły

trwała zaledwie kilkanaście minut, każdego więc dnia, o ile tylko czas pozwoli, będzie mogła widzieć się z nim, otoczyć go całą miłością, ciepłem i sercem... Rozważając swój stosunek do Jerzego, czyniła sobie wyrzuty, że w ostatnich czasach listy jej były może mniej przyjazne i serdeczne, że mimo wszystko, mimo niemożliwości, jakie się nastęrczały należało jednak pojechać, widzieć się z Jerzym i w głębokiej, szczerzej rozmowie wyjaśnić i wyświecić te nieporozumienia, jakie między nimi zapadły. Plan miała ustalony: w Warszawie zainstaluje się u swojej bliskiej przyjaciółki jeszcze z czasów seminaryjnych, przejdzie w tym czasie dodatkowy kurs nauczycielski, a potem powróci tu jedynie dlatego, aby ostatecznie zlikwidować mieszkanie i przenieść się na nowe osiedle.

— Będzie nam pani brak—mówił ze szczerym smutkiem w głosie stary Kobyliński — ale cóż robić, doskonale pojmujemy, że pragnęła pani tego i daj Boże, panno Janeczko, aby tylko nowe miejsce przyniosło jak najwięcej szczęścia i pociechy...

— Przyniesie, przyniesie! — odpowiadała z przekonaniem w głosie.

Jakoż w kilka dni potem znalazła się w stolicy, zainstalowała i nie powiadamiając przed tym Jerzego o swoim przybyciu, udała się do niego.

Znalazła w nim zmiany nietylko zewnętrzne, nietylko przeraziła ją wychudła i zmierzowana jego twarz, ale po kilku minutach wy czuła, że w tym człowieku tkwi jakaś wewnętrzna choroba, płonie jakiś niezdrowy ogień i z dawnego Jerzego pozostał tylko daleki i tym więcej kochany obraz.

— Jerzy, co ci jest, dlaczego jesteś taki inny, dziwny, obcy?

— Zdaje ci się Janko, jestem poprostu przepracowany, zmęczony i oto wszystko. Zresztą przeżyłem tyle, iż do pewnego stopnia masz rację, że jestem inny, nauczyłem się patrzeć, rozumieć, wiele rzeczy pojmować w istotnej ich treści i stąd te zmiany, o jakich mówisz.

Nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć, nie знаła teraz jego życia, otoczenia, myśli; wyczuła, że wiele przed nią tai, pewnych tematów unika, jakby nie chcąc wprowadzać jej w swoje osobiste zagadnienia i pobieżnie tylko opowiadając o warunkach swojej pracy. Kiedy otwarcie, szczerze poruszyła z nim sprawę Nszej Myśli, charakteru pisma, jego tendencji, przerwał jej dość opryskliwie.

— Mam wrażenie, że mówisz o rzeczach dla siebie obcych i nieznanych; wychowałaś się i wykształciłaś na formułach utartych, banalnych, płyniesz wąskim prądem, jaki sący się w łożysku konwenansu i zakłamania, a tymczasem nie chcesz widzieć, iż na świecie powstają nowe prawdy, nowe idee, tak wielkie i wspaniałe, że przechodzą wprost ponad naszymi głowami. Trzeba chcieć otworzyć oczy i zobaczyć, co wkoło nas poczyną się dziać, trzeba umieć wczuć i wsłuchać się w myśl ludzką, trzeba mieć siłę, by wybiec poza ten krąg, jakim opasywano nas od dzieciństwa małych głupstw, szablonów i komunalów.

— Jakaż prawdę widzisz przed sobą?

— Ach, moja droga, tego ludzi nie można właściwie uczyć, to trzeba czuć, mieć w sobie. Może... może i ty kiedyś dojdiesz do poznania istotnej treści, istotnego sensu.

Wszystko co mówił, brzmiało dla niej fał-

szywie, groziło niebezpieczeństwem, jego bliskie oddanie się i współpraca z wydawnictwem, jakie powszechnie miało opinię skrajnie wywrotowego, stanowiło niezbity dowód, iż zaszły w nim głębokie psychiczne zmiany, których źródła jednak nie mogła dociec i zrozumieć. Ponad wszelką wątpliwość wiedziała, że życie Jerzego jest otoczone mgłą tajemniczości, której jasny promień jej oczu nie mógł przebić i przeniknąć. Brzydziła się myślą, by śledzić go, tropić, wnikać w jego osobisty ład i porządek życiowy i pocieszała się jedynie, iż obecność jej, zbliżenie wytworzy poprzednie stosunki, powróci szczerość, otworzy serce i usta Jerzego, a wówczas, znając źródło choroby, będzie mogła zająć się tym biedakiem, nad którym jej dobre, młode serce ścisnęło się bólem...

Miała przed sobą kilka tygodni czasu — kurs wakacyjny, na jaki uczęszczała, nie absorbował jej o tyle, by nie mogła przynajmniej paru godzin poświęcić Jerzemu, ale wkrótce przekonała się, że projektowane spotkania nie dochodziły zazwyczaj do skutku, był bywiem zawsze zajęty, a wieczory, jak twierdził, poświęcał dodatkowej pracy redakcyjnej, kiedy jednak parokrotnie zadzwoniła w tej porze do lokalu redakcyjnego, nikt się nie odezwał, stwierdziła zatem z rozgoryczeniem, iż Jerzy ją wręcz okłamuje. Co robił, gdzie był, czemu poświęcał czas — nie wiedziała, ale wrażliwość jej nasycona miłością, głośno nieomal mówiła, że w postępowaniu jego kryje się nieodgadnione dla niej, a tym groźniejsze jutro, coraz pełniejsze mroku i ponurej tajemnicy...

W tych więc warunkach spotykali się dość rzadko, a każde spotkanie przynosiło jej nowe rozgoryczenie; chłód, przymus i sztuczność,

nietajone zniecierpliwienie wiało z każdego słowa, z każdego gestu jego. Nerwowo zmęczona i wyczerpana, rozbita duchowo, nie panując nad uczuciami postanowiła pod koniec swego pobytu rozmówić się z nim otwarcie. Jej prosta, szlachetna natura nie mogła pogodzić się z tym nienaturalnym, bolesnym, zakłamanym stanem rzeczy.

— Jerzy — spytała go wręcz — czy kochasz mnie jeszcze?

Uśmiechnął się blado i zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką.

— Widzę Janko, że stolica i letnia kanięła bruków warszawskich źle podziałała na twą psychikę. Przeceniasz rzeczy i patrzysz w nienaturalny sposób na to, co jest proste i jasne. Powtarzam ci jeszcze raz: jestem zmęczony, wyczerpany i oto wszystko.

Zrozumiała, iż znów kłamie. Spuściła głowę i jasne, perliste łzy zasnuły jej oczy. Wolski spojrzawszy na nią, szybko ujął jej rękę i szarpnięty nagle wyrzutami w stosunku do tej dziewczyny, powiedział ciepłym, miękkim głosem.

— Miałem swoje osobiste ciężkie przeżycia; daj mi się trochę odprężyć, dojść do równowagi, a przede wszystkim wierząc, iż pozostałaś mi zawsze w pamięci tak bliską i drogą, jak byłaś kiedyś...

W kilka dni Wisnowiczówna wyjechała, a gdy po przybyciu znalazła się w domu starego nauczyciela, ten, spojrzawszy na nią, z zaniepokojeniem wykrzyknął.

— Co się stało, chorowała pani? Wygląda pani, jakby powracała ze szpitala!

Tłomaczyła się upałem, zmęczeniem i trybem życia warszawskiego, ale Kobyliński, pa-

trząc na nią spod okularów, począł kiwać głową z widoczną troską.

— To nie to, panno Janeczko, to nie to... Dręczy się pani czymś, czego nie chce powiedzieć przed starym przyjacielem. Szkoda sił, a może... szkoda i serca, ma pani przed sobą wiele lat, wiele pracy i dużo pięknego i dobrego można jeszcze dla Boga i ludzi zrobić.

Odwróciła głowę, by ukryć łzy, jakie błyszczały w jej oczach.

A tymczasem Jerzy wieczory spędzał znów w partii, gdzie robota jednak po ostatnich przejściach, jak i ze względu na okres letni osłabła nieco w swym tempie, natomiast z polecenia kierownictwa żywiej i bliżej począł zajmować się Świtem; w organizacji młodzieżowej trzeba było pewne rzeczy przeformować, nadać im inny bieg, wzmocnić. Miewał tam dość często referaty i wespół z Blasserówną, która jak i przed tym była osiłą tej organizacji, tworzył szerokie projekty, mające ze Świtu uczynić ośrodek tak żywy i intensywny, by zasięg jego promieniował szerzej niż dotychczas. Rundleina i Werenhardowej w Warszawie nie było, kierownictwo Świtu spadło więc nieomal całkowicie na jego barki. Rad był, bowiem dzięki temu wchodził głębiej w sprawy młodzieżowe, na których w partii postanowił wyjechać.

Pewnego dnia, kiedy przybył do Świtu, Blasserówna przyjęła go z twarzą zachmurzoną, a poprosiwszy do biblioteki, zamknęła drzwi i półszepceniem poczęła opowiadać o niemiłej — jak się wyraziła — przygodzie, jaka miała miejsce w Świcie. Oto poprostu jeden z członków organizacji korzystając, że sam na sam znalazł się z młodą studentką...

Nachyliła się do ucha Wolskiego i poczęła coś długo szeptać.

— Świnia — rzucił z oburzeniem. No i co teraz?

— Czy ja wiem, ona robi krzyk, grozi sądem, policją, trzeba tę sprawę jakoś zatrzeć, bo rozumiecie, może być duża nieprzyjemność. Ona jest młoda i głupia i może urządzić skandal. Robi taki wrzask, jakby się naprawdę stało coś wielkiego — roześmiała się cynicznie.

— Ma rację, bo to jest skończone draństwo — powiedział twardo.

— No tak... ale wy to jakoś musicie załagodzić, trzeba ją uspokoić, albo poprostu niech się z nią tymczasem ożeni, a za miesiąc rozejdzie. Można i tak.

Wolski był tym faktem oburzony, podobne stosunki w organizacji, która miała świecić duchową kulturą, szczyciła się wielkimi hasłami postępu, były nie do pomyślenia, postanowił przeto sprawę mocno ująć w ręce, przedstawić ją zarządowi Świtu i żądać jaknajdalej idących konsekwencji.

— Psia krew — myślał — jeśli komunizm będzie miał częściej takie historie jak z Dońskim, Dziurba i obecną w Świcie, to trudno mówić o idei czystej i nieskalanej jak górski kryształ.

Blasserówna ze swym cynicznym uśmiechem wydała mu się wstrętną, a Świt skupiskiem ludzi, którzy oszołamiając się efektownymi frazesami, szukali nie idei, lecz zgola czegoś odmiennego. Przypomniały mu się owe „wieczory klubowe”, na których sam przecież bywał i wiedział doskonale czym właściwie są: orgiami pijackimi i rozpasaniem, uprawianym pod płaszczykiem wzniosłych haseł i wielkich myśli...

Bezdroża coraz krętsze, matnia coraz głębsza

Październik porozpłatał już warkocze deszczów i rudych, zeschniętych liści; Janka od kilku miesięcy siedziała w nowej swojej szkole, wkładając w nią cały zasób sił, energii, pragnąc w ten sposób zapomnieć o tłoczących ją troskach, a Ewa nie tylko, iż oddawna powróciła do Warszawy, ale kilkakrotnie wyjeżdżała z niej ponownie.

Wolski wiedział już z całą pewnością, że rola Karówny w partii uległa przesunięciom w stronę takiej pozycji, która wymagała częstych jej wypadów ze stolicy. Czy osoba Ewy odgrywała rolę łącznika, czy też kontroli pracy w terenie, o tym nie wiedział, chociaż bowiem stosunki jego w dalszym ciągu nie uległy zasadniczej zmianie, to o sprawach partyjnych nigdy z sobą nie rozmawiali.

Szczęśliwy był, kiedy wchodząc do jej pokoju widział ją przed sobą zawsze pełną pojęć, świeżą, co dzień niemal urodziwszą i składając głowę na jej kolanach mógł czuć ciepło jej młodego ciała, patrzeć w mieniące się jak topaz oczy i mieć świadomość, iż jego jest i pozostanie jego...

Stan duchowy, jaki ogarnął go od pewnego czasu, wymagał zapomnienia, szukania oszołomienia, ucieczki przed własnymi myślami... Sprawa Janki Wisnowiczówny dręczyła go jak zły, koszmarny sen i nie dawała spokoju; na pozór nic nie uległo zasadniczej zmianie; młoda nauczycielka bywając dość często obecnie w stolicy, widywała się z nim i nie poruszała już tych przemian, jakie nastąpiły w młodym człowieku, ale Wolski zdawał sobie doskonale sprawę, że w duszy i umyśle tej dziewczyny

rozgrywał się dramat, jaki stworzył swym postępowaniem, że wyrządził jej krzywdę ciężką i niezasłużoną, krzywdę, której, czuł to, nie będzie umiał ani powetować, ani naprawić. Jego drogi z Janką rozchodziły się pod coraz ostrzejszym kątem, rozbiegały i nie widział nawet najdrobniejszego punkciku, na jakim mogły się ześć.

Parokrotnie prosiła, aby odwiedził ją na nowym miejscu pracy i przyrzekając, radby nawet projekty swoje skutecznie, zazwyczaj jednak okoliczności składały się tak niepomyślnie, że bądź to nagłe sprawy administracji, bądź też coraz bardziej narastająca robota w partii, nie pozwalały mu dotrzymać obietnicy i w ten sposób zapowiadany przyjazd ulegał odroczeniu, aż wreszcie przyszła jesień szara, mętna, pełna dżdżów i wichury, najmniej zachęcająca do wyjazdu za miasto...

Stosunki jego w partii uległy poważnej przemianie; po ostatniej ostrej przeprawie, jaką miał w związku z pamiętnym, a tajemniczym morderstwem za cmentarzem wolskim, w sekretariacie poczęto zwracać nań coraz baczniejszą uwagę, co nie było bez powodu, ostatnie bowiem jego posunięcia, zakrojone na szerszą miarę i projekty, jakie począł rzucać odnośnie akcji zasięgowej w sferę młodzieży, były nie tylko śmiałe, ale pełne inteligentnej inicjatywy, co oczywiście obudziło zainteresowanie góry partyjnej.

Spokojny parokrotnie biorąc go pod rękę, z zadowoleniem poklepywał po ramieniu i mówił.

— Władze są z was, towarzyszu, szczerze zadowolone, jeśli tak dalej pójdzie, to możecie przysnąć do sekretariatu jak z trampoliny. A tam

roboła w wielkim stylu, tam do rozgłosu i sławy tylko krok...

Po części te, a po części i inne powody sprawiły, że Wolski coraz głębiej wżerał się w projekty i działalność partii. I on również, tak jak i Janka, szukał zapomnienia, chciał pogubić myśli, leżące na najgłębszych terenach jego duszy, chciał poprostu zakłamać sam siebie i dlatego z pasją, z całkowitym oddaniem się pracował na powierzonym sobie odcinku. A powody te leżały przede wszystkim w ulegającej od pewnego czasu zmianie stosunku Ewy do niego. Zmiana ta była nadto widoczna, by nie miał on jej dostrzec; młoda komunistka jakby tężała w uczuciach dla niego, stawiała się chłodna, czasami wręcz opryskliwa.

— Pozbądź się Jur karmelkowej cikliwości i szlacheckiego sentymentu. Jesteś komunistą i na czułośćkowość wśród nas, ludzi świadomych, ludzi rządzących się wyłącznie rozumem nie ma miejsca. Przecież nie zechcesz zawracać mi głowy bzdurstwami z pradziadowskiej biblioteczki jak miłość, a może jeszcze słowiki, księżycowa noc, zapach bzów i szemranie strumyka... Nam pali się pod nogami, a ty chcesz udawać trubadura z gitarą pod weneckim balkonem. Nie czas, chłopasiu, na poezję wówczas, kiedy wielka sprawa, a jak wielka, to przecież wiesz i rozumiesz, czeka na nasze siły, poświęcenie, ofiarność.

Istotnie Wolski wiedział, że po ostatnim przepłukaniu partii ze strony władz bezpieczeństwa, należało wiele odrobić i że była ona w przededniu wielkiego ataku kontrofencywnego. Po wsiach wrzało, miasta fabryczne były podminowane coraz bujniejszą agitacją, nędza spacerowała pod rękę z jesiennymi chło-

dami i wszystkie te okoliczności należało wyzyskać na rzecz roboty wywrotowej.

Argumenty Ewy osobiście nie przekonywały go w najmniejszym nawet stopniu, nie trafiały zupełnie do sfery jego uczuć, jakie ciągle żywił dla niej. Początkowo starał się chłód jej tłumaczyć zaabsorbowaniem, robotą, dużym zasięgiem pracy, jaki miała przed sobą, wszystko to jednak obijało się o niego jak elastyczna piłka o granitową ścianę, kiedy zaś parokrotnie prawie bez ceremonii dała do zrozumienia, iż nie może mu poświęcić nawet jednej szarej jesiennej godziny, wówczas wzburzył się i wybuchnął napół rozpaczą, a napół niepohamowanym gniewem. Postanowił za żadną cenę nie wypuścić jej z dłoni. bo rozumiał, że gdyby stracił i ją, stracił jej słodkie, oszołamiające upojenie, to wówczas znalazłby się jak samotny, bezdomny człowiek w czarnej jesiennej nocy...

— Poświęciłem dla ciebie wszystko, więcej nawet niż jesteś w stanie przypuszczać, oddałem ci swoją przeszłość i przyszłość, a ty... ty — krztusił się i dławił w pasji — ty, pod pozorem mojej pracy, nie wiem co robisz, gdzie bywasz, jak spędzasz czas!

— Proszę cię, chluśnij sobie zimną wodą na głowę i opamiętaj się, co mówisz. Jakim to prawem, na jakiej zasadzie śmiesz wnikać w moje życie i chcesz je kontrolować? Co ty do mnie masz, czyś ty mnie kupił, mnie wolną kobietę, komunistkę, mnie, która pluje na wszelkie wasze poetyckie mdłości i jazgotanie waszych głupich idiotycznych, czułośćkowych serc. Czy ty nie wiesz, że my, kobiety komunistyczne uznajemy tylko i wyłącznie współżycie z mężczyzną, współżycie tak długie, pó-

ki jednej albo drugiej stronie nie przyjdzie chęć powiedzenia: dość tego! Czy ty nie rozumiesz, że sprzeniewierzyłabym się, zdradziłabym, oszukała ideę komunistyczną samą myślą uczuć wynikających nie z mojej wyraźnej woli i nie z mego trzeźwego rozumu.

— Ewo, ale ja cię kocham, ja dla ciebie rzuciłem i zerwałem z narzeczoną!...

— To wróć do niej — burknęła i odwróciła się niechętnie.

— Nie żartuj—powiedział stłumionym głosem i zbliżył się ku niej. Jego pobladła twarz i zwężone z wewnętrznego wzburzenia źrenice wyrażały jakąś groźbę, czy zapowiedź, ale Ewa nie przelekła się tych utkwionych w nią błyszczących oczu i drwiąco odpowiedziała.

— Cóż to, chcesz mi grozić? Daruj Jur, ale jesteś głupi. Mój kochany, ja już nie raz czułam na skroni zimno lufy rewolwerowej i nawet nie zmrużyłam powiek.

Drżał cały od wewnętrznego wzburzenia i była chwila, iż zdawało mu się, że chwyci ją za białą giętką szyję i pocznie ścisnąć tak długo, z taką zaciekłością, aż w rękach zwinie mu bezwładnie, bezwładne ciało. Może pod wpływem przeczuwanej burzy, jaka ogarniała jego istotę, zanurzyła mu naraz palce w gęste włosy i targając je z lekka pieszczotliwym, miękkim ruchem, poczęła szeptać.

— Jur, Jur, jakiś ty jeszcze dzieciak, czyż nie dałam i nie daję ci dowodów, że jesteś mi bliższy niż inni, że w twoich ramionach zapominam o wszystkim, pamiętając jedynie, żeś jest przy mnie i że jesteś mój... Ach, ty miły, miły głuptasku...

Po takich scenach powracał od Ewy z przekonaniem, że nic się nie zmieniło, że droga do

niej stoi dla niego zawsze otworem, zawsze prosta i krótka, ale złudzenia przyskały wówczas, kiedy ponownie dążył na ulicę Miłą. Albo jej nie zastawał w domu, albo też odpowiadano mu, że jej nie ma, chociaż wewnętrzna świadomość, przecucie, wyczułone nieomal do granic jasnowidztwa mówiło, że jest, tylko nie chce go widzieć.

Jednocześnie znikająca to na krótsze, to na dłuższe okresy, nie starał się zaś badać gdzie i w jakim celu, wiedział bowiem aż nadto dobrze, czym to grozi i jakie może pociągnąć za sobą następstwa...

Myślał czasami o stosunku swoim do Ewy całymi godzinami i gdyby kazał mu ktoś sformułować, określić gdzie i kiedy, z jakich przyczyn, w jakich okolicznościach rozpoczęła się owa falistość, która nabierała coraz wyraźniej ostrych, niespodziewanych spadów, nagle rwących się, zapadających w próżnię—nie umiałby tego określić, wiedział natomiast, że i ta droga rozchodzi się pod coraz ostrzejszym kątem i że może przyjść chwila kiedy rozbiegnie się ostatecznie. Wówczas ogarniało go szaleństwo — chciał iść, chwycić ją za cudne złoto-rude włosy, zwalić sobie do nóg, przynieść to młode ciało kolanami, dręczyć i paść się i wlec za sobą, jak zły czy dobry cień. W takich chwilach, kiedy przestawał być zupełnie panem swych uczuć i myśli, z tego chaosu, z tej gmatwaniny, z tego wewnętrznego oblędu wyrastała nagle przerażająca prawie świadomość, że dla tej stracił tamtą, a tę traci nie wiedział dla kogo i dla czego.

Myśl o Jance stawała się coraz cięższa, dławiąca, bolesna jak ostra zadra wbita za Sieć z czerwonej przędzy

paznokcie. Rozumiał, iż powinien uregulować, wyrównać ten stosunek, a wyrównanie to rozumiał tylko w jednym sensie, powiedzieć jej poprostu: nie kocham cię. Między mną a tobą stanął cień tej, która wżarła mi się w myśl, uczucia, w zmysły. Wszystko mnie z tobą dzieli — i idea, i praca, plany na przyszłość, uczucia...

☛ Nie mógł się jednak na ten krok zdobyć; zrezygnowany, zmęczony wewnątrz, wyczerpany ciągłym nerwowym dociekaniem, pozostawiał sprawy własnemu ich biegowi, wierząc, iż czas i los ostatecznie je rozwiąże.

Janka nietylko przeczuwała jakie są powody zmiany jego stosunku, lecz korzystając z pobliża stolicy, poczęła uważniej patrzeć na Jerzego. Były to wprawdzie urywki małeńkie, nie wiążące się właściwie w całość epizody z jego życia, powoli jednak umysł dziewczyny pracując, kojarząc jedno z drugim, obserwując i słuchając nie tyle wzrokiem i uszami, ile sercem, poczał snuć pewne wnioski, dochodzić do równań w tej zawilej algebraicznej zagadce życia. Pomógł jej nieco i przypadek, podczas bowiem letnich kursów zetknęła się z jedną z współkoleżanek, mającą styczność z odłamami postępowym, radykalnymi i od niej też wiele dowiedziała się o Naszej Myśli i ludziach grupujących się około tej redakcji.

☛ — Wolski, Wolski... poczęła przypominać sobie tamta, poczekaj, to nazwisko nie jest mi obce... Ach, tak, słyszałam, on należy czy należał do tej nowej organizacji Świtu. To jest środowisko młodzieżowe, ogromnie ciekawe, znane zresztą w naszych kołach postępowych. Wiesz, słyszałam nawet — dodała ze śmiechem — że kocha się w jakiejś dziewczynce czy coś

podobnego. Blżej nie umiem ci nic na ten temat powiedzieć, bo go nie znam. A ty?

Janka nic na to nie odpowiedziała, ale te drobne ułamki posłużyły ku temu, iż poczęły ją ciągnąć, jak ciągnie magnes małeńkie cząsteczki żelaza. Z jednej strony bezdroże było coraz głębsze, matnia coraz bardziej zawila — z drugiej jednak światło stawało się coraz jaśniejsze, rysując wyraźniej to, co dotychczas leżało w głębokim mroku. W grę wchodziły nietylko zasadnicze przemiany w pojęciach społecznych i ideowych Jerzego, ważyła tam na szali i kobieta, która szalę tę przeciągała wyraźnie na dół.

Często po długim i ciężkim dniu pracy Janka, klękając wieczorem przed ubogim swoim łóżkiem, podnosiła jasne oczy na pozbliźnięty obraz błyskający dobrotliwą twarzą Często-chowskiej i szeptała.

— Panno święta, ratuj go!

Misja z raportu nr. 171.

Pewnego wieczoru, kiedy lokal wydziału całkowicie już prawie opustoszał, Spokojny zbliżył się do Wolskiego i rzekł.

— Towarzyszu Twardy, pozwólcie do mnie.

Przeprowadził go do swego małego pokoiku, chwilę szukał w teczkach, wreszcie odnalazłszy arkusz zadrukowanego gęstym maszynowym pismem papieru, odłożył na bok, zapalił papierosa i poczał mówić.

— Słuchajcie towarzyszu, sprawa jest tego rodzaju: na jednym z przedmieść usadowił się ksiądz, który psuje nam całą robotę. Urządza wiece, zebrania, konferencje, pcha pisma i bro-

szury, oczywiście ogromnie święte, słowem przewraca to, cośmy na tamtejszym terenie zdążyli zrobić. Sprawa jest o tyle ważna, że ksiądz ma wpływ, słuchają go i, jak mamy wiadomości, robota nasza poczyną się chwiać; tamtego odcinka za żadną cenę puścić nie można, trzeba księdza utracić, wyrwać mu z rąk inicjatywę, uświadomić masy, krótko mówiąc iść tam z naszą akcją i przeciwstawić się kamedule.

Zaciągnął się parę razy dymem, chwilę milczał, jakby coś rozważał i znów zaczął kontynuować.

— Robota nie będzie łatwa, bo ksiądz ma ogromny dar wymowy, zaufanie i uchodzi tam niemal za świętego... Mamy tam wprowadzić kilku ludzi, ale oni do tej pracy się nie nadają, to są towarzysze, którzy mogą iść na grubszą, cięższą robotę, a tu potrzeba sprytu, inteligencji, umiejętnego podejścia. Trzeba cichaczem, chociażby nawet pod pozorem zapisania się do jakiego kółka różańcowego, sodalicii czy mężów zaufania, oderwać powoli, ostrożnie masy skupione koło księdza, rozbić i mądrze, towarzyszu, bardzo mądrze, krok za krokiem, rozpocząć akcję w ten sposób, aby nie zdradzała żadnych pozorów roboty komunistycznej, tylko iść raczej drogą krytykowania, dyskusji, podrywania zaufania, a dopiero — kiedy grunt będzie odpowiednio przygotowany — zrobić swoje. Narazie bez żadnej bibuły, wszystko słowem, bo gdyby robota wylazła na wierzch, to oczywiście czarnosutanniki rzuciliby się w całej klerykalnej prasie, narobili hałasu, wrzasku i więcej by to przyniosło szkody niż pożytku, a jak wiecie towarzyszu, my teraz musimy działać ostrożnie...

Zapalił zgasłego papierosa, podrapał się w podbródek i ciągnął dalej.

— Gdyby trzeba, należałoby nawet na pewien czas w tamtej dzielnicy zamieszkać, wejść z ludźmi w kontakt, a przede wszystkim przecisnąć się do organizacji księdza, istniejącej przy kościele w sali parafialnej. Tam jest główne źródło niebezpieczeństwa. Sprawa była rozważana w sekretariacie i postanowiono ją zgasić, powierzając wykonanie temu z towarzyszy, któremu w podobnej delikatnej robocie można stuprocentowo zaufać. Wybór, towarzyszu Twardy, padł na was.

Przerwał i czekał, patrząc na Wolskiego, jakie też słowa jego wywrą efekt, ale Wolski, chociaż doskonale pojmował, iż jest to istotnie ze strony partii bardzo poważny pod każdym względem dowód zaufania, chociaż uczuł wewnętrznie napływającą falę zadowolenia, opanował się i krótko odpowiedział.

— Zrobię.

— Wiedziałem, że tak odpowiecie i wiem, że można z całym spokojem powierzyć wam tę sprawę. Tutaj macie raport, jaki szczegółowo poinformuje was o sytuacji, o której przed chwilą mówiliśmy; znajdziecie wszelkie szczegóły dotyczące tej czarnej roboty, zorientujecie się doskonale w sytuacji, przeczytajcie sobie zatem uważnie, rozważcie, przemyślcie, a o planie jeszcze pogadamy.

Podał mu duży arkusz, sam zaś wyszedł do przyległego pokoju. Wolski siadł i czytał; był to raport wewnętrzny nr. 171, ze szczegółowym opisem, jak w kościele na przedmieściu młody proboszcz ksiądz Andrzej Hanicz w sali parafialnej, położonej na terenie przykościelnym, urządza systematycznie zebrania, zazwy-

czaj po niesporach, poza tym zaś najczęściej w czwartki o godzinie pół do ósmej wieczorem ściąga prelegentów i prowadzi robotę wyrażnie, przeciwkomunistyczną. Zebrania początkowo nie cieszyły się zbyt liczną frekwencją, ale od paru miesięcy nietylko niedzielne, ale i śródtgodniowe ściągają masowo mieszkańców tamtejszej dzielnicy, przeważnie sferę robotniczą, a co jest objawem najbardziej zatrważającym — i młodzież obojga płci.

Odczyty i prelekcje wygłaszane przez bardzo zdolnych mówców, uderzają w bezwartościowość idei komunistycznej, w jej frazeologię, wykazując nędzę i upośledzenie mas robotniczych w Sowietach, sponiewieranie kobiety, rozbicie rodziny, moralną i fizyczną degenerację dzieci. Ksiądz Hanicz prowadzi specjalne studia, ma obfite materiały anti komunistyczne, dane statystyczne stwierdzające, że na przykład w jednym tylko obwodzie moskiewskim w roku 1935 przeprowadzono około 400 tys. rozwodów, a spraw o alimenty wpłynęło do sądu ponad 360 tysięcy. Raport głosił, iż jeden z prelegentów w odczycie p. t. Bolszewickie dziecko — zwierzę, w tak jaskrawy i dosadny sposób odmalował gehennę i dramat bezdomnych legionów dziecięcych, zżeranych przez nędzę, głód i syfilis, nędzę dziecka-zwierzęcia, które w 10—12 roku zna całe upodlenie życia od zbrodni aż do prostytucji — że na sali po skończonej prelekcji wybuchnął głośny płacz nie tylko wśród zebranych kobiet ale i mężczyzn.

Akcja ta — głosił raport — jest tym groźniejsza, że ksiądz Hanicz bądź osobiście, bądź przez swoich współpracowników przedstawiając najjaskrawsze, najujemniejsze strony życia komunistycznego, wywlekając na jaw szczegóły przy-

musowego bezbożnictwa, teroru, osławionych Solówek i jeszcze słynniejszej wyspy Kond, która stała się grobem dla tysięcy młodocianych bezdomnych włóczęgów, maluje okropny obraz ustroju komunistycznego, opartego na zakłamaniu, przymusie na pozbawianiu jednostek wszelkiej osobistej woli i indywidualności, dając wzamian puste hasła, głód, nędzę moralną i materialną, prostytucję, gruźlicę i choroby weneryczne.

Ksiądz Hanicz cieszy się ogromnym zaufaniem wśród mieszkańców tamtejszej dzielnicy, jest bowiem niezwykle ofiarny i nietylko, iż wielokrotnie spełnia posługi kościelne zupełnie bezinteresownie, ale nadto znany jest ze swej ofiarności, miłosierdzia, pośrednio lub bezpośrednio spieszy z pomocą wszelkiej niedoli ludzkiej, odwiedza mieszkania robotnicze, organizuje komitety samopomocy, kursy szycia, rozdawnictwo obiadów, a współdziałając z szeregiem instytucji o charakterze społeczno filantropijnym, ma szeroki zasięg i z tej też racji zdobył sobie nie tylko zaufanie, lecz poprostu uwielbienie wśród mieszkańców przedmieścia.

Raport był długi, szczegółowy, podający nazwiska, adresy, godziny zebrań, prelegentów i Wolski czytał go z niezmiernym zainteresowaniem. Wynikało z niego jasno, jak na dłoni, że ów ksiądz Hanicz, którego personalia najdokładniej określono w raporcie, był istotnie postacią nieprzeciętną, przepełnioną nie tylko miłością idei, ale i miłością ludzi. Był to człowiek niebezpieczny. Wolski pojmował doskonale, iż przeciwstawienie się takiemu działaczowi nie będzie łatwe i że Spokojny miał rację mówiąc, że trzeba będzie podchodzić do tej roboty ostrożnie, czujnie, wślizgiwać się jak

cień, padać ludziom na serca i umysły. Tym więcej zapalił się ku tej grze do zmierzenia sił swoich z siłami owego księdza, siedzącego w maleńkim domku parafialnym i ze złośliwą radością myślał, jakążę sprawi niespodziankę, gdy pocznie z owego, tak mocno budowanego gmachu kruszyć cegłę po cegle.

Przewertował sprawozdanie raz i drugi, a Spokojnego nie było. Mimowoli spojrzął na papiery leżące na stole i pod jedną z teczek spostrzegł arkusz, którego brzeg wystawał poza teczkę. Rzucił okiem i przeczytał krótki nagłówek: Okólnik tajny, ściśle do wiadomości kierownictwa wydziału.

Zaintrygowany, już chciał sięgnąć po papier, gdy nagle uderzyła go myśl, że przecież lada chwila drzwi mogą się otworzyć i do pokoju wejdzie Spokojny. W stosunkach partii byłoby to dla Wolskiego katastrofą. Cofnął wyciągniętą dłoń, ale ciekawość, jak rozpalone do białości żelazo, piekła mu mózg pytaniem—co może ów papier zawierać? Podniósł się i uchylwszy drzwi, spojrzął w głąb lokalu: w dwóch przyległych pokojach nie było już nikogo, natomiast z trzeciego dobiegał oddalony, stłumiony gwar rozmowy. Nie ulegało wątpliwości, iż towarzyszy Spokojny jest właśnie tam i z kimś jeszcze konferuje. Nie domykając drzwi, cofnął się do stołu i z bijącym gwałtownie sercem pochylił się nad wyciągniętym spod teczek papierem; przebiegł go tak szybko oczami, że narazie nie był w stanie uchwycić właściwej treści, krew z emocji napływała mu do głowy i dopiero po chwili, upewniwszy się raz jeszcze, że w pokojach panuje cisza, uważnie przebiegł papier oczami. Okólnik pochodził z sekretariatu i na podstawie instrukcji z Centrali głosił, że

wobec głębokich rozdzźwięków, toczących władze partyjne w Z. S. S. R. obawy przewrotu i wzmagania się żywiołów reakcyjnych, przeciwstawiających się coraz wyraźniej polityce spadkobierców Lenina, przewrotu, który ogarnia nie tylko masy włościańskie, ale sięga i do wierzchołków partyjnych, należy te wszelkie wiadomości tuszować, przeistaczać, zaprzeczać im i możliwie nie dopuszczać do rozpowszechniania wśród mas ludu pracującego.

Jako przeciwdziałanie, władze centralne zalecają tym żywszą akcję specjalnie wśród młodzieży i polecają sekretariatom wykonanie tego rozporządzenia w tempie możliwie szybkim i agresywnym.

Drżąc ze wzruszenia ręką wsunął papier pod tekę, starając się położyć tak dokładnie jak leżał poprzednio i pochylił się znów nad sprawozdaniem w sprawie księdza Hanicza. Ale już go nie czytał. Myśli wirowały około przeczytanego przed chwilą okólnika, z którego wynikało ponad wszelką wątpliwość, że owa wielka idea komunistyczna, o której w partii mówiło się, iż jest nie tylko mocna jak granit, niewzruszona, ale rośnie ciągle i potężnieje, u podstaw swoich zarysowuje się, chwiewie i staje wobec setek i tysięcy coraz bardziej krytycznych umysłów, które nie tylko od niej odcho-
dzą, ale atakują ją i chcą przewrócić. Ogarnęła go głęboka zaduma; te dwa dokumenty jakie przed chwilą odczytał, tak ściśle kojarzą się z sobą, że stanowią właściwie jedną całość. Ma zwalczać tego śmiałego, nieznanego sobie księdza, spełnić niejako rolę dynamitu, który rozsądzi dzieło budowane przez niego, ale wszak w ten sposób przejdzie do szeregów tych, co zwalczają ideę, jakiej służy. Co za paradoksalna sytuacja, myślał, zawile te jed-

nak dociekania przerwał Spokojny, który powróciwszy, zwrócił się zaraz do Wolskiego.

— No i cóż, towarzyszu, przeczytaliście raport? Ładny pasztet, co?

— Istotnie, sytuacja jest niebezpieczna i wnoszę, że robota nie będzie łatwa. Macie rację, trzeba tam podchodzić ostrożnie, być czujnym, bo łatwo można wpaść.

— Właśnie, właśnie... Dam wam tu adres Dudziaka, lakiernika. Jest to murowany człowiek, od dziecka mieszkający w tamtejszej dzielnicy i stąd zna sytuację na wylot. Ułatwi wam, co będzie należało.

Kiedy Wolski zęgnął się, Spokojny nagle, jakby przypomniał sobie jeszcze coś, zatrzymał go.

— Aha, towarzyszu, jeszcze jedno. Czy wy nie macie stosunków w szkolnictwie, nie znacie kogo z nauczycieli?

— Owszem — odpowiedział z pewnym wahaniem — nieco te stosunki znam...

— To doskonale. A kogo i gdzie?

Żałował teraz, że pośpieszył z odpowiedzią, a cofnąć się nie było już możliwości.

— Znam tu w Grudkach jedną młodą nauczycielkę, ale znajomość ta jest dość luźna...

— W Grudkach, tu pod Warszawą? To świetnie, czy nie moglibyście wykorzystać tej osoby dla partii?

— Nie, to jest wykluczone, to jest endeczka, narodówka, hurra — patriotka i na naszą robotę nie pójdzie.

— Skąd wiecie — zapytał przeciągle Spokojny — wszak przed chwilą mówiliście, iż znacie ją bardzo niewiele.

— Bo istotnie jest to znajomość luźna, ale o tyle znam jej poglądy, zapatrywania, że moż-

liwość wciągnięcia do naszej roboty uważam za wykluczoną.

— Hm, to szkoda, bo to akurat teren podwarszawski... Ale jeśli tak twierdzicie, to trudno...

Pożegnali się i Wolski nie zwlekając, postanowił zaraz na drugi dzień pojechać do Dudziaka, zorientować się w sytuacji i rozpocząć przeciwdziałanie na terenie parafii.

Dudziak mieszkał na odległej ulicy, zabudowanej ciężkimi blokami szarych, jakby koszarowych kamienic, obok których tuliły się niskie parterowe domy i parkany z widniejącymi napisami: plac do sprzedania. Oświetlenie tu było gazowe, słabe i Wolski brnąc wieczorem przez błotnistą ulicę myślał, że jednak pracuje dla tych, którzy gnieźdzą się tu po lichych, nędznych mieszkaniach, mając za towarzysza codzienną troskę o kęs chleba i odpędzenie widma eksmisji. W drugim podwórzu na wąskiej i brudnej klatce schodowej mieszkał Dudziak i gdy zapukał do drzwi, usłyszał najpierw ochryply głos gramofonu, a potem w progu stała młoda dziewczyna i obrzuciwszy go wesołym spojrzeniem, spytała.

— Pan do kogo?

— Chciałem się widzieć z panem Józefem Dudziakiem.

— Pan do brata w interesie? Jeszcze go nie ma, nie wrócił z fabryki, ale zaraz powinien nadejść; proszę, niech pan pozwoli, bo szkoda ciepła.

Wszedł do dużego pokoju, stanowiącego jednocześnie i kuchnię, bo na niewielkim kominię skwierczała słonina w tyglu, zapelniając pokój mdłą, lecz smakowitą wonią. Było tu czysto, dwa łóżka suto załane, świadczyły

o skrzętnej ręce gospodyni, a niewielka żarówka z bibułkową umbrellką rzuciła jasne światło na ubogie sprzęty. Wolski spojrzał na dziewczynę. Była młoda i ładna, apetyczna jak świeża, dojrzała wiśnia. Kokieterijny loczek na czole i z lekka zadarty noszek świadczyły o wesołym jej usposobieniu, a i ona też raz po raz zerknęła z ubocza na młodego i przystojnego gościa.

— Nie chciałbym pani zajmować czasu, bo może brat prędko nie wróci.

— Eee... nie szkodzi, Józek powinien wrócić, jeżeli tylko nie spotkał się znów z tymi swymi kompanami.

— To brat pani widocznie lubi towarzystwo—zapytał uśmiechając się.

— Bo to pan nie wie, jakie są mężczyzny, każdy jeden zawsze sobie znajdzie interes: a to się musi spotkać, a to wstąpić, a to znów ma jakąś sprawę, aby tylko nie przyjść na czas do domu.

— Żebym miał taką ładną gosposię jak pani, to bym wcale stąd nie wychodził — powiedział, patrząc w oczy dziewczynie.

Uśmiechnęła się zalotnie i błysnęła drobnymi, białymi zębami.

— Pan to też lubi widocznie trajlować, ale ja nie taka, żebym się od razu dała na to wziąć.

— Co też pani mówi, zupełnie nie żartuję.

— Ale, już ja wiem, co to znaczy. Każdy mężczyzna to zawsze od tego zaczyna, żeby tylko panience przypochlebić, bo to już taka ich natura.

— To brat mieszka tylko z panią?

— Nie, i z mamą, tylko mama jest po sąsiedzku u chorej pani Pasemkowej na czwartaku.

— A pani gdzie pracuje — indagował ją, z przyjemnością obserwując hożą i zgrabną dziewczynę.

— Pracuję w fabryce trykotaży, ale teraz bez ten kryzys tylko trzy razy w tygodniu. A pan w jakim fachu robi?

— Ja... ja jestem drukarz. Tak, ten kryzys nadmucha biednemu narodowi w oczy — powiedział, jakby pragnąc wywnioskować jakie też nastroje panują w domu tego towarzysza z partii. Biedny roboczy naród tylko tyra i ciągle: a to kryzys, a to bieda, a to zima, to znów głód i tak w kółko.

— Bo to my jedne, odpowiedziała. Na całym świecie tak jest, ale co się martwić, mi nie złe, to będzie dobrze—dodała bezfrasobliwie i podeszła do komina, aby odstawić coraz silniej skwierczącą słoninę.

— No pewnie, że z taką młodą i ładną panią to trudno rozmawiać o polityce, pani na pewno woli mówić o tańcach, kinie i ładnych sukienkach...

— Pewnie, że wolę, co mi pomogą ciągle lamenty—złe i złe. Gorzej, panie, mają ci, których eksmitują z mieszkań i są za bezrobotnych.

Dalszą rozmowę przerwało jednak wejście Dudziaka, który ogarnawszy Wolskiego ostrym, niemiłym spojrzeniem, zwrócił się z pytaniem w pół do niego, a w pół do siostry.

— A co to, w interesie ten pan?

Wolski podniósł się i powiedział szeptem do młodego lakiernika: — ja do was w interesie od Spokojnego.

— Aha, no to chodźcie na chwilę na dół, bo tu nie ma gdzie i pogadać.

Zeszli w milczeniu po wąskich schodach

i dopiero w bramie Dudziak zwrócił się do swego towarzysza.

— Zajdź tu do kawiarni, bo w domu, cholera, baby sterczą nad uszami i człowiek jest jak w niewoli.

W małej kawiarence było prawie pusto, siedli więc przy bocznym stoliku i Wolski wyluszczył lakiernikowi, w jakim celu przybywa do niego. Robociarz chwilę myślał, po czym jął mówić.

— Ksiądz, jak ksiądz, sam osobiście to podobno i nie zły człowiek, ale szczeka, cholera, na tych swoich wiecach, co mu ślina na język przyniesie i faktycznie, że robotę psuje. Tak ludziom we łbach potumanił, że każdego jeden patrzy na niego jak w obraz i tylko czekać, jak zaczną się do niego modlić. Ja już towarzyszowi Spokojnemu dawno mówiłem, żeby zrobić z tym szlus, ale oni tam u góry to wielkie, psia krew, panowie, za guzik mieli to, co Dudziak mówi, a teraz co z tego wyszło — bieda. Poczekajcie tu chwileczkę, skoczę pod siedemnasty po Burakoszczaka, to on wam wszystko detalicznie opowie, bo należał do jakiegoś kółka i zna całą sprawę na przelot. Niedługo potrwa, bo to tu prawie na przeciwko.

Wyszedł i rzeczywiście nie upłynął kwadrans, kiedy wrócił w towarzystwie drugiego młodego człowieka w szaliku na szyi i popielatej cyklistówce. Burakowski zdał szeroką reakcję, opowiadając o zebraniach, prelegentach i wpływach księdza.

— Taki się z tego zrobił mentel, że nawet ci, co już czytywali naszą bibułę i do roboty byli przylepiani, powiadają: łgaliście, dranie, jak z nut i dopiero dzisiaj wiemy, czym pachnie ten cały wasz komunizm i to moskiewskie do-

bro. — Ach, ty frajerze, w kieszce dęty — powiadam — to ty nie wiesz, że klecha musi gadać tak, jak mu każą, że musi pompować bidny naród, otumaniać go, żeby burżujstwo i kapitalizm był na świecie, bo inaczej z czegoby żył, jakby się bidne owce skubać nie dały? — Idź-że pęta — mówią, ty parobie żydowski, co będziesz zalewać i naród ciągnąć na zgubę, jeszcze my ci tak mordę wyfasujemy, że cię rodzona stryjenka nie pozna. — To ja widząc jaka jest sprawa, z innej do nich strony: nie powiadam ja, żeby ksiądz był zły, ale inna jest natura księdza, a inna robociarza, on ma swoje, a my mamy swoje sprawy i musimy dbać, żeby na świecie zrobił się front robotniczo-ludowy i przyszła wielka jedność, bo inaczej nas wszy zeżrą aż do ostatniej żyły. — Idź, śmieciarzu, idź, bajcuj dzieciaki, co grają w guziki pod płotem, ale nie nas świadomych, bo pamiętaj, że za darmo na gumach pojedziesz i jeszcze ci trąbką zagrają, a sanitariusze będą koło ciebie chodzić jak naprawdę koło burżuja. Złe jest towarzyszu, ksiądz psuje robotę, do narodu się łąsi, powiada, że o sprawiedliwość dba, o bidę się troszczy, a baby to dałyby już za niego ślipia sobie wydrapać.

— Wiem, wiem — wtrącił Dudziak — bo i te moje fiksatki, jak tylko warknąć na księdza Hanicza, to ścierwy takie piekło podniosą, że choć uciekaj na drugi koniec miasta. A to miłosierny, a to dobry, a to święty — każda na wyrwyki jazgocze, jakby ją kto wrzątkiem oblał.

Rozmawiali jeszcze długo i ustalili plan działania. Zwykle po niesporach ksiądz urządzał zebranie, na które mógł wejść każdy, kto tylko chciał; Burakoszczak obiecał, że wskaże Wolskiemu najbardziej zagorzałych zwolenni-

ków księdza i tych, którzy już byli skłonni do idei komunistycznej, a dzisiaj pod wpływem akcji, prowadzonej na terenie parafii, bądź odeszli zupełnie, bądź też chwieją się i jeśli nie przyjdzie przeciwdziałanie, odejdą jak i tamci. Umówili się, iż podczas zebrań Burakowski i Dudziak trzymać się będą od Wolskiego z daleka, aby w ten sposób nie zdradzić, że ma on coś wspólnego z ludźmi, znanymi na tamtejszym terenie z poglądów komunistycznych, a cichaczem, na uboczu będą udzielali mu potrzebnych informacji.

Burakowski, pracujący w wielkich zakładach przemysłowych, z zaniepokojeniem w głosie mówił.

— U nas w fabryce robota szła już jak po oliwie, a teraz nastąpił rozłam, robociarze skakają sobie do pysków i jeszcze trochę, a wszystko rozleci się do diabła. Zróbcie towarzyszu, co trzeba — zwrócił się do Wolskiego — póki czas, bo potem będzie za późno.

Pożegnali się i Wolski przyrzekł, iż w najbliższą niedzielę przybędzie na nieszpory, a potem uda się na zebranie, aby wy badać położenie i rozpocząć potrzebną akcję.

Szpica wysunięta naprzód.

Wolski zdał szczegółową relację Spokojnemu, informując go o rozmowie z młodymi robotnikami, zaczerpniętych wiadomościach i wyrażając swój pogląd na robotę, jaką należało przeprowadzić.

— Wnioskując z tego, co słyszałem, ksiądz czyni wyraźne spustoszenie w naszych szeregach i oczywiście należy się temu przeciwsta-

wić, sprawa jednak nie będzie łatwa. Młody proboszcz cieszy się fanatycznym wprost przywiązaniem ludności całej tamtejszej dzielnicy i trzeba będzie stosować taktykę niezmiernie przezorną, aby odrobić to, co czas zepsuł. Na Dudziaka i Burakowskiego nie można prawie zupełnie liczyć, są zbyt mało inteligentni i nie cieszą się zapewne zbyt dużym uznaniem wśród tamtejszej sfery.

— Czy nie uważacie, że należałoby tam na pewien czas zamieszkać?

— Być może, na razie jednak nie widzę potrzeby, w niedzielę tam będę, zorientuję się, postaram z tym i z owym zapoznać, a potem dopiero zdecydujemy, jak należy postąpić.

I istotnie, w najbliższą niedzielę pojechał po południu do kościoła; kiedy przybył, nieszpory już wprawdzie skończyły się, ale ołtarz gorzał jeszcze w światłach, w powietrzu unosiła się gęsta, dusząca woń kadzidła, a chociaż organy milczały, tłum wypływający powoli z niewielkiej świątyni, śpiewał jeszcze ostatnie pieśni z takim przejęciem i taką mocną nutą, że aż chwiały się drobne płomyki świec.

Poczynano szarżyć i część wiernych rozchodziła się do domów, ale znaczny też tłum skierował się do sali parafialnej. Wolski trzymał się na uboczu, rozglądając się za poznanymi niedawno towarzyszami, nie mógł ich jednak dostrzec wśród gęstej ciżby, jaka zappełniła sporą salkę z niewielkim podium i szeregiem prostych drewnianych ław. Ulokował się w ostatnich rzędach z boku i w pobliżu wyjścia, obserwując z zainteresowaniem tych, którzy już wypełnili i w dalszym ciągu napływali do sali. Nie trudno było poznać, iż są to przeważnie

Sieć z czerwonej przędzy

robotnicy, drobni rzemieślnicy, masa pracująca po fabrykach, warsztatach, przy budowie i robotach ziemnych; kobiety, jeśli nie przeważały, to stanowiły jednak znaczny element, a niektóre z nich poprzychodziły nawet z drobnymi dziećmi, trzymając je na rękach lub lokując obok siebie. Młodzieży było wiele zarówno dziewcząt jak i mężczyzn i oni to nadawali sali specjalny charakter ruchliwy, gwarny, bujny.

Wyczuwało się, iż ten tłum przyszedł tutaj dlatego, że była w nim wewnętrzna potrzeba zebrania się w tej sali, skupienia, pocucia siebie razem. Niewątpliwie w innych warunkach te kobiety, pracujące bez wytchnienia przez cały tydzień, wołałyby spędzić godzinę czy dwie beczynn timer wśród ścian swego domu, ci młodzi chłopcy i dziewczęta zapewne chętniej poszliby na rojne i oświetlone ulice, a mężczyźni rozproszyliby się po licznych w tej dzielnicy szynckach — ale był jakiś magnes, jakaś siła tajemnicza, która ściągnęła ich tutaj tak licznie, że kiedy Wolski rzucił okiem po sali, przekonał się, iż była ona wypełniona doszczętnie, i nie tylko stano w przejściach, lecz siedziano nawet na parapetach okien.

— Kto jest ową siłą atrakcyjną — myślał Wolski — czy ów ksiądz Hanicz, wielbiony fanatycznie, czy owe referaty, czy poprostu ludzi tych przyprowadziła zbiorowa fantazja lub psychoza. W salce wrzało jak w ulu. Nagle na maleńkiej estradce ukazała się wysoka, smukła, a zarazem barczysta postać księdza. W sali umilkło naraz i słyhać było tylko poprawianie się na ławach, tu i owdzie przebiegł cichy, stłumiony szept, ale po chwili zapadło głębokie milczenie, jakie obserwuje się w kościołach w najważniejszych momentach nabożeństwa.

Wolski patrzył z zainteresowaniem na księdza, jego duża, jasna twarz i ciemne błyszczące oczy miały istotnie jakiś pociągający, zniewalający urok; wysokie rozumne czoło i usta okolone lekkim dobrotliwym uśmiechem świadczyły, że w tym człowieku musi mieszkać nie tylko miłość Boga, idei, ale i ludzi. Przez chwilę stał nieporuszony, ogarniając wzrokiem zbity tłum, a potem ciepłym, głębokim głosem powiedział.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — zatrzepotało setkami głosów i w tej krótkiej odpowiedzi było tyle ciepła, tyle serdeczności, tyle głębi uczuć, że Wolski aż zdumiał się, jak w paru wyrazach może się dobitnie zamknąć dusza ludzka. Na swoich zebraniach takich głosów nie słyszał...

— Dzisiaj — zaczął ksiądz — poświęcimy nasze zebranie omówieniu sprawy ważności domu rodzinnego, aby mieć obraz, jak o tę rodzinę dbają na świecie Kościół, państwo i społeczeństwo. Ten referat wygłosi za chwilę pan Gąsiorowski, ja zaś, drodzy moi, korzystając ześmy się tutaj zebrali, chciałem wam zdać krótkie sprawozdanie z działalności za ubiegły miesiąc i poinformować o planach na przyszłość. Wspólne to jest nasze dzieło i wspólnie się o nie troszczyć musimy.

Ksiądz Hanicz mówił o organizacjach parafialnych, przytaczał wpływy, wydatki, informował o tym, co uczyniono, gdzie należało spieszyć z najpotrzebniejszym ratunkiem i co jeszcze trzeba zrobić.

— Wszystko to jest kroplą w morzu — mówił młody kapłan — wobec nędzy, jaka coraz

bardziej zaziera do waszych, biedacy, domów. Czym większe zło, tym większych trzeba sił, skupienia się, scementowania w jedną bryłę. Cementem, który ma nas związać, musi być miłość nie tylko Boga, nie tylko samych siebie, nie tylko przyjaciół, ale i nieprzyjaciół. Chrystus przez miłość zbawił ludzkość i dźwignął świat, my przez miłość mamy pokonać nieszczęścia, jakie w nas uderzają i tą miłością zwyciężyć.

Wolski z zainteresowaniem słuchał słów księdza, który nie grzmiał, nie rzucał frazesami, nie sypał błyskotliwą frazeologią, ale swoim równym, spokojnym głosem mówił o miłości, o wzajemnym kochaniu się, o takiej sile miłowania, która ma zwalczyć wszystko, co ciemne i nieszczęsne.

— Ależ to fanatyzm—myślał—albo ten człowiek w ten sposób sugeruje tłum, albo też istotnie zdołał się wznieść ponad popoliłość i przyziemność i sięgnąć do ideału powszechnego dobra...

A ksiądz Hanicz kończył.

— Zły, piekielny wichur ogarnął swoim za-trutym czadem nie tysiące, ale miliony tych, którzy idą z wyciągniętymi pięściami, grożą nie tylko ziemi i ludziom, ale Bogu i niebu. Miłujcie ich tak samo, jak miłujecie siebie, bo są to biedni, opętani, chorzy, którzy potrzebują naszej pomocy, podtrzymania i oświecenia. Zanim ich potępicie, starajcie się ich uleczyć, a leczcie przez zdrową myśl, przez zdrowy czyn, jaki chcemy wam z tego miejsca dać.

— Bóg zapłać księdzu, Bóg zapłać! — zerwał się istny krzyk na sali i Wolski z podziwem, graniczącym z najwyższym zdumieniem widział twarze rozczulone, zmienione, rozchy-

łone usta i oczy wpatrzone w tę wysoką, prostą, zdrową postać księdza.

Uspokoiło się dopiero wówczas, kiedy na estradzie ukazał się prelegent i zaczął mówić o znaczeniu rodziny dla świata katolickiego, o tym, że rodzina ta stanowi podstawowe, niezastąpione wiązadło w całości organizmu społecznego, że rolę tej rodziny ocenił od dawna nie tylko Kościół, ale i państwa coraz wyraźniej troszczące się o spójność i wartość gniazda rodzinnego. Przytaczał przykłady z Włoch, Holandii, Belgii, aż wreszcie przeszedł do stosunków bolszewickich i do roli, jaką komunizm spełnił względem rodziny. Rola ta była tym, czym nóż gilotyny dla głowy skazańca.

Młody człowiek, świetnie opanowawszy temat, mówił z widocznym przekonaniem i zapalem w jak bezduszny i bezmyślny sposób rozbito tę komórkę organizacyjną, jak rozsypało łańcuch życia rodzinnego na niewidzialny pył, jakie przysły tragiczne konsekwencje i następstwa tego, nigdzie nie notowanego w żadnym państwie, w żadnym narodzie systemu.

Mówił o upodleniu kobiety, która pod pozorem ślubów, zawieranych w urzędach policyjnych, przechodzi w ciągu roku przez kilkadziesiąt rąk, mówił jak z duszy, serca i umysłu tej kobiety wywleczono najcenniejszą jej wartość, bo wartość miłości, jak oderwano ją od naturalnych zainteresowań ogniskiem domowym, od ciepła i troski, opieki męża, od tkliwego uścisku rąk dziecięcych.

— Kobieta komunistyczna, kobieta w Rosji bolszewickiej pod naciskiem, naporem tego systemu, stała się bezmyślną pastwą tych, co pod pozorami legalnymi kupczą nią i sprowadzają

do roli pospolitej ulicznicy. Ale serce tej kobiety poczyną buntować się przeciwko temu, co jej ukradziono, coraz głośniejsze dopomina się o naturalne prawa i obowiązki, coraz silniej ciąży do szczęścia, zamkniętego w czterech ścianach domu rodzinnego.

I przytaczał głosy młodych pisarek rosyjskich, przebywających na emigracji, cytował sprawozdania literatek i uczonych, którzy na miejscu w raju bolszewickim przeprowadzali studia, odczytywał urywki z pism i zdania, wyjęte z broszur i istotnie, miał taką siłę argumentowania, taką jaskrawość prawdy, że Wolski, zapomniawszy gdzie i w jakim otoczeniu się znajduje, poco tu i w jakim celu przybył, zaczął z wzrastającym zainteresowaniem słuchać wywodów młodego człowieka i gdzieś w głębi duszy stwierdzał, jakby ukradkiem, z lękiem, że to, co płynęło z małej skleconej z prostych desek estradki, było niestety prawdą...

Kiedy prelegent skończył, zerwała się taka burza oklasków, iż przez chwilę huczało, jakby lawina spadała na dach tego domu.

— Bóg zapłać—wołano—Bóg zapłać za dobre słowa!...

Znów ukazał się ksiądz Hanicz, zaintonował pieśń, podjętą przez zebranych i sala powoli poczęła się opróżniać. Wolski będąc niedaleko wyjścia, wysunął się dość łatwo i stanął wśród tłumu, jaki wylewał się gęstą, ciężką, falą przez drzwi; z przyjemnością chwycił w piersi rzeźkie, mroźne powietrze pod dusznej, zgęszczonej atmosferze, jaka panowała na sali. Wszedł się w tłum bądź powoli rozplywający się, bądź grupami stojący na niewielkim placu i słuchał, co mówią.

— Moja pani kochana, słyszałaś pani co to te dranie zrobiły z porządnej kobiety w tej całej piekielnej Bolszewii? Patrz no pani, na lafirendę ją wykierowali, na pierwszego lepszego sztrompła, od dzieciątka rodzonego oderwali i ni ma na nich żadnej kary Boskiej!

— Jakto ni ma? A nie słyszała to pani Walerkowa, co mówił ten młody, że już się kobiety bontują, już co pod garścią, to poczynają chwytac i same tę rewolucję robią, żeby wreszcie z tym skończyć.

— Cholera, wtrącił jakiś robotnik — przychodzi tacy bajczarze i powiadają: komunizm, komunizm. W Sowietach wszystko jest równość, wolność, swoboda, to ja niby dla tej swobody mam pozwolić, żeby moja żona albo córka wędrowała z łapy do łapy? Bodajże ich zła krew zalała!

— Co tam panie komunizm — dowodził jakiś człeczyna w okularach na długim jak marchew nosie. Aby tylko brzuch nie wołał jeść, to i komunizmu nie ma się co obawiać; już wtenczas kiedy Pan Bóg stracił pierwszego anioła w ciemność, to powstał komunizm i tak on długo będzie, póki nie zapanuje na świecie to, o czym mówił ksiądz proboszcz — miłość pospólna.

— A tak, kochaj pan, panie Trawiński takiego drania, co to przychodzi, chce panu poderznąć gardło i podpalić dom. Kijem ścierwów pędzić, co tam ksiądz opowiada o miłości, niechby mnie taki jucha wpadł pod rękę, to bebeczybym wypruł jak z wieprza.

— Oj, to prawda, to prawda.

Rozchodzili się, wsiąkali w mrok coraz szybciej zapadającego wieczoru, rozplywali po szarych ulicach, a Wolski, słuchając tych urywków,

stwierdzał z całą wyrazistą, jakby oświetloną stu lampami plastyką, iż ta mała salka parafialna, to twierdza nieomal nie do zdobycia. Dlatego tym więcej postanowił ją zdobyć — i w nim grał ślepy, bezmyślny, bezduszny fanatyzm, podobny do tego, o jakim mówił młody prelegent z estrady...

Na rogu ulicy dopędził go Burakowski i Dudziak.

— Nie zbliżaliśmy się do was towarzyszu, bo nie chcielibyśmy zaraz tej grandzie leżeć w ślipia. Poco? Sami widzieliście, to i wystarczy. No i co, mocno ten młody gadał, prawda? Takich pyskaczy co tydzień tu napędzają, a potem na drugi dzień odezwij się w warsztacie, że taki pętał szczeka, co mu ślina na ożór przyniesie, to zaraz warczą: idźże ty w szczękę rąbany, kogo będziesz zalewać, kogo?

— Trudna będzie sprawa — powiedział Dudziak — ksiądz się trzyma jak na kotwicy; niechby go kto chciał szarpnąć, to prędkoby musiał ręce chować, żeby mu czego nie przyłożyli.

— Zobaczmy — odpowiedział w zamyśleniu Wolski. Zapewne, z tego widać, że tłum jest wciągnięty, ogłupiony, oszołomiony. Ale powoli, powoli damy i temu radę... Kiedy będzie następne zebranie, towarzyszu? — zwrócił się do Dudziaka.

— W tym tygodniu nie będzie, dopiero w przyszłą niedzielę.

— Przyjadę, a za parę dni wpadnę jeszcze do was wieczorem, to porozmawiamy co należy robić. Trzeba będzie może na pewien czas tu zamieszkać, poznać kilku bardziej wpływowych robotników... zbliżyć się... wejść... Zastanę was wieczorem, prawda? spytał Dudziak.

ka i w tej chwili błysnęła mu hoża i miła twarzyczka młodej robotnicy z fabryki trykotaży.

Jadąc do domu brzmiał mu ciągle w uszach głos młodego księdza, który mówił:

— Miłością zwalczajcie nieprzyjaciół wasze...

Trudno jest drążyć kamień.

Poczynając od tego dnia, systematycznie bywał na zebraniach nie tylko w niedzielę, ale i w ciągu tygodnia, o ile się takie odbywały. Przyjeżdżał teraz w starym, wyszarżalym ubraniu, w jakimś lichym wyciągniętym z resztek garderoby paletku, a robotnicza czapka i szalik okręcony na szyi nie wyróżniały go niczym od masy, jaka się tu zbierała. Zastawał zawsze jedno i to samo: wypełnioną po brzegi salę, zasłuchaną z głębokim przejęciem tłum i ową postać księdza, od której tchnęło spokojem i łagodnością.

Już po kilku zebraniach przekonał się, iż ksiądz Hanicz prowadzi swą akcję w sposób przemyślany, gruntowny, systematyczny; omawiał on kolejno sytuację robotników na terenie czerwonej Rosji, uciemiężenie włościanstwa, położenie rodziny, bezbożnictwo, sięgając do zagadnień ekonomicznych i tworząc w ten sposób całość tak dosadną, tak istotnie wyrazistą, popartą argumentami, pochodzącymi wprost ze źródeł i literatury komunistycznej, że gdyby Wolskiemu kazano stanąć z argumentami zwalczającymi wywody bądź tego o szerokich horyzontach umysłowych kapłana, bądź też prelegentów, zazwyczaj utalentowanych, znających przedmiot, to znalazłby się wobec zadania nie-

zmiernie trudnego, wszystkie bowiem słowa jakie padały z małej estrady, miały w sobie głęboki sens, treść i czuło się, iż nie są to efektowne fajerwerki, najpierw oślepiające barwnym, jaskrawym płomieniem, aby potem pozostawić tym większą ciemność i przykrą woń spalenizny, lecz że są to prawdy powszechnie niejako znane, ale podane w formie tak skończonoj, że wszelka argumentacja przeciw nim byłaby pusta i jałowa.

Słuchał tych wywodów i niejednokrotnie przytakiwał słuszności przytaczanych zdań. Któregoś dnia ksiądz Hanicz mówił o wolności komunistycznej.

— Dwa podstawowe filary, niejako dwa przyczółki, na których wspiera się budowa mostu komunistycznego, to jest wolność i bezbożnictwo. Głosi się, iż komunizm daje bezwzględną, powszechną wolność, iż dar tej wolności staje się przywilejem każdego; to jest ten wielki barwny sztandar, jaki w pierwszym szeregu niesie się przed komunizmem i w imię jego każe się walczyć i wciągać w szeregi komunistyczne. Ale czyż uciemiężenie robotnika, odebranie mu wszelkiej osobistej woli, wszelkiej indywidualności i swobody działania, zmechanizowanie go, wciągnięcie w masowy szablon, posunięte tak daleko, iż odebrano mu nawet wolność w wyborze mieszkania, jedzenia, ubierania się, napędzanie go terorem i groźbą do związków, zebrań i masowych akcji nie jest żywym zaprzeczeniem tej wolności? Czy lud włościański, który władając ziemią przestał być panem i gospodarzem zdobytych pólów, czy kupiec, uczony, inżynier zmuszony do pracy wedle zgóry narzuconego planu, nie stanowią również dowodu, że wol-

ność jest tylko pustym dźwiękiem? Czy spełnione więzienia, masowe rozstrzeliwania, tortury po tysiącach rozsianych po Rosji czrezwyczajek, czy GPU, słynne Butyrki i Sołówki nie są wielkim krzykiem protestu przeciwko sponiewieraniu słowa: wolność? Na czym się ta wolność opiera, czy na przymusowym wcielaniu tysięcy robotników do organizacji, obcych im z pojęć i ducha, czy na wiecznie wiszącej ponad głowami robotników groźbie, że jeśli w sercach ich powstanie bodajby cień próby życia wedle własnej woli i własnej indywidualności, to grożą im jeżeli nie kazamaty, to głód i nędza.

A jednocześnie garść wybranych, garść tych, którzy stanęli i trzymają władzę, używa tej swobody i wolności w sposób, o którym prasa zagraniczna pisze, iż przypomina życie największych sybarytów, ludzi, dla których wszystko stoi otworem: bogactwo, wyuzdanie, najkosztowniejsze futra, owoce, wina — wówczas, gdy po zbiorowych kuchniach robotniczych naczynia oblepione są brudem, a jedzenie pachnie stęchłą i wzbudza wstręt przy przełknięciu. Dygnitarze komunistyczni w bankach zagranicznych lokują olbrzymie majątki, a niezwykłym świętem dla robotnika staje się chwila, kiedy kładzie na plecy całą koszulę, lub przywdziewa nowe obuwie. Więc gdzież jest ta wolność, jak wygląda ten potężny filar, na jakim ma się wspierać wizja owego mostu komunistycznego; czymże jest właściwie granit i cement, z jakiego go zbudowano? Czyż nie zakłamanie, nie pustym frazesem, nie zwykłym dźwiękiem bez treści?

Wolskiemu, słuchającemu tych słów, przypomniały się stosunki w partii, przecież i tam

siłą idei był właściwie terror i nakaz, i tam nie wolno myśleć własnymi kategoriami, wszelka osobista indywidualność ścierana była na miazgę, a człowiek, wcielony do szeregów, był mechanicznym ogniwem łańcucha, którego początek i koniec były niewidzialne, otoczone mgłą tajemniczości, tkwiące gdzieś w lokalach Paryża, Amsterdamu, Madrytu... Przypomniały mu się dziesiątki epizodów, kiedy to burzył się wewnętrznie na postępowanie nie tylko poszczególnych towarzyszy, ale i na systemy partyjne. Co działo się w Świcie, co mówiono o defraudacjach, o hulastycznym życiu członków sekretariatu, o jakich to erotycznych skandalach opowiadano wśród młodego narybku komunistycznego, a jednak ani jednym słowem, ani jednym wyrazem czy odruchem nie wolno było wystąpić przeciwko temu, protestować, bo inaczej system szpiegowski, inwigilacyjny poczynął działać, a wewnętrzne czezwyczajki miały w zasięgu swym daleko posunięte sankcje...

Mimo takich uczuć, po paru zebraniach postanowił działać, aczkolwiek wiedział, że robotą pójdzie opornie nie tylko ze względu na nastrój zbierających się mas, ale i na wewnętrzne swoje nastawienie, znacznie mniej spoiste i twarde, z jakim początkowo po propozycji Spokojnego przystępował do roboty. Coś się w nim jeśli nie chwiało, to poczyniało go niepokoić, zmuszać myśl do kontroli i siłą nagiąć w stronę tych postanowień, z jakimi tu przyszedł...

Dudziak wskazał mu kilku wybitniejszych działaczy z terenu parafialnego, młodych robotników, o których wiedział, gdzie pracują, jak daleko wciągnięci są w robotę księdza i jak

do nich podchodzić. Byli to: Olewiak, Kamiński, Antelski i Cząber. Ze starszymi nie było co gadać, ci byli całkowicie pod wpływem księdza, prelekcji i nastrojów sali parafialnej, sądził przeto, iż łatwiej będzie podejść do młodych, a przez nich sięgnąć z czasem i wgłąb...

Teraz już po wyjściu z zebrania, przystawał koło grup, słuchał i przezornie, bardzo ostrożnie wtrącał się do rozmowy.

— Nie ma co — mówił po ostatniej prelekcji księdza Hanicza — ksiądz dobrze mówi, tylko widzi mi się, że z tą wolnością to jest troszkę inaczej. W Sowietach nie burzuje, nie kapitaliści, tylko lud i robotnik decyduje o tym, co i jak ma być.

— To znakiem tego, co pan mówisz, tam jest niby dobrze?

— Nie względem tego mówię, żeby tam miało być dobrze, bo może jest tak, jak przedstawia ksiądz, a może inaczej, ale względem tego, że naród roboczy musi dbać o siebie, bo ktoś o niego będzie dbał: kapitaliści, burzuje, kamieniczniki?

— To niby prawda, wtrącił ktoś z ubocza.

— Chwesia jest w tym, żeby nasamprzód pozbyć się żydów, bo patrzcie no państwo, że największe burzujstwo to wiadomo gdzie jest — u Mozków i Aronków. Kto ma fabryki, kamienice, składy, kopalnie jeśli nie oni? Nawet przecież mówiło się i w sejmie, że co do handlu, to można iść na udry i spróbować kto wygra.

W sprawie robotniczej nie ma ani żydów, ani turków, ani Niemców, jest tylko jeden wielki front solidarności ogólnie robotniczej — powiedział twardo Wolski.

— Eee, to pan paskudnie barłożysz, panie ładny, bo to niby jak?—Niech mój brat zębami dzwoni o pustą michę, a Juda napycha kałdun i porasta w złote piórka?

— Sprawa robotnicza jest tylko jedna.

— Jedna, jak jedna, mało to już razy nas wykiwali ci, co przychodzili i trąbili w oba uszy: towarzysze, za wspólną ideę, a jak potem przyszło co do czego, to oni dudy w miech, a my bralim w te cztery litery... Coś to, pan nie robociarz, nie wiesz jak to było?

Bał się naciskać zbyt mocno, bo zauważył iż poczęto go obserwować, a że na stosunkowo nie nazbyt wielkim terenie wszyscy się prawie znali, musiał więc lawirować w ten sposób, iżby niejako wyrobić sobie alibi w tej dzielnicy z racji, dla jakich bywał na zebraniach. Olewiak i Czaber któregoś dnia zapytali go wręcz gdzie pracuje.

— Robiłem w drukarstwie przy maszynie— odpowiedział, ale przez ten cholerny kryzys, siedzę bez roboty. Co, dobre czasy? Idźcie no panowie pod Adrię, Bristol, dancingi, kabarety, to aż w ślepiach się ćmi tak maszyny gnąją jedna po drugiej, dziewczynki w kiecach, futrach, a frajerzy z wypchanymi portfelami pchają się, bo ich forsą śwędzi w kieszeni. Ty robociarzu gnój jesteś, to i gnij. Burżuę, psia ich skrobana do białej kości, używają na winach, pieczeniach, sósach, a ty patrz jak wykombinować na setkę i kawałek boczk. A bez co tak jest, pytam? — bez to, że robociarz jak ten baran kładzie łeb pod nóż i nawet nie wierźnie nogą, jak go rzną. Cholerne życie i tyle!

— No, to niby co robić?

Wolski chciał już odpowiedzieć długim ko-

munistycznym wywodem, ale przezornie wstrzymał się i od niechcenia dodał.

— A co ja tam będę łbem za innych trykał, niech się każdy martwi o siebie, ja kombinuję, skąd na jutro zdobyć z pięćdziesiątkę na obiad.

— A pan niby gdzie mieszkasz — spytał Czaber.

— Przysiadłem u krewnych kątem, ale nie można wytrzymać, dzieci gromada, stancja mała, pisk, ścisk, to tak jak mogę, trochę tu, trochę tam...

Te rozmowy poczęły powtarzać się coraz częściej i Wolski chociaż powoli, z ciągle nieślabnącą czujnością, jął jednak przechodzić do wyraźnej agitacji komunistycznej. Począł ją zwykle od przytakiwania księdzu czy prelegentowi, a dopiero następnie wekslował na uboczne tematy, zahaczające przede wszystkim o wyzysk, nędzę i upośledzenie robotnika.

— Przecież człowiek też coś niecoś czyta, spojrz w gazetę i widzi, co tam stoi: na całym świecie lud robotniczy jednoczy się, otrząsa z jarzma i powiada — dość niewoli! Stary świat ginie, a przychodzi nowy, odmienny, w którym kończy się panowanie faszystowskich krwiopicców, burżujskich faryzeuszów, a do słowa dojdziem i my i też upomnim się o swoje prawa, bo my jesteśmy świat pracy i na nas wszystko spoczywa, niech nasze ramiona opadną wdół, gruchnie wszystko i diabli wezmą cały porządek.

— Pan tak gadasz, jak byś był albo komunistą, albo socjalistą...

— To kiepsko pan słuchasz tego, co mówi ksiądz proboszcz, bo i on powiada, że świat musi stać na sprawiedliwości, a gdzie ta sprawiedliwość jest, czy w tym, że nas eksmitują

z mieszkań, że chodzimy po darmowych obiadach, że wyczekujemy w ogonkach komitetowych, że zębami dzwonimy z zimna, wówczas, kiedy na Śląsku panowie dyrektorzy zarabiają po 30—50 tysięcy złotych miesięcznie, a fabrykantki płacą po 100 złotych za u fryzowanie pieszka. Nie czytałeś pan to, jak w Łodzi jakiś prezes czy czort go tam wie kto, chapał po kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie?

— Pan drukarz, to widać, że człowiek oblatany po świecie, dużo wie i też mógłby tak gadać jak nasi prelegenci — wtrącił z uśmiechem Antelski i przerzucił się oczami z Olewiakiem i Czabrem.

— Bida mnie oblatowała, a to jest najlepszy profesor, wszystkiego nauczył.

Ten system trwał przez parę tygodni, przy czym Wolski, spotykając się z Dudziakiem i Burakowskim, naznaczał miejsca spotkań daleko poza terenem parafii i zasięgał od nich informacji, czy ziarno, jakie począł siać, zaczyna już kiełkować; obydwaj oni stykali się bądź w życiu domowym, bądź fabrycznym z tymi, którzy bywali na zebraniach i relacje ich miały duże znaczenie dla niego, były niejako busolą, wedle której miał dalej i żeglować i brać właściwy kierunek. Przede wszystkim chodziło mu o to, czy nie wzbudza podejrzeń.

— Opowiadał mi wczoraj jeden w warsztacie, że wy jesteście chłop ze łbem, jak się patrzy i swoje patrzeć na wszystko macie. — Każdy młyn — powiadał mi — na siebie wodę ściąga, więc i ksiądz też mówi to, co mu z księżowskiego stanu wypada, ale i robotnik też ma prawo po swojemu myśleć i swoje powiedzieć.

Z tej krótkiej relacji Wolski wywnioskował, iż system jaki obrał, jest skuteczny i że wpraw-

dzie robota obliczona jest na długie terminy, ale ostatecznie rezultaty muszą się okazać pożądane. Był nawet zdecydowany dla tym pewniejszej działalności zamieszkać w tamtejszej dzielnicy przez kilka tygodni, jednakże wglębiając się w rozpoczętą robotę, dochodził do wniosku, iż w tym co robił, nie było właściwej duszy, zapału i że czynił to raczej z obowiązku, przymusu, niż z własnej i głębokiej woli. Nie chciał się do tego nawet przyznać, tał, zwał te nastroje na rozdrażnienie nerwowe, jakiemu ostatnio ulegał, ale mimo wszelkiej argumentacji, wszelkich rozumowych zaprzeczeń, czuł, że podchodził do sprawy nie w ten sposób, w jaki podejść chciał.

Dudziak i Burakowski nie poinformowali go jednakże, o czym go zresztą poinformować nie mogli, a mianowicie, iż od pewnego czasu był śledzony. Po kilku rozmowach Olewiak i Czaber poszli do księdza i powiedzieli wręcz.

— Zdaje się, księżę proboszczu, że na nasze zebrania przyfrunął ptaszek komunistyczny. Taki, za przeproszeniem, drań, co to chce robić agitację. Już my go wypusujemy.

— Niechże Bóg broni—odpowiedział ksiądz żywo. Chwała Bogu, że przychodzi, a jeśli istotnie jest komunistą, to może nieszczęśnik przejrzy na oczy. Zabraniam wam czegokolwiek, co mogłoby narazić naszą dobrą sławę na szwank. Owszem, kochani, niech słucha, niech patrzy i niech się uczy.

Ale mimo tych zastrzeżeń ze strony księdza Hanicza, tego kategorycznego nakazu, Olewiak i Czaber postanowili jednak ostatecznie upewnić się, kto jest ów młody drukarz tak systematycznie uczęszczający na zebrania i znajdujący

Sieć z czerwonej przędzy

zawsze ostrożne, lecz mocne słowo opozycji. Pewnego wieczoru poszli za nim w dość znacznej odległości, a ujrawszy, iż zatrzymał się na oddalonym przystanku tramwajowym, nie dochodząc doń, obserwowali czy wsiądzie i do jakiego wagonu. Kiedy spostrzegli, iż siadł do pierwszego wozu, w biegu już skoczyli do następnego i nie spuszczały go z oczu dotąd, póki nie znalazł się w bramie swego domu. Wówczas to Czaber przeprowadził krótką indagację z dozorcą, a kiedy wyszedł, podszedł do Olewiaka, przechadzającego się po przeciwległym trotuarze i krótko powiedział.

— A kozi syn! No, już ja mu mordę nafaśuję, że garnitur zębów z gęby wypłuje.

I gwizdnął z taką pasją, że aż jakiś przechodzień szybko odsunął się od niego.

Ananke zbliża się...

Korzystając z krótkich wakacji, zwanych w szkolnictwie szczególnie wiejskim, „kartoflanymi”, Janka Wisnowiczówna przybyła do Warszawy, by załatwić szereg drobnych spraw i zobaczyć się z Jerzym. Upłynął jednak dzień, a dotychczas nie zadzwoniła jeszcze do wydawnictwa Naszej Myśli, postanowiła uczynić to dziś, tymczasem oto stoi na przystanku autobusowym, oczekując na wóz, którym ma udać się do jednej ze swych znajomych. W oczu jej, wśród gromadki oczekujących, rzuca się wysoka postać księdza i nagle spojrzawszy nań uważniej z radością wykrzykuje.

— Ksiądz prefekt!

Na dźwięk tego głosu, ksiądz obraca się i miły szeroki uśmiech rozjaśnia jego twarz.

Ależ tak, nie ulega najmniejszej wątpliwości, stoi przed nim Janka Wisnowiczówna, jego dawniejsza uczenica, wówczas gdy był prefektem w prowincjonalnym gimnazjum. Przypomina mu się ta wesoła zawsze, lecz stateczna i rozumna dziewczynka w granatowym mundurku, przodująca całej klasie, to też z widocznym zadowoleniem podchodzi do niej i wyciąga na powitanie rękę.

Spotkanie jest istotnie niezwykle, od chwili bowiem kiedy stracił Wisnowiczównę z oczu, upłynęło kilka lat, czas porozpraszał jego uczennice po świecie i zaledwie wiedział o losie kilku bliżej trzymających się stolicy. I jego też praca, obowiązki, służba Boża pochłonęły nieomal całkowicie, ale oto w tej chwili wspomnienia odżywają, przed oczyma wyrasta szereg białych sal i duża gromada dziewcząt, które prowadził, kierował i urabiał te młode charaktery i serca na dzielne służki zarówno Bogu jak i ludziom...

Jance również wspomnienia tłoczą się do głowy, jakby lata gimnazjalne zamknęły się dopiero wczoraj. Kochany, drogi ksiądz prefekt, uwielbiany nie tylko przez wszystkie uczennice, ale także szanowany, jak czczony przez cały personel nauczycielski. Janka przypomina sobie, że słowo księdza prefekta miało częstokroć wagę decydującą, przypomina sobie jego gorące, płomienne konferencje, wzniosłość myśli, szlachetność wszystkiego, o czym mówił, na co wskazywał, co zalecał...

To też i ksiądz i dawniejsza uczenica z rozjaśnionymi twarzami spoglądają na siebie, a ksiądz Hanicz dziwi się, jak to z małej Janeczki wyrosła już dojrzała niewiasta o rozumnym wejrzeniu, choć trochę smutnej twarzyczce.

A Janka, patrząc na księdza, czyni znów spostrzeżenia, że jest w nim zawsze ten sam spokój, ta sama wyniosłość i dobroć, która promieniuje od całej postaci.

Bezlądnie, urywanymi zdaniem opowiada Janka o sobie.

— Tak bym rada kiedykolwiek dłużej z księdzem prefektem pogawędzić, tyle zebrało się myśli, niepokojów, rozterek, a nie ma ich przed kim wynurzyć, poszukać rozwiązania i rady... Tak bym chciała...

— Ależ będę bardzo rad, proszę mnie odwieźć np. w niedzielę, mam zazwyczaj zebrania, to przedtem lub potem możemy swobodniej i dłużej porozmawiać. Zobaczysz pani moją salę parafialną, moje stadko wiernych i mały, biedny kościółek.

— Dziękuję księdku, dziękuję — mówi już z pośpiechem, widząc nadjeżdżający wóz. Skorzystam z zaproszenia i w niedzielę wpadnę.

Wskazuje do wielkiego autobusu i stojąc na platformie, patrzy jeszcze przez chwilę na wysoką postać księdza. Tak, ten sam ksiądz Hanicz barczysty, tylko w oczach ma więcej jakby smutku, a twarz trochę zmęczoną... Obiecuje sobie, że w niedzielę dowie się o wszystkim, wiele i wiele mu powie, tyle istotnie w tym biednym jej sercu nagromadziło się wątpliwości, obaw, wahań, iż wierzy, że u tego księdza, którego zna, w którego umysł i serce tak głęboko ufa, znajdzie jakieś rozświetlenie mroków, otaczających ją od tyłu miesięcy...

Podniecona radośnie tym spotkaniem, pełna jakby otuchy, dzwoni do Jerzego raz, drugi i trzeci, ale nie może go zastać. Odpowiadają

jej jakoś mętnie, niewyraźnie, że może przyjdzie, niewiadomo jednak kiedy, a chociaż ponawia znów telefony, skutek jest ten sam — Wolskiego nie ma.

Janka jest wysoce zaniepokojona, tymczasem zaś — Wolski szaleje. Karówna aresztowana. Katastrofa przyszła tak nagle, spadła tak nieoczekiwanie, iż w pierwszej chwili nie chciał wierzyć w jej prawdziwość, ale kiedy zamierzał pojechać do jej mieszkania, aby zaczerpnąć trochę szczegółów, Spokojny mu powiedział.

— Z daleka od tamtego domu, tam już tropią i łatwo wpaść. Trudno, towarzyszu, to jest wielkie nieszczęście i, psia krew, zdaje się, że tu nie Karówna winna, tylko inni...

Zrozumiał słuszość tej argumentacji, a chociaż bezceremonialnie ją przyciskać Spokojnego o bliższe wiadomości, ten mu opryskliwie rzucił.

— Aresztowali ją w pociągu, złapali jakąś bibułę, a zresztą dajcie mi pokój, bo cholera mnie na to wszystko ciska.

O szczegółach dowiedział się z prasy porannej, przynoszącej rewelacyjne artykuły o aresztowaniu młodej komunistki w ekspresie, przy której znaleziono nie tylko niezbite dowody, iż była łącznikiem partyjnym, ale ponadto wykryto dokumenty, świadczące, iż prowadziła akcję szpiegowską na rzecz ościennego mocarstwa. Artykuły brzmiały niezmiernie sensacyjnie i w zakończeniu donosiły, że sprawa nabiera bardzo szerokiego zasięgu, zahacza nie tylko o Warszawę, ale Gdańsk, Paryż i Mediolan. Tego samego dnia jedno z pism wieczorowych doniosło, że wraz z Karówną aresztowany został jeszcze jeden ze znanych warszawskich komunistów, natomiast inny, zamieszany

bezpośrednio w całą aferę, należący do władz centralnych, zdołał się narazie z matni wyknąć.

Rewelacje, jakie przyszlę następnie, były nawet dla Jerzego zdumiewające. Pisano oto, że Rundlein przebywający od pewnego czasu w Polsce, a stale zamieszkujący w Paryżu, przy pomocy Karówny uprawiał dwa procedery: nie tylko zaopatrywał w broń wywrotowców polskich i ukraińskich, ale jednocześnie przez ręce Karówny prowadził akcję szpiegowską na rzecz sąsiedniego państwa. Okazało się nadto, że współnikiem ich był niejaki Doński, zamieszkały na Nalewkach, mający poważne zatargi z prokuraturą na tle malwersacji pieniężnych i procederu, mającego wielką styczność z fałszowaniem paszportów. Z relacji prasowych wynikało nadto, że Rundlein przebywał w Polsce za podrobionym paszportem, skąd wyjeżdżał do Włoch i tam organizował kadry bojowego wywrotu komunistycznego, mając zaopatrzyć je w broń. Gdy we Francji żywioły socjalistyczno-komunistyczne poczęły podnosić głowę, Rundlein powrócił do Paryża, przebywając tam za fałszywym paszportem przez pewien czas bezkarnie, chociaż przed tym już został wydalony z granic Francji; czując zaś, iż ziemia pali mu się pod nogami, powrócił do Warszawy i tu wysuwając Karównę, sam ukryty w cieniu, począł przez nią działać już na znacznie bliższym terenie, niż granice Francji.

Jednocześnie artykuły potraçały i o te szczegóły, że zarówno Rundlein, Karówna, jak i pozostali członkowie bandy szpiegowskiej rozporządzali ogromnymi sumami i podczas wypadów swoich do Gdańska, odwiedzali Sopoty,

zostawiając tam nie rzadko w kasynie po kilka tysięcy guldenów...

Wiadomości te podziały na Wolskiego w sposób wręcz oszalamiający. Nie ulegało żadnym wątpliwościom, iż komunizm Karówny polegał przede wszystkim na robocie szpiegowskiej, na zdradzie najistotniejszych interesów tego państwa, w którym i z którego żyła ona i miliony jej współwyznawców... Do obłądu doprowadzała go myśl, że ta złota, pyszna głowa dziewczyny spoczywa w tej chwili na brudnej i twardej pryczy więziennej, że niewątpliwie z całą przenikliwością widzi i rozumie niebezpieczeństwo, jakie nad nią wisi. Nie umiał pogodzić się z myślą, by ta wytworna, elegancka kobieta, zamknięta w zimnej, wilgotnej celi, zdana na surowy rygor, na pastwę ciężkiego losu, znalazła w sobie tyle hartu, iżby się nie załamać. A jednocześnie wzburzenie wewnętrzne tętniło mu aż krwią w skroniach, że oto ona, komunistka, głosząca czystą ideę komunizmu mogła imać się tak wstrętnej, tak haniebnej, tak upadającej roboty jak szpiegostwo! Szpieg! — czyż może być miano bardziej poniżające człowieka jak ten wyraz, który wykreśla każdą jednostkę spośród równi społecznej. Jeśli to robiła Karówna, dlaczegoż nie ma tego robić Werenhardowa, Gasper, Tulicki, Spokojny, ci wszyscy, których zna, którzy przecież w ten sam sposób mówią, co mówiła Ewa, którzy twierdzą, że idea komunistyczna nie ima się tego co złe, nikczemne, brudne?...

Leżał całymi godzinami na tapczanie, a myśli ciężkie, bolesne, piekące jak krople rozpalonego ołowiu, przelewały mu się powoli pod czaszką i nie mogły wyjść z coraz bardziej

zwężającego, zamykającego się kręgu dręczących pytań, czy w tej idei, której służy w jaką wierzy jest istotna prawda i istotna szlachetność dążeń? Czy ten ksiądz, mówiący o komunizmie, nie miał racji. Czy on, Wolski, nie cierpi na nieszczęsną kataraktę, przesłaniającą mu wzrok?

Długa jesienna noc ciągnęła się jakby bez końca, godzina powoli, powoli płynęła jedna po drugiej, a on jak obłąkany, jak zgubiony w bezdrożu szukał rozwiązania tych dręczących, tragicznych pytań i nie mógł ich sam w sobie znaleźć. Z bolesną ciekawością słuchał, jak zegar bił trzecią, czwartą, aż wreszcie, kiedy zdawało się, że bezdeń tej ciemności nie będzie miała nigdy kresu, na szybach poczał szarzyć jakby spopielały, mętny świt i wstał dzień jesienny, szary, mglisty..

Wolski był duchowo chory, rozbity, niezdolny do żadnego wysiłku, dopiero około południa powlókł się do administracji, ale i tu nastroj był przygnębiający, popłoch z powodu aresztowania Karówny odbił się tak wyrażnie, wywołał taką konsternację, iż nie mogąc dłużej znieść tej atmosfery podniecenia, wyszedł, a wstąpiwszy do pierwszej lepszej spotkanej restauracji, kazał sobie podać czarnej kawy, butelkę koniaku i wpatrując się bezmyślnie w okno, w spokojny, normalny ruch ulicy, z myślą, jakby przylepioną do Ewy, pił kieliszek za kieliszkiem tak długo, póki nie wysączył — nawet ku zdumieniu kelnera — całej butelki. Ale trunek nie dał mu zapomnienia i dopiero jeden i drugi proszek nasenny zrobił swoje: wpadł w ciężki, odrętwiający sen, w którym splątało się wszystko — Ewa, partia, Rundlein, jakieś majaki wspomnień z dzieciń-

stwa, twarz Janki i niewiadomo skąd twarz nieboszczki matki...

Po paru dniach rozpiezchnięte myśli poczęły się układać w pewną całość i dopiero teraz przypomniał sobie, że ostatnie okresy jego stosunku z Ewą były jakby zapowiedzią czegoś nieoczekiwanego, groźnego. Widywał ją coraz rzadziej, czasami parokrotnie przychodził po to, by odejść od zamkniętych drzwi, kiedy zaś ją wreszcie zobaczył, była przeważnie podniecona, jakaś inna, obca... Pewnego dnia powiedziała mu wręcz.

— Słuchaj Jerzy, przez pewien czas nie będziemy mogli widywać się zupełnie; zaczynają na mnie patrzeć, a ty rozumiesz czym to grozi nietylko już tobie osobiście, ale sprawie i dlatego w imię sprawy, jakiej wspólnie służymy, trzeba stosunek nasz zlikwidować.

Zanim zdążył otworzyć usta, odpowiedziała mu ostro.

— Na żadne sentymenty nie ma czasu. Tu chodzi o ważniejsze sprawy, niż nasze własne widzi mi się..

I istotnie od tego dnia, choć upłynęło kilka tygodni, widział ją zaledwie raz, czy dwa; gdyby przypuszczał, gdyby mógł przewidzieć, do jakiej roboty Ewę wciągnięto, jakiej sprawie służy, prosiłby ją, tłumaczył, perswadował, przedstawił całą okropność misji, jaką na się podjęła, jednocześnie zaś stwierdzał, iż Karówna zbyt była w swoich postanowieniach zdecydowana, nieugięta, a przede wszystkim świadoma tego, co czyni, by słowa jego mogły zmienić istniejący już wówczas stan rzeczy.

Ogarnęło go takie rozdrażnienie, iż postanowił przez kilka dni nie chodzić ani do administracji, ani do lokalu partii, tym więcej, że

ostatnia wsypa Rundleina i Karówny wywołała ogromną konsternację i zebrania odbywały się dorywczo w rozmaitych lokalach dość chaotycznie, wytorowane z normalnego biegu. Postanowił też nie brać udziału w zebraniu parafialnym, kiedy jednak przyszła niedziela, coś go poprostu tam ciągnęło, jakby zniewalając do pojechania na zwykłą niedzielą prelekcję, a chociaż do ostatniej chwili ociągał się, wahał, to jednak kiedy przyszła godzina piąta po południu, skoczył w tramwaj i w niespełna pół godziny znalazł się na miejscu.

Było jeszcze dość wcześnie, nieszpory ledwo się skończyły i w sali siedziało zaledwie kilkanaście osób. Kiedy wszedł, pierwszą postacią, jaką ujrzał, był ksiądz Hanicz, który stojąc obok estrady, z uwagą słuchał jakiejś kobiety, coś mu żywo opowiadającej; ostre światło żarówki padało wyraźnie na twarz księdza i w pewnej chwili, gdy postać kobieca odwróciła głowę, Wolski spojrzał i zdrętwiał. Zamrugał szybko powiekami jak człowiek, co z ciemności wchodzi w krąg jasnego światła i spojrzał ponownie przed siebie. Obok księdza stała Janka Wisnowiczówna.

— Wariuję — mruknął i odwrócił oczy w inną stronę, aby po chwili przenieść je na dwie postacie, stojące w blasku światła, teraz źrenice jego rozszerzyły się tak gwałtownie, że odbiło się w nich nie tylko wyraźne zdumienie, ale aż przerażenie. Nie ulegało żadnej wątpliwości, iż obok księdza Andrzeja stała Janka — Jan-ka Wis-no-wi-czów-na — Jego świetny, sokoli nieomal wzrok nie mógł się mylić: oto widzi jej twarzyczkę o delikatnych rysach, ze smutnym półśmiejchem, jej prosty cienki nos i oczy, które zna tak doskonale, podniesione

w tej chwili ku twarzy księdza; poznaje nawet jej skromny popielaty płaszcz, jej zielony kapelusik tak wdzięcznie ułokowany na bujnych kasztanowatych włosach.

Mimowoli przetarł ręką czoło i wpił się oczami w Jankę i księdza; myśli rwały mu się na strzępy, przelatywały, szumiały tętniącą krwią w uszach: skąd się tu wzięła, poco, skąd zna księdza Hanicza, czy wie, że on tu jest?

Po chwili ochłonął i szybko wysunął się z sali; skręcił w pierwszą lepszą ulicę i zaczął zbierać rozproszone, jak tabun dzikich koni, myśli.

— Co to jest, jakąż straszną zagadkę życie stawia mu przed oczyma?

O tym, by pozostać na sali, nie było mowy, przypadek mógł zdarzyć, iż Janka go dojrzy, spostrzeże, a wówczas?... Co by jej odpowiedział, jakby wytłumaczył swą obecność tutaj, czym by ją upozorował. Nie wiedział w jaki sposób rozwiąże tę tajemnicę i czy ją wogóle rozwiąże, ale wiedział, że życie stawiało się dlań ciężarem, pod którym poczynął jęczyć jak objuczone ponad miarę i katowane zwierzę... Powrócił do siebie rozdygotany wewnętrznie, rozbity i znów począł szukać zapomnienia w butelce koniaku. Gdy po tym późno w nocy znalazł się w domu, był kompletnie pijany.

A tymczasem po zebraniu Janka długi czas rozmawiała ze swoim kochanym, dobrym księdzem prefektem; młoda dziewczyna mówiła mu o sobie, o swoich zawodach i bólach życia, mówiła i o narzeczonym. Kiedy rzuciła słowo Wolski, ksiądz naraz drgnął, zakrył oczy powiekami i chwilę milczał, poczym scicha rzekł.

— Musimy się — dziecko — modlić za niego oboje.

Hallo, tu Pogotowie Ratunkowe!

Karównę osadzono na Pawiaku, była jednak tak ściśle izolowana, iż nietylko, że mimo zabiegów Gasper nie mógł uzyskać widzenia, ale nie przyjmowano nawet zwykłych „wałówek”, posyłanych zazwyczaj więźniom. W partii o aresztowaniu Karówny przebąkiwano, że gdyby nie wiadomości z wewnątrz, z samej partii, katastrofa nie nastąpiłaby i że najwidoczniej pospolite „kapowanie” sprawiło, że policja wzięła ją jakby w nadstawione ręce. Cichaczem mówiono też i o tym, że śmierć Dziurby była fatalną pomyłką i że nie on był winien przeciekaniu wiadomości na zewnątrz, lecz gdzie indziej należało szukać właściwych sprawców... Gasper nie taił, że sprawa Karówny była zła.

— W tych warunkach — mówił — może dostać nawet 8 lat. Trzeba szukać punktu obrony, ale będzie to trudno.

Wolski, nie panując nad sobą, wtrącił:

— Kto naprowadził Karównę na tę robotę, to popełnił świństwo!

— Moi kochani — powiedział twardo adwokat — Karówna robiła wszystko na swój rachunek, a zresztą jakkolwiek było, to sąd o tym należy nie do was. Są to sprawy, leżące poza wami, towarzyszu Wolski.

Chciał coś odpowiedzieć, ale machnął tylko ręką i po raz pierwszy pożegnał się z Gasperem w sposób widocznie oziębły. Zniechęcony, apatyczny, powłókł się do Świt, sądząc, iż może Fela Blasserówna, źródło wszelkich wiadomości partyjnych, będzie coś wiedziała, ale na wypytывania jego odpowiedziała lekceważąco.

— Wy, towarzyszu Wolski, jesteście za bardzo nerwowi, byle co i już cały dramat. Stanie się dziewczynce jaka mała nieprzyjemność — zaraz cała historia, w partii trochę zamieszania — to samo, Karówna wpadła — trudno, wy rozumiecie, że w naszej robocie i wpaść też trzeba. Nie zetną jej tej złotej główki, nie... Tak towarzyszu, wy jesteście bardzo, bardzo nerwowi.

Wolski wstał i zimnymi oczami popatrzał na nią.

— Wiecie co, Blasserówna i wy, i wasz Świt, i wasze dziewczynki, i wszystko to razem, to jest wielkie draństwo i świństwo!

— Przepraszam was, co to jest, o kim wy tak mówicie, o partii? Ja dam znać towarzyszom z sekretariatu, wy Wolski za bardzo sobie pozwalacie!

Nie odpowiedział nic, tylko wychodząc trzasnął z taką pasją drzwiami, że huk zapełnił całą klatkę schodową.

— Świnie! — żuł w zaciśniętych zębach i czuł, że gdyby jednym kopnięciem mógł rozbić całą partię komunistyczną na szczątki, a drugim świat, uczyniłby to z dziką, zwierzęcą rozkoszą. Dławiła go nieokiełznana pasja do wszystkiego, co go otaczało, czuł niechęć, żal, gorycz i do partii, i do towarzyszy, do systemów, nawet do tego nieba, co wisiało nad nim szare i siąpiło przejmującym, lodowatym deszczem. Zburzyć to wszystko, zniszczyć, wytworzyć taki chaos i zamęt, ażeby w tym bełzadzie i anarchii nie pozostała żadna całość, ażeby wszystko, co jest z materii stało się rumowiskiem, a dopiero na tym rumowisku wyrosły nowe formy i nowe egzystencje. Ach, z jakąż rozkoszą widziałby po-

zógę, obejmującą ulicę za ulicą, czarne chmury dymów, jaką rozkoszną melodią stał by się dla niego jęk przerażenia, wydzierający się z tysięcy gardzieli ludzkich, jakby sam chciał w obłędnym strachu patrzeć na dzieło zgrozy i wobec tej zgrozy konać! Niechby ze wszystkiego, co jest, nie pozostał ślad, niechby jestestwo jego z milionami innych zapadło w czeluść bezpowrotną i dopiero w tym wichrze międzyplanetarnym rodziły się z bólu istnienia ludzkich nowe żywoty i nowe formy.

Była w nim żądza niszczenia, pastwienia się nad samym sobą; Ewa i Janka stały mu się obie obojętne, partia nienawistna i tylko nerwy wyciągnięte jak struny, podniecone jakby najsilniejszym narkotykiem, szukały odprężenia w czymś, co było odmienne od codziennego dnia, codziennych drobnostek i szarpania się w zamkniętym kole udręki.

Postanowił pojechać na zebranie księdza Hanicza, dowiedzieć się za pośrednictwem Olewiaka, Cząbra czy też Antelskiego, skąd i dlaczego Wisnowiczówna była wówczas w sali parafialnej, przypuszczał bowiem, że jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio może przez nich otrzymać choć nieco informacji. Postanowił też wreszcie mocniej uderzyć w to gniazdo, jak je nazywał, ciemnej mocy i doczekawszy niedzieli, niezwykle podniecony, pojechał na zebranie. Spotkał go jednak pewien zawód — na zebraniu przewodniczył młodzieutki wikary, nieśmiały, o delikatnej, jakby dziecięcej twarzyczce, a referat wygłosił któryś z przyjezdnych prelegentów. Okazało się, iż ksiądz Hanicz jest od kilku dni chory i zebranie w zastępstwie jego zagaił młodzieutki księżyk.

Nie doczekawszy końca, wyszedł przed bu-

dynek i zapalił papierosa, wnet zaś za nim wysunęli się Kamiński, Olewiak i Cząber. Przywitali się i Cząber, cykając śliną przez zęby, od niechcenia powiedział:

— Ten młody barłóży, wygłupia się, że wszędzie źle, tylko niby u nas dobrze. Pewnie, co takiemu szczeniakowi złego, mamusia go jeszcze mliczkiem napoi, chusteczki do kieszonki włoży, to pewnie, że nima co narzekać...

— Cożes Feluś taki dobry dzisiaj jak osa — zapytał Olewiak.

— A bo mnie cholera wielka ciska! Powiadają: we Francji źle, w Ameryce źle, w Bolszewii źle, w Hiszpanii źle, bo wszędzie są komuniści i socjaliści, tylko tu u nas niby dobrze, ale od tego dobrego, to się już rzygać chce. Kupisz portki, to nie masz na buty, kupisz buty, to kałdun krzyczy gwałtu i tak ciągle w kółko, aż człowiek zbaranieje, że nie wie co i jak robić.

Wolski uśmiechnął się.

— Macie panie Cząber rację, gadać można dużo, wiatr słowo złapie i tyle z niego zostanie, ale człowiek jak patrzy na cudzą i na swoją nędzę, jak nie widzi tej nędzy końca, jak wszyscy wycierają sobie nogi o niego jak o słomiankę, to wtenczas żadne gadanie nie pomoże, tylko dusza w nim krzyczy, że boli i że chce dla siebie prawa, aby żyć po ludzku, nie po piesku.

— Duże słowo powiedzieliście — bąknął Olewiak.

Szli w stronę ulicy i przystanąwszy na rogu, chwilę jakby się ociągali, aż wreszcie Kamiński się pożegnał i pozostali we trzech.

— Z wami to przyjemnie porozmawiać, bo

wy zawsze jakieś mądre słowo puścicie. Ja tam nie mówię nic na księdza, bo niby ksiądz wiadomo — inaczej mówić nie może, ale tak prawdę powiedziawszy, to miele się w kółko jedno i to samo: komuniści złodzieje, komuniści chcą zguby, u komunistów głód, nędza, a ja wiem naprz., że tak nie jest. Czytałem taki tygodnik, co opisywał, że jak we Francji zastrejkowali, to komuniści powiedzieli: tak długo nie staną do roboty, póki nie każem!

— Bo siła robotnicza leży w solidarności — powiedział Wolski.

— Wiadomo, że jedność to tak jak lokomotywa, najcięższy pociąg ruszy, ale jakże ma być jedność kiedy ten krzyczy tak, tamten znów inaczej, a ty robociarzu paska na brzuchu zaciągaj, a nie długo patrzeć, to już i zaciągać nie będziesz miał co.

— My z wami pogadaliśmy, tylko że to tak na ulicy...

— No to chodźcie panowie do Rogalińskiej. Ja fonduję, powiedział Oléwiak.

Wolski się nawet nie zastanawiał, jego nastrój był tego rodzaju, iż gdyby zaproponowano mu przechadzkę na dno piekła, ruszyłby bez namysłu.

— Chodźmy, powiedział krótko.

Skreśli w jedną i drugą boczną uliczkę, aż znaleźli się w małym szyneczku, złożonym z kilku pokoików, w których niepodzielnie panował zapach gotowanej kapusty; o tej godzinie było tu zupełnie pusto, siedli więc przy stoliku i Cząber zadysponował usługującej dziewczynie, która na widok trzech młodych gości wyszczerzyła złote zęby.

— Pół z niebieską główką, zagrycha jak się patrzy, aby tłusta i trzy jasne większe.

— Może kotlety schabowe? pisnęła kelnerka.

— Daj panienka kotlety.

Naleli po pół angielski i w milczeniu wychylili raz i drugi; przekąsili zdrowo i zapalili papierosy.

— My z wami chcielibyśmy pogadać tak po ludzku, bo przecież jeżeli ma być solidarność robotnicza, to trzeba ją jakoś zrobić, wiedzieć gdzie iść, gdzie po nią trafić... Ksiądz dziś jest, jutro go nima, pójdzie, a sprawa robotnicza pozostanie. My z Felusiem od razu skombinowaliśmy, że wy chociaż robociarz, ale macie inne uważanie na sprawę i że z byle czym do nas nie przychodzicie...

Nalał szklaneczki i wychylili ponownie.

— Ja przychodzę z prawdą, a prawda na świecie jest tylko jedna, że zbliża się kres wyzysku kapitalistycznego, że postronek faszyzmu przestanie gniesć szyję robotnika, że lud i masy robotnicze podnoszą na całym świecie głowę, wywalczają sobie nowe jutro, nowe życie i że na gruzach starego, zmurszałego świata, powstanie nowy ład, a panami tego ładu będą ci, którzy okażą siłę i zrozumienie sprawy.

Podniecił go wypity alkohol i poniosła żyłka agitacyjna. Mówił o Francji, Hiszpanii, Meksyku, Peru, rysując przed ich oczami obraz wyzwolonego z pęt burżuazji robotnika.

— Tutaj ciągle się trąbi robociarzowi w uszy: w Sowietach źle, w Sowietach nędza, uciemiężenie. A ja wam powiadam — uderzył pięścią w stół, że to jest kłamstwo, tam robotnik żyje jak wolny człowiek, nie trzyma go za gardło ni ksiądz, ni fabrykant, ni policjant, sto cholernych instytucji, co ci włożą na kark i ssą jak pijawki. A my co? My nastawiamy grzbie-

Sieć z czerwonej przędzy

ty pod bat, a na starość zdychamy z głodu, bo kto nas zabezpieczy, może emerytura, wynosząca 14—16 złotych miesięcznie, albo burżu-fabrykant, który spracowanego robotnika wyrzuca na bruk, jak zdartą szmatę? W jakiej poniewierce żyją nasze żony i dzieci, czy my znamy radość życia, czy wiemy, co to jest użyć do syta? A księża nam obiecują — nagrodę w raju. Czekajże raju, a tu zdychaj z głodu.

— To niby tak uważając, w Bolszewii jest dobrze, lepiej niż u nas?

— Rosja sowiecka wyzwoliła lud pracujący — odpowiedział Wolski, pociągając łyk piwa.

Czaber cyknął śliną aż na środek pokoju i wsadziwszy nagle ręce do kieszeni, pochylił się w jego stronę.

— To dlaczegoś pan, panie Wolski, nie pojechał do tego raju, tylko tu siedzisz?

Wolski drgnął, usłyszawszy swoje nazwisko, w lot ogarnął sytuację, opanował się jednak i spokojnie odpowiedział.

— Bo tu trzeba wyzwolić lud pracujący z jarzma niewoli.

— Ty pętaku, ty śmieciu, ty gnojku żydowski — syczał cicho Czaber — to ty draniu bolszewicki przychodzisz lud buntować, dobrą robotę wywalać, robociarza bałamucić i pod stryk bolszewicki go ciągnąć? Ty łobuzie zawieszony...

— Zygmunt, w ryja drania, — krzyknął Olewiak.

Wolski się zerwał, odsunął krzesło i chciał ręką sięgnąć do kieszeni, ale w tej chwili poczuł jak mu ją podbito, a jednocześnie na twarz padła mu pięść z taką siłą, że głowa zachwiała się jak na sprężynach.

Ogarnęła go jakaś nieludzka, szalona

wściekłość. Ściśniętym куlakiem rznął przed siebie i czuł jak złożone knykcie palców zatrzymały się na czyichś zębach; uderzył po raz drugi i ręka ześlizgnęła się po czaszce — w tej chwili jednak poczuł drugie uderzenie i słonowo-ciepłą ciecz w ustach. Oszalały, nieprzytomny, odruchowo chwycił ciężki kufel ze stołu i rznął przed siebie z taką siłą, że aż wizgot rozpruł powietrze. Szkło uderzyło widocznie o coś twardego, bo rozbryzgnęło się z tęnym brzękiem, ale w tej chwili poczuł głęboki, świdrujący ból w szaszce, drażniący, niespokojny, w oczach zawirowały fioletowo-niebieskie koła, rozprysnęły się miliony drobniotek, niewidzialnych prawie i ostrych punkcików, potem poczęły uciekać i głowa jego jęła zanurzać się w jakiś coraz gęstszy, coraz bardziej nieprzenikliwy mrok... Od czaszki spłynęła omdlewającą falą słabość, objęła ramiona, tułów, aż ze drżeniem spadła do kolan. Wówczas postać Wolskiego załamała się jakby przecięta wpół, ręce uczyniły bezładny, śmieszny ruch i powoli ciężko runął na podłogę.

Dyżurny lekarz w Pogotowiu zapisywał do zwykłego raportu: Jerzy Wolski, lat 27, ciężki uraz czaszki i rany cięte głowy od uderzenia butelki. Przewieziony w stanie nieprzytomnym do szpitala. Zwykła bójka w szynku.

Starszy dzielnicowy rozłożył teczkę na stole, wyjął arkusz papieru, poprawił amerykańskie pióro i systematycznie zaczął spisywać protokół.

— Więc niech no pani opowie, jak to było?

Pani Rogalińska pochyła się z dość obojętną twarzą nad granatowym płaszczem przedstawiciela władzy i mrużąc zalane tłuszczem oczy mówi:

— A skąd ja panie władzo mogę wiedzieć? Przyšli takich trzech, kazali podać sobie pół butelki, zakąskie, no i nic. Aż tu naraz słyszę jakiś raban, to wołam do panienki: niech-no panna Gienia leci, bo szkodę jaką jeszcze robią. Zanim dziewczyna do pokoju, to tych dwóch do drzwi i już, chodu dali i tyle ich widzielim. Całe szczęście, że z góry wzięłam zapłatę, a i tak jestem stratna na kuflu całe 40 groszy. Wpadam ja, panie władzo, do pokoju, a ten leży i krew mu z ciemienia sika jak z wodociągu, zaraz wody z octem, posadziłam go z panienką na krzesło, ale leje mi się przez ręce, więc zadzwoniłam do Pogotowia, no i to wszystko.

— Hm, — mruknął policjant. — Ale u pani to coś za często te sprawy się powtarzają.

— A cóż ja, panie władzo, winowata, czy to u mnie Bristol, hrabiowie przyjeżdżają, albo jentelegencja z edukacją? Przyjdzie taki śmieć jeden z drugim, byle co się napije i sprawa zaraz gotowa.

— To źle, pani Rogalińska, to źle...

— Źle panie władzo, ale na samotną kobietę padło, wdowę, to co mam robić? Interes zamknąć, to niby z głodu zdychać. A może pan władza szklaneczkę herbaty się napije na taki psi czas...

— Dziękuję, — odpowiedział krótko policjant i zebrawszy papiery do teki, wyszedł.

Pani Rogalińska powróciła za bufet i siadła w starym wygniecionym trzcinowym fotelu; w tej chwili na kolana jej wskoczył ogromny,

wypasiony jak wieprz, kot i ułożywszy się na padolku, poczał mruczyć tak głośno, jak gdyby kto chrapał. Pani Rogalińska nalała sobie z butelki, na której widniała czarna główka murzyna, złotawego płynu i wychyliła go duszkiem; to jej ulżyło.

— Widzisz Bimbuch, widzisz, ile to mamy zmartwienia, ale nic się nie bój, jak nam to wszystko dokuczy, to puścim jenteres na lekwidację, a jeszcze dla ciebie zostanie na młiczko i dla pani na murzynka...

I pani Rogalińska uśmiechnęła się dobrotliwie, zobaczyła bowiem oczami swej duszy książeczkę oszczędnościową z wcale okazałą sumką uciulaną przez biedną wdowę.

Bimbuch mruczał, a jego właścicielka sięgnęła znów po butelkę z czarną główką murzyna.

Gdy dusza patrzy wgląb...

Wolski otworzył oczy spod ciężkich, obolałych powiek i szybko je przymknął, w źrenice bowiem uderzyła go ostra biała jasność, płynąca z za okna. To styczeń iskrzył się śniegami i jasnym, zimnym słońcem. Leżał nieruchomo, doświadczając uczucia, że głowę jego stanowi obcy wielki przedmiot związany z nikłym i wątłym tułowiem cienkim sznurkiem. Zdawało mu się, iż gdyby tą głową poruszył mocniej, oderwała by się i potoczyła jak kula po błyszczącej posadzce i białym biegnącym do przeciwległych drzwi chodniku.

Pod obolałą czaszką przesuwaly się leniwie porwane strzępy obrazów, scen, zdarzeń. Ale z tego chaosu nie mógł wyłonić się żaden zdecydowany kształt, żadna całość. Przez chwilę

silił myśl, by nawiązać rozpierzchające się dalekie epizody, lecz zmęczony, znieruchomiał w bezładzie, odczuwając tylko miły dotyk miękkiej poduszki i ciepło otulającej go kołdry.

Ocknął go dopiero głos rozmowy—spojrzał i zobaczył przed sobą kilka białych postaci, pochylających się nad jego łóżkiem; wśród nich zastanowiła go jedna: była ubrana ciemno, tylko na głowie jej chwiały się duże białe skrzydła, jak skrzydła ptaka, zbierającego się do lotu. Zobaczył jak grupa białych figur po chwili odeszła, on zaś znów zapadł w bezwład ciała i uczuć, gdy naraz uszu jego dobiegł cichy, łagodny szept.

— Chwała Bogu, teraz już będzie panu lepiej i niebezpieczeństwo minęło; trzeba leżeć spokojnie, odżywiać się i chcieć być zdrowym. Może ma pan pragnienie, przyśle coś do picia.

Skinął głową na znak potwierdzenia i wkrótce pił jakiś miły, orzeźwiający napój, po którym uczuł ulgę i lekkie odprężenie.

— Co za dziwna osoba—myślał—dlaczego przemawia do mnie takim miłym głosem i troszczy się, zupełnie mnie nie znając?

Spojrzał uważniej i ujrzał przed sobą dużą białą salę z równymi szeregami łóżek na jasnej błyszczącej posadzce; przez wielkie okna wpadało ostre zimowe światło, w sali zaś panowała cisza, przerywana tu i owdzie cichym szeplem rozmowy. W powietrzu unosił się mdły, cikliwy zapach lekarstw, a z za okien dobiegał oddalony, stłumiony szum ulicy.

Powoli myśl zaczęła nawiązywać odległe kontakty z przeszłością i mozolnie krok za krokiem odtwarzać jakiś wyraźniejszy, zdecydowany kształt. Przed oczami przesunęły mu się twarze Cząbra i Olewieka, mały pokój

w szynkowni, gwałtowna rozmowa, bójka, a potem... W tym miejscu myśl się rwała i zapadała w ciemność. Co było dalej, nie był sobie w stanie przypomnieć. Mózg poczawszy jednak pracować, nie chciał ustać w połowie puszczanego obiegu i tak długo, z takim wysiłkiem przedzierał się przez mętną, lepłą ciemność, aż wreszcie zahaczył o moment, kiedy szkło ciemnej butelki rozprysnęło się w drobne ułamki na głowie.

Na bladych wargach Wolskiego przewinał się nikły, prawie niedostrzegalny uśmiech.

Rzecz dziwna, nie czuł żadnego żalu do tych, którzy, zwabiwszy go do małej restauracyjki, wyprawili stamtąd aż tutaj—do szpitala. Mimo woli dotknął ostrożnie ręką głowy i palce jego natrafiły na grube zwoje bandaży, jakie spowijały całą niemal głowę. Myśl teraz pracowała przytomniej, sprawniej, swobodniej, że jednak dociekanie, wgłębianie się w to, co leżało za nim, nużyło go, odwrócił się ostrożnie do ściany i zaczął drzemać.

Obudził go znów głos postaci z białymi skrzydłami na głowie, która, pochylając się nad nim mówiła.

— Proszę, niech pan zje trochę rosółu, jest smaczny i pożywny. Będą powracały siły i zdrowie, ale trzeba jeść, bo tak każą lekarze. Niech pan spróbuje, jest bardzo smaczny...

Podniósł łyżkę do ust i jadł tak długo, póki nie opróżnił prawie talerza, wówczas ta sama skrzydlata postać poprawiła mu poduszki, otuliła starannie kołdrą i cicho jak przyszła—odeszła.

Teraz dzień po dniu powtarzała się ta sama historia: przychodzili lekarze, siostra Felicja, karmiono go, dawano lekarstwa, mierzono temperaturę i wreszcie zdecydowanie stwierdzo-

no — będzie zdrów, zapalenie mózgu minęło. Rekonwalescencja potrwa kilka tygodni, ale wyjdzie na świat bez śladu przeżytych wypadków.

Leżał całymi godzinami na łóżku już zupełnie przytomny, świadomy, zdając sobie doskonale sprawę z każdego szczegółu, który go sprowadził do sali szpitalnej i z niemym wewnętrznym podziwem konstatował, iż nietylko, że nie rościł żadnego żalu do swych prześladowców, lecz przeciwnie, miał dla nich jakby pewien rodzaj uznania. To byli bądź co bądź ludzie z charakterem — prości, twardzi, brutalni, ale ludzie, którzy potrafili bronić swojej sprawy. Z czym do nich przychodził, w jakim charakterze? Czy nie ukrywał za plecami swoimi rozpalonej żagwi, pragnąc podpalić znieznacka, ukradkiem ich dom, ich sprawę, ich zbiorową duszę? Czy w jego partii nie postąpionoby jeśli nie w gorszy, to w ten sam sposób, czy nie wywartoby krwawej zemsty na tym, który przychodził i chciał rujnować to, co tamci zbudowali? Czy u nich nie wystarczyło najmniejsze nawet podejrzenie, by rozprawić się tak strasznie, jak rozprawiono się z Czubem?

Na wspomnienie partii, wzdrygnął się i zsunął niejako wgląd swojej duchowej istoty. Przed oczyma przesunął się długi szereg obrazów, kalejdoskop wrażeń, ale wrażeń tak plastycznych, jaskrawych, aż przerażająco realnych. Jakże okropnie oszukał się, oszukano jego i on oszukiwał innych! Obolałym ze zmęczenia i wysiłku mózgiem kruszył cegłę po cegle tego gmachu, na którego szczycie widniał czerwony jaskrawy napis — komuna, zazięrał w najtajniejsze skrytki, najgłębsze zaka-

marki i wszędzie widział tylko przed sobą ciemny, splełany labirynt.

Dusza jego zstępowała wgląd przerażającej czeluści, nie widziała nic, prócz chaosu, ciemności, anarchii. Kazano mu żyć, pracować i myśleć w atmosferze nienawiści, kazano mu wierzyć, że z gruntu, przesiąkniętego jadem i goryczą, ma wyrosnąć cudowny kwiat szczęśliwości i błogosławieństwa dla rodzaju ludzkiego. Ale jaki układ filozoficzny, jaki system, jaki ustrój wskazuje na to, by gdziekolwiek pod jakąkolwiek szerokością geograficzną chaos i nienawiść były gwarantami ładu i spokoju wewnętrznego. Czy zatrute oddechy piekielnym czadem nienawiści mogą leczyć i rzeźwić? Czy począwszy od leśnego mrowiska aż do najpotężniejszych, wypracowanych przez genialne umysły i dziesiątki pokoleń systemów gospodarczych i socjalnych nie opiera się wszystko na osi, zbudowanej z przedziwną regularnością i gwarantującą spokojny i równy obieg? Co by było, gdyby jakaś olbrzymia, złośliwa dłoń poprzesuwała naraz zwrotnice, tory i linie kolejowe świata, co by było, gdyby spletały się szlaki dróg morskich i powietrznych, czymże by groziło, gdyby poznikały granice państw, a w wędrówce narodów bezładnej i chaotycznej masy pogubiły języki jak pogubiły je przy zuchwałym zamyśle biblijnej wieży Babel?

Jakże haniebnie oszukano go, głupca i kazano wierzyć, że zniszczenie i zatrata ducha, obrócenie w perzynę dorobku wieków cywilizacyjnych i kulturalnych narodów przyniesie nowy ład, z którego nowa urodzi się myśl. W tych obłąkańczych, szalonych zamysłach tkwi okropne, tragiczne dla ludzkości nieporozumienie, nieporozumienie równające się temu,

jak gdyby jakaś potężna nadludzka wola pomieszała obiegi gwiazd, wytrąciła ciała niebieskie z ich orbity i w chaosie międzyplanetarnego wichru przyniosła zagładę wszechbytu i wszechludzkości. Głupiec, stokrotny głupiec mógł uwierzyć, że z sercem i duszą przepojoną nienawiścią, z pianą pasji do wszystkiego, co wpłątane jest w porządkowy obieg świata, będzie mógł trwać i działać. Przekreślono w nim, jak przekreśla się w tysiącach i milionach—miłość. Każde drgnięcie serca, każde uczucie, każdy poryw głębszy i czystszy postanowiono pod pręgierz, wybicowano, wyśmiano, stracono jak znoszoną bezwartościową szmatę i ubrano w drwiącą kpinę sentymentu. Kazano mu wierzyć tylko w popęd, żołądek i rozum, ale ten rozum przytrzymano żelaznymi lejcamy, nie pozwolono mu wyjść poza granice pojęć partyjnych, po za demarkacyjną linię, gdzie nie leżała obłąkańcza idea komuny, Czyż ci zbrodniarze, degeneraci, fałszerze, podpalacze, skrytobójcy, najgorszy, najodurniejszy gatunek ludzi, zapelniający więzienia i najohydniejsze speluny życia nie hołdował tej samej idei, nie wyrosnął na gruncie nienawiści, nie zignorował, zlekceważył wszystkiego, co było z serca i ducha, czy nie kopnął, nie odrzucił z pogardą tego, co w ustach komunisty zwie się sentymentem, uczuciem, czułościowością?

Nie wiadomo dlaczego przypominały mu się naraz słowa, które słyszał kiedyś podczas kazania, czy czytał, słowa, iż gdyby nie przygwoździła Chrystusa do krzyża miłość, gwoździ by nie starczyło!

Dociekania te podniecały go, burzyły, wstrząsały nim wewnątrz, a skutek był ten, że siostra Felicja z niezadowoleniem kręciła głowę

wą i stwierdzała, że właściwie bez jakichkolwiek przyczyn zewnętrznych, temperatura podskakiwała o kilka kresków wzwyż.

Kiedyś w nocy nie mógł usnąć i widocznie pod wpływem wyczerpania czy lekkiej gorączki zdawało mu się, że w nogach łóżka stanął Dziurba, począł się z lekka kiwać i ze smutnym uśmiechem mówić: — Jedyną prawdą jest Chrystus.

Komunizm z obłąkańczą nienawiścią zaprzeczył wszelkiemu najdrobniejszemu śladowi istnienia Chrystusa, przekreślił Go, powlókł na czerwona gilotynę i w obliczu świata chciał strącić w tak niepowrotną otchłań, by nawet wspomnienie nie pozostawiło na ziemi najmniejszego śladu. Uderzyło go, że nienawiść do religii idzie przede wszystkim w kierunku religii chrześcijańskiej, że Chrystus stał się dla wyznawców komunizmu najzacieklejszym, najstraszniejszym wrogiem, którego postanowiono unicestwić wszelkimi środkami, jakie leżały w rozporządzeniu i zasięgu partii. Nie bano się tak żadnych ustaw, praw, żadnych najgwałtowniejszych ataków, jak obawiano się i nienawidziło słów i praw Chrystusa.

Począł się wgłębiać i uderzyła go myśl, że może właśnie dlatego, iż nauka Chrystusowa jest wykładnikiem sprawiedliwości, jest prawdą, której żadna doktryna nie jest w stanie zaprzeczyć, dlatego, że w tej nauce zawiera się obrona wszystkiego, co uciemnione i nieszczęśliwe, co zepchnięte i sponiewierane, dlatego właśnie komunizm tak boi się, tak lęka tej nauki, która przede wszystkim niesie i głosi zasady sprawiedliwości i równowagi społecznej. Wiedział, że gdyby nawet najskrupulatniej, najwnikliwiej poszukiwał w dziejach ludz-

kości, w historii narodów, szczepu czy zakątka, gdzieby człowiek nie wierzył w Bóstwo, w istotę nadprzyrodzoną, w ową potęgę nadrzędną i nadzmysłową—nie znalazł by tego nigdzie ani na przestrzeni wieków, ani na przestrzeni globu ziemskiego. Jeżeli najbardziej pierwotne, dzikie, niecywilizowane szczepy ludzkie szukają dla siebie oparcia w wierzeniu, w Boga, to jakże można chcieć, jakże można dążyć do tego, by społeczeństwu o tysiącletniej kulturze, o wyrobionych wartościach duchowych, o świadomości, obejmującej wszystkie bez wyjątku zjawiska, można odebrać to, co od skrwawionej areny cyrków rzymskich po przez wojny krzyżowe, po przez dziejowe zapasy maurytańskie z kulturą chrześcijańską, po przez wreszcie heroiczne, bohaterskie związanie się z religią w prześladowczej Bolszewii, Meksyku, Peru, Hiszpanii było i jest dogmatem dla milionów.

Ten dogmat religijny stał się tak piekący dla idei i wyznawców komuny, że jak wiedział zwalczać go i postanowiono zwalczyć za wszelką cenę. Wysuwano doktrynę rozumu i kazano wierzyć, iż tylko i wyłącznie tylko rozum jest czynnikiem, mającym rządzić i decydować o losach ludzkości. Przypomniało mu się również zdanie Sienkiewicza, że rozum jest latarką dla duszy ludzkiej, ale czymże byłby rozum bez owej duszy? Czy najpotężniejsze umysły, czy najdoskonalsza filozofia, najgłębsza nauka nie przyznaje się z dziecinną pokorą, że staje wobec całego szeregu zjawisk bezradna i bezsilna, korząc się przed ogromem i potęgą Tego, który, nieodgadniony dla żadnego rozumu, rzucił przed oczy i dusze ludzkie tajemnicze znaki pytania?... Co by się stało, gdyby masy ludzkie oderwać od ich podstawy

wiary i religii, gdyby te masy pozbawić moralnego kośćca i trzonu, rozbić uderzeniem bolszewickiego młota ów pancerz ochronny, jaki zabezpiecza je przed godzącymi z zewnątrz niebezpieczeństwami? Jakąż ideę należało by dać tym masom, aby zrównoważyła odebranie jej Boga? Kto i jakie miałby przynieść prawdy, aby mogły zastąpić te prawdy, jakie przez dwa tysiące lat istnieją na podobieństwo skały, którą rozbijają się wszelkie fale ataków, schizm, ateizmów i współczesnego pogaństwa? Czyż o tę potężną rafę, wyrastającą ponad ludzkość, nie rozprysnęły się w drobną mgiełkę systemy filozoficzne, doktryny i nauka suchego rozumu?

Czy nie obłęd, czy nie szaleństwo, czy nie ślepa zaciekłość każe uderzać w tego Boga, którego komunizm obawia się przede wszystkim i dlatego chce go zetrzeć z powierzchni dusz ludzkich? A jednocześnie przypomniawszy sobie, co czytał w relacjach pism, książek, broszur, jakie dostawały się do rąk jego, że nawet w tej samej Rosji bolszewickiej gdzie napór na religię, kościół i Boga doszedł do ostatecznego zenitu, reakcja staje się coraz silniejsza i coraz wyraźniejsza. Życie religijne umknęło jak w czasach katakumbowych pod ziemię, zamaskowało się, ukryło, ale tętni, jest i żadne represje, żadne nakazy i obietnice nie są go w stanie wypłenić z milionów serc ludzkich. Rosja bolszewicka staje wobec zjawiska nawrotu fali religijnej, nawrotu, jaki ogarnia nawet młode, wychowane w doktrynie i szkole bolszewickiej, pokolenia. Te pokolenia coraz wyraźniej krzyczą: wara od Boga, odebraliście nam wszystko, to jedno pozostawcie! I oto trwa ta walka bezprzykładna w historii, w której z jednej strony stają miliony ludzi, zorganizowany aparat, literatura, propaganda, sztu-

ka wprzęgnięta do rydwanu bezbożnictwa, nauka i filozofia — z drugiej biedna postać Chrystusa przybita do krzyża, od którego idzie potężna siła, obejmująca w koło cały glob ziemski. W walce tej padają pastwą pożóg kościoły i klasztory, wnętrza świątyń zmienia się nieomal na domy rozpusty, ulice miast katolickich opływają krwią mordowanych w nie-ludzki sposób, powtarzają się igrzyska z ogrodów neronoskich, okrucieństwo i prześladowanie rozpetane w swojej furii nie oszczędza nic, ani nikogo, a jednak jak wówczas, jak w olbrzymie kolisko kamiennych cyrków setki i tysiące idą bez cienia wahania, by paść w imię idei Tego, którego bogactwo stanowi skromna zgrzebna szata...

Więc jakaż jest ogromna, przeolbrzymia siła tej idei, którą komunizm chce niszczyć, na co się porywa, czy nie jest podobny do owego szaleńca, który zaciśniętym w pasji kuliakiem chce rozbić słońce? Nonsens, nonsens — myślał — gdziekolwiek bowiem spojrzeć, w jakie-kolwiek poczynania narodów, mas społecznych, jakkolwiek przeświecić ideę szlachetniejszą, wznioślejszą i humanitarniejszą, tam wszędzie dojrzy się cząstkę Boga. Czy ten skromny ksiądz, który stawał na małej drewnianej estradzie i spokojnie z głębokim wewnętrznym przekonaniem mówił o piekle bolszewickim, skapanym w nędzy i łzach ludzkich, nie był przez te zwyczajne prawdy cząstką wielkiej prawdy Bożej? Więc i pod tym względem oszukano go haniebnie, jak małe głupie dziecko, któremu zamiast pożywczego chleba dano groszowy karmelek.

Czym głębiej zanurzał sondę, tym jaśniej widział, iż popełnił straszną pomyłkę, która

teraz przez każdy fakt, przez długie pasmo dni z przeszłości wyrastała do rozmiarów tragicznych, tym tragiczniejszych, że przeszłość owa zatrzęsła się z ponurym łoskotem, przeszłość natomiast stała nieodgadniona i miała przynieść to, czego nietylko nie był w stanie przewidzieć, ale o czym nie chciał nawet i myśleć... Co zrobił z Janką, na jakie manowce duchowe zaprowadził tę dziewczynę ufającą mu całą wiarą młodego, kochającego serca? Czy drogi ich kiedykolwiek zejść się, czy będzie miał odwagę powiedzieć: oszukałem cię, zdradziłem, odepchnąłem brutalnie dlatego, że pożoga zmysłów zakryła mi oparę krwi twą czystą i piękną duszę?

Myśl o Jance dręczyła go i piekła jak rozpalone żelazo. Wobec potężnego problemu miłości czymże była partia, wydawnictwo, komplikacje, jakie mogła przynieść przyszłość, Ewa? Wszystko małało, uciekało z zawrotną szybkością w mrok zapomnienia, a ponad to wyrastała postać Janki, jej ból, jej uczucia, jakie tak haniebnie sponiewierała i przeszedł obok nich, niby obok obcego, obojętnego przedmiotu.

Pod tym wrażeniem któregoś dnia nieśmiało zapytał siostrę, czy nikt go nie odwiedzał.

— Owszem, w początkach choroby pana była tu młoda osoba, ale obecnie już nie przychodzi. Mam nawet zanotowane nazwisko, zaraz je panu podam.

Istotnie, przy wieczornym posiłku siostra Felicja powiedziała.

— Ta młoda panienska nazywa się Janina Wisnowiczówna.

— Dziękuję siostrze. A teraz nie była już? nie przychodzi?

— Nie, podczas pierwszej bytności nie

mogła się z panem widzieć, bo stan był bardzo ciężki i lekarze zabronili jakichkolwiek odwiedzin.

Rozmowa na tym się urwała, ale Wolskiego tym silniej trapiła myśl, dlaczego Janka więcej się w szpitalu nie pokazała, dlaczego nie ma od niej żadnej wiadomości, bodaj by najkrótszego listu, co się z nią dzieje i gdzie jest? Przyszło mu na myśl, czy nie jest chora, postanowił więc do niej napisać, kiedy to jednak uskutecznił, w kilka dni potem otrzymał list z powrotem z dopiskiem poczty na kopercie: adresatka wyjechała, adres nieznany.

Wiadomość ta raziła go jak grom i wprawiła w stan takiego rozdrażnienia, iż siostra zaniepokojona, wezwała lekarza, który widząc podniecenie pacjenta, zastosował środki uspokajające, co oczywiście wpłynęło o tyle, że Wolski pozornie się wprawdzie uspokoił, nie mniej jednak myśl pracowała z gorączkowym napięciem, obracając się, jak rozpedzone koło wkrąg osi — gdzie jest i co się z nią dzieje.

Świadomość, że nie może otrzymać żadną drogą uboczną wiadomości o niej, męczyła go tym więcej, rozumiał bowiem, że niepokojącą tę zagadkę rozwiąże dopiero wówczas, kiedy opuści salę szpitalną.

Ale do tego było jeszcze dość daleko, zdrowie wprawdzie powracało, siły krzepły, jednakże rekonwalescencja miała potrwać czas dłuższy i Wolski ciągle przemyślał nad rozwiązaniem pytania, w jaki sposób zaczerpnąć wiadomości o Jance. Na razie było to niemożliwe, gdyby bowiem zwrócił się nawet do kogoś z partii, to było wątpliwe, czy tą drogą otrzyma żądane informacje, tym więcej, iż

z partii nikt zupełnie nie dowiadywał się o niego; Wolski rozumiał rację, dla których żaden z towarzyszy partyjnych nie chciał może ujawniać wspólnych z nim stosunków, nie mniej jednak i to zapomnienie napoiło go rozgoryczeniem i żalem...

Tymczasem któregoś dnia siostra Felicia przyniosła mu dość spory pakiet starannie zapakowany.

— Przyniesiono to dla pana i złożono w kancelarii.

— Od kogo? — zapytał machinalnie, a jednocześnie serce zabiło mu żywiej na myśl, że jest to może przesyłka, pochodząca z rąk Wiśniowiczówny.

— Nie wiem, nic nie powiedziano, ale sądzę, że znajdzie pan list zapewne w środku.

W tekturowym pudle było kilka przesłicznych kiści winogron, paczka biszkoptów i parę tabliczek czekolady. Poza tym nic.

— Od kogo może pochodzić ta przesyłka — starał się rozwiązać w myśli zawity węzeł, bo przecież nie od Janki, nie postąpiłaby w ten sposób, by przesyłając tę garść smakołyków, nie dołączyć choć jednego dobrego słowa. Przecież i nie od towarzyszy z partii, gdyż ci nie bawili się w sentymenty, więc od kogóż? I tu myśl trafiała na gruby mur, poza który jednak przebić się już nie mogła.

Upłynęło znów kilka dni, zdrowie i siły powracały w sposób widoczny i chwila, kiedy miał opuścić szpital zbliżała się coraz szybciej. Jeszcze kilkanaście, jeszcze kilka dni i oto wyjdzie z tych białych spokojnych sal, a wówczas co?...

Otwierał się wielki problem — co dalej?

Sieć z czerwonej przędzy

Starał się nie myśleć o przyszłości, ale postanowił i zdecydował nieodwołalnie, bez względu na wszystko, co go mogło czekać i co życie znów przynieść miało, nie powracać ani do Naszej Myśli, ani, rzecz prosta, do partii. Chciał przekreślić, wypalić, wytrawić aż do ostatniego śladu ten okres, wymazać go bezpowrotnie z pamięci, chociaż zaś rozumiał jakimi konsekwencjami mogło grozić tego rodzaju potarganie bez powodu węzłów, łączących go z partią, chociaż wiedział, iż ręce sekretariatu są długie i sięgają wszędzie, gdzie zechcą, to jednak postanowienie było tak silne i nieodwołalne, że uważał tę część sprawy za ostatecznie załatwioną i pozostawiała tylko inna — leżąca otworem, co zrobić na przyszłość z sobą.

Ku najwyższemu zdumieniu w parę dni, kiedy już zaczął chodzić, siostra Felicja przyniosła mu znów paczkę, a w niej znalazł parę wonnych, złotych pomarańcz, trochę kruchych ciastek i pół butelki starego, doskonałego wina. Poza tym znów nic.

Doprowadziło go to nieomal do pasji, wszelkie wypytywania siostry, indagacje na nic się nie przydały, przesyłkę bowiem zostawiono w kancelarii i tu sprawa się urywała. Siostra Felicja, widząc podniecenie Wolskiego, obiecała mu, że wybada, kto paczkę przyniósł i czy nie informował od kogo pochodzi, okazało się jednak, że zostawiono ją bez żadnych zleceń nie sposób było zatem dojść kto był ofiarodawcą. Wolski kategorycznie zapowiedział, iż na przyszłość prezentów takich przyjmować nie będzie i z podnieconą do najwyższego stopnia ciekawością starał się dociec, napróżno oczywiście, kto obdarza go tymi przesyłkami,

okazując w ten sposób swoją troskę i serce o niego. Ach, gdyby miał świadomość, że to Janka, z jaką radością przyjmowałby owe słodkie prezenty, byłyby one najwymowniejszym, a tak potrzebnym w tej chwili dla niego dowodem, że serce i uczucie tej dziewczyny nie oderwało się od niego, jest blisko, kochające i takie, jak było dawniej. Ale wewnętrzne przekonanie mówiło mu, że nie ręce Janki tu działają, że jest tu inna tajemnicza inicjatywa i ta właśnie tajemniczość męczyła go tak dalece, że spędzała nawet sen z powiek.

Mimo jednak wszystko, Wolski coraz szybciej powracał do zdrowia i pewnego dnia lekarze po długiej i wnikliwej konsultacji zaopiniowali.

— No, panie Wolski, dziękuj pan Bogu, że tak się pańska przygoda szczęśliwie skończyła. Mogło być gorzej. Jeszcze parę dni i pożegnamy się z panem.

Te kilka dni upłynęło już teraz bardzo szybko i nieodwołalnie zbliżała się chwila, kiedy załatwiwszy ostatnie formalności w kancelarii szpitalnej trzeba będzie stąd wyjść — ale gdzie i po co? Stał zamyślony przy oknie i wpatrywał się w niewielki skwer szpitalny, poza którym widział mury domów, ulice, stamtąd też dolatywał go gwar ciągle rojnego miasta, tętno życia, jego nieustający ani na chwilę puls. Tam, za tymi oknami stało Życie i Jutro.

Cokolwiek się stanie, było mu właściwie obojętne, miał nie wielki zasób grosza, który pozwoli mu beztrudno przeżyć kilka tygodni, w trakcie których dowie się przecież czegoś o Jance. A potem, potem może wyjedzie, zbliża się wiosna, może zaciągnie się w szeregi

emigrantów do Francji, wszystko jedno gdzie, wszystko jedno w jakim charakterze, aby dalej w świat, zgubić siebie, pozacierać ślady, otrząsnąć się z tego brudnego kurzu, jaki przywarł do niego i rozpocząć nowe życie.

W dniu, kiedy miał opuścić szpital, przed udaniem się do kancelarii zbliżyła się siostra Felicja, która polubiła tego młodego, smutnego pacjenta i z uśmiechem powiedziała.

— Jest do pana gość, czeka na korytarzu.

— Krew zapulsowała mu jakby pchnięta falą do serca i oczu, przeświadczony był bowiem ponad wszelką wątpliwość, że zobaczy Jankę.

— Kto to jest, siostró — zapytał trzęsącymi się ze wzruszenia ustami.

— Zobacz pan...

Poszedł do szerokiego, jasnego korytarza — i naraz stanął jak wryty. Przed nim stał ksiądz Andrzej Hanicz. Zamrugał oczami, jak człowiek obudzony nagle z głębokiego snu, chciał coś powiedzieć, lecz słowa ugrzęzły mu w gardle i trwał bez ruchu, nie wiedząc, co począć i w jaki sposób przemówić do tego człowieka.

Wszystko to było sekundami, ksiądz bowiem zbliżył się i podając mu rękę, pociągnął na szeroką ławę, stojącą pod ścianą.

— Mam do pana prośbę, pan dziś opuszcza szpital — i to zdaje się — za chwilę. Niech pan pozwoli, że poczekam i zabiorę go wprost do siebie; pragnę pomówić w pewnej osobistej sprawie, że zaś trudno uczynić to tutaj, nie odmówi pan chwilowej gościny u mnie.

Wolski wstał i spojrzał na księdza.

— Ksiądz chyba nie wie, kto ja jestem i bierze mnie za kogo innego...

— Ale co znowuż, drogi panie, wyjaśnimy

te pozorne niporozumienia u mnie, tymczasem proszę, niech pan spokojnie załatwi swoje formalności, a potem jedziemy.

Widząc, że Wolski chce jeszcze coś powiedzieć, przerwał mu.

— Będziemy mieli dość czasu u mnie, swobodniej i spokojniej porozmawiamy o wszystkim, co nas wspólnie interesuje, a że niewątpliwie czeka pan z niecierpliwością na pewne wiadomości, więc proszę zatem szybko się załatwić, a tymprędzej dowie się pan co go obchodzi.

Procedura kancelaryjna trwała istotnie nie długo, serdeczne pożegnanie z siostrą Felicją i z lekarzami zajęło kilkanaście minut i w niespełna pół godziny Wolski schodził z księdzem Haniczem po szerokich schodach szpitalnych na ulicę, gdzie wsiedli w pierwszą spotkaną taksówkę, która szybko pomknęła w stronę tak dobrze mu znanego małego kościółka na przedmieściu.

Podróż trwała niedługo i wkrótce znaleźli się przed plebanią. Pokoiki były małe, skromne i tylko na ścianie zawieszony duży obraz Potrzykroć Sławionej Maryi z Schönstatt stanowił główną ozdobę skromnego umeblowania.

Ksiądz Andrzej przeszedł parę razy po pokoju i zatrzymał się przed Wolskim.

— Bóg tak chciał, że aczkolwiek właściwie się nie znamy, to wiemy o sobie wiele. Nie wracajmy do przeszłości, myślę bowiem, że łatwiej będzie panu spojrzeć w przyszłość, gdy zapomni pan o tym, co leży poza nim. Kiedy dopiero po swej chorobie dowiedziałem się o wypadku, jaki go spotkał, byłem, proszę mi wierzyć, głęboko tym dotknięty. Oto co robi zaciętość i zapamiętałość człowieka! Moralnie

jestem do pewnego stopnia odpowiedzialny za to, co pana spotkało i dlatego w miarę swoich skromnych sił i możliwości pragnę panu ułatwić sytuację, by we właściwych dla siebie warunkach mógł pan odetchnąć, odpocząć, dojść do równowagi po tych głębokich wstrząsach, a potem dopiero spojrzeć odważnie przed siebie.

— Czy ksiądz wie w jakim charakterze przychodziłem na zebrania? — spytał ponuro Wolski.

— Wiem i jestem daleki od potępiania pana. Ktokolwiek patrzy uważnie, ten widzi, że przez świat idą dwa potężne prądy, dwie olbrzymie, porywające ludzką falę — ciemności i światła. Pan nieszczęsnym zdarzeniem losu znalazł się w tej fali ciemności i porwany jej prądem, zasugerowany hasłami, oszołomiony frazesem—popłynął z jej biegiem. Znam pana, jego dzieje, ciężkie przeżycia i przekonany jestem, że kiedyś oprzytomniał by pan, spojrzał uważnie, głębiej i znalazł tyle siły, by wydobyć się z tego szalonego prądu, jaki niesie wprost ku zatraceniu. Nie chcę roztrząsać bynajmniej pana sumienia, przyjdzie chwila, iż uczyni pan to z własnej woli, z własnej potrzeby, chcę natomiast powiedzieć mu, że tylko miłością, tylko podparciem słabych i nieszczęśliwych można ich wyciągnąć i ratować z tej szatańskiej sieci, uwitej z czerwonej, krwawej przędzy.

Zamilkł i po chwili mówił dalej.

— Komunizm to straszny, niszczycielski ogień, zżerający dusze ludzkie, spopielający wolę, rozumy i serca. Ale kto dotknie tego straszego pożaru, kto stanie w jego zasięgu i kogo ta pożoga żywcem nie pochłonie, ten w czerwonych jej łunach widzi dopiero rze-

czywistość istoty komunistycznej, widzi tę straszną gilotynę, której ostrze ma ściąć społeczną głowę chrześcijaństwa. Byłem w Rosji, przeszedłem przez piekło bolszewizmu, patrzałem na to, co w ostatniej godzinie śmierci napoi mnie większą zgrozą i większym przerażeniem niż śmierć sama i dlatego postanowiłem walczyć z tym prądem, z tą ropiejącą na organizmie społecznym zarazą i, niech mi pan wierzy, szczęśliwy jestem, że mogę dziś w imię miłości, jaka nas wszystkich przez naukę Chrystusa łączy, wyciągnąć do pana rękę jak do brata.

Wolski zerwał się z krzesła, ogarnęło go jakieś niewytłumaczone, niepojęte wprost uczucie. Zdawało mu się, iż ten człowiek jest istotą nie ludzką, ale wręcz nadprzyrodzoną, wysnutą z imaginacji, z marzenia, z fantazji. Trząsł się jak w febrze i czuł, że jeszcze, jeszcze chwila, a łkanie rozsądzi mu piersi i dopiero w tym potoku łez wypowie cały swój ból, cały dramat i nieszczęście, jakie dźwiga na młodych ramionach.

Ksiądz Andrzej zauważył widocznie ten niezwykły stan swego gościa, serdecznie mu bowiem położył rękę na ramieniu i z uśmiechem powiedział.

— Wszystko to nic, drogi panie Jerzy, nasza ludzka rzeczą jest błądzić, ale gdzie serce i wola, gdzie uczucie zatrzymuje na tej błędnej drodze i każe się cofnąć—tam sprawa wygrana. My wszyscy w życiu błądzimy, wszyscy jesteśmy słabi, ale wszyscy też winniśmy pragnąć, by przez podniesienie myśli i serca ku Bogu, choć o cal jeden oderwać się od tej szarej i smutnej ziemi i być bliżej Niego.

Zapanowała cisza, zegar powoli powtarzał

swoje monotonne tik-tak, a ksiądz, sam widocznie wzruszony, opanowując się, siadł i zaczął spokojniej już kontynuować.

— Chcę zrobić panu pewną propozycję. Przypuszczam, iż powrót pana do poprzednich stosunków i do Naszej Myśli byłby ze względu na rozmaite okoliczności nie pożądanym, przeto, kochany panie, niech pan wysłucha uważnie tego, co powiem: oto dobrzy moi znajomi Jundziłłowie, ludzie zacni i kochani, mieszkają w głębokiej puszczy, on jest bowiem nadleśniczym lasów państwowych; jest tam u nich cicho, spokojnie, dobrze. Jundziłłowie mają synka i trzeba nieszczęścia, że chłopiec obecnie, w czasie ferii Bożonarodzeniowych złamał na ślizgawce nogę. Kuracja potrwa czas dłuższy i nie ma oczywiście mowy, żeby chłopiec mógł jechać do gimnazjum, a przymusowe te wakacje potrwać zapewne do wiosny. Otóż Jundziłłowie szukają korepetytora i trochę towarzysza, trochę wychowawcy dla swego jedynaka. Będzie tam panu dobrze, dom wyjątkowo miły, ludzie swoi, zacni, a cisza, wspaniałe bory, przyroda oderwą pana od koszmarów przeszłości, wzmocnią na duchu i ciele, a potem — zobaczymy. No, nic, drogi panie, głowa do góry, Bóg z nami!

Wolski zakrył twarz rękoma i z cicha lkał. Ksiądz siedział nieporuszony, jakby chcąc pozwolić, by ból nagromadzony spłynął przez te lzy ludzkie i dopiero po dobrej chwili począł znów mówić.

— Wyjedź pan dzisiaj wieczorem i rano stanie na miejscu. Zaraz wyślemy depechę powiadamiającą o pana przybyciu. A teraz mam tu coś dla pana do wręczenia.

Wysunął szufladę biurka, wyjął list i podał

Wolskiemu. Poznał natychmiast charakter Janki, ale mała ćwiartka papieru zawierała zaledwie kilka słów. Brzmiały one tak: „Jur, ufaj! Nie trać wiary i mnie jej nie odbieraj. Zaufaj księdzu Andrzejowi i czekaj na swoją Jankę”.

— Księżę, ona chora! — krzyknął.

— Zapewniam pana, że nie. Niech pan o nic w tej chwili nie pyta, są tego rodzaju okoliczności, że nie mogę i nie chcę o nich mówić. Ale proszę wierzyć, proszę zaufać moim słowom, że nie długi już może czas, kiedy Bóg pozwoli, że zobaczycie się i inaczej spojrzycie w życie.

— Spotkało ją coś złego, nieszczęście jakieś?

— Złe spotyka wszystkich nas codzień nieomal, ale nieszczęście nie spotkało jej żadne.

I ksiądz tak głęboko, tak poważnie spojrzał mu w oczy, iż Wolski uwierzył, że człowiek ten nie kłamie. A ksiądz mówił dalej.

— Trzeba przyjąć tę chwilową rozłąkę spokojnie i po męsku, nie męczyć się, nie szarpać zdrowia, które jest dopiero na początku powrotnej drogi. Nie długo będzie pan miał od niej wiadomości, a tymczasem — sięgnął po rozkład jazdy, chwilę szukał — wyjeżdża pan z dworca Wschodniego 9,30. Ma pan kilka godzin czasu do załatwienia swoich osobistych najkonieczniejszych spraw. I jeszcze jedno — narazie jest pan oczywiście bez środków materialnych, przyjmie więc pan ode mnie tę pożyczkę, a potem, po pobycie w Hruszczy, spłaci ją.

— Księżę, księżę! — powtarzał bezładnie Wolski, nie znajdując słów dla wyrażenia wdzięczności, jaka gorącą falą zalewała jego serce. Pożyczki jednak nie przyjął, w parę

godzin załatwił sprawę z mieszkaniem, przygotował się do podróży i znalazł się w zimowy ciemny wieczór na dworcu kolejowym. Kiedy już wsiadał do wagonu, zobaczył wysoką postać księdza Andrzeja, który uściśnął mu serdecznie dłoń, a gdy powoli zaszczękały koła wagonu, zgrzytnęły na stalowych wstążkach szyn, dobiegł go jeszcze głos.

— Głowa do góry, Bóg z nami!

Puszcza szumi i śpiewa...

Szczęknęły hamulce, lokomotywa ostatnim wysiłkiem odetchnęła z głębi żelaznych płuc i po ciąż zatrzymał się na malej, ośnieżonej stacji. Wolski wysiadł z nieliczną garstką pasażerów i rozglądał się za wyjściem, gdy stanął przed nim rosły, barczysty chłop w baraním kożuchu przepasanym paskiem, w czapce z nasznikami i spytał.

— A pan to może do Hruszczy?

— Tak.

— A o! trafił, zaraz spojrzawszy na pana pomyślał ja, co pan do nas. A gdzie to pańskie czemodańczyki?

Wolski wskazał na walizę i po chwili siedział już w sankach, zaprzężonych w parę tęgich mierzynów. Woźnica otulił go olbrzymią wilczurą, na nogi dał baranicę, sam zaś usadowił się na koźle.

— Ciepło się panie trzeba ubrać, bo drogi kawałek, a mróz choć niewielki, ale trzyma. No, małe, wio!

Śmignął batem i konie ruszyły z kopyta, aż grudki śniegu uderzyły w twarz Wolskiego; wyjechali z zabudowań stacyjnych, minęli pa-

rę lichych domków i znaleźli się na szerokiej białej drodze wśród roztoczy pól, pokrytych grubym kożuchem śniegu. Cicho było i zupełnie pusto i tylko ze słupów telegraficznych na widok podjeżdżających sań zrywały się stada wron i z głośnym krakaniem rozplywały w mlecznej roztoczy zimowego krajobrazu.

Przed nimi, w niedalekiej zdawało się odległości leżała ciemno-siną wstęgą lasów, ciągnąca się równą, długą ścianą, tak długą, że końca jej Wolski nie mógł dojrzeć. Okolica była płaska, równa, zamknięta pierścieniem siniejących borów, gdzie nigdzie przecięta ciemną plamą krzewów i drzew osypanych okiścią śniegu. Konie nieco zwolniły, furman zaś odwróciwszy się półboczem, zagabnął.

— A pan to pierwszy raz pewnie w nasze strony zajechał, ha?

— Tak, pierwszy raz.

— O! piękna strona, zobaczy pan. Lasy i lasy, że dni kilka wędrować możesz, a końca nie znajdziesz, aż za bolszewicką granicę przechodzą. Tu puszcza, panie, jakiej daleko szukać, mateczniki i po setki lat mające, a kto nie zna lasu, to przepadnie wśród niego jak kamień chluśnięty do czarnej wody. Ho, ho, lasy tu, powiadają, rządowe, pańskie, a ja mówię—Boskie.

Splunął na drogę, otarł rękawem zeszroniałe wąsy i mówił dalej.

— Dzika, lisa, wilka trafić tu nie trudno, a i ryś dla znającego puszcę się przygodzi. Sarna i zając to mielocz, że i mówić nie warto. O! jeśli pan na ochotę łakomy, to użyje tu tego wbród, a już nasz pan nadleśniczy poprowadzi i pokaże co trzeba.

Tymczasem ściana boru zbliżała się, rosła,

potężniała; ujechali jeszcze parę kilometrów i sanie werżnęły się w ciemną ścianę potężnych, olbrzymich drzew, stojących w tak zwartym szyku, iż miejscami zdawało się, że człowiek nie przejdzie między tym wojskiem pni.

— Ot, i nasza puszcza — powiedział chłop cicho, jakby z nabożeństwem. Teraz będzie tak już do samej Hruszczy.

Cisza panowała tu głęboka, uroczysta jak w kościele; drzewa stały osypane śniegiem, niby poowijane zwojami puszystej waty i tylko wysoko nad wierzchołkami ciemno-zielone zbite igliwie tworzyło kopułę tak gęstą, że w lesie panował mrok, jakgdyby dzień miał się już ku końcowi. Droga była wąska, wyboista od korzeni i sanie raz po raz podskakiwały na tych naturalnych przeszkodach. Czasami na niewielkich porębach zaświeciły złoto-żółtą korą sągi drzew, ciągnące się równymi szeregami niby ule, poustawiane w ogrodzie. Zdawało się, iż martwość i pustka obrały tu sobie siedzibę, żaden bowiem odgłos nie mącił ciszy i tylko czasami załopotwały ciężko skrzydła ptaka przelatującego nad drogą.

Wolski patrzył na ten inny, obcy dla siebie świat ciekawymi oczami i myślał, że istotnie ten chłop, siedzący na koźle, miał rację: teleny były raczej Boże — niż ludzkie. Wiedział, że pokrywają przestrzeń kilkudziesięciu kilometrów, że stanowią labirynt nieuchwytnych prawie dla oka drózek i przejść, po których tylko swobodnie przebiega zwierzę leśny, że miejscami zapadają w ostępy i leśne bagna tak niebezpieczne, że kto ich nie zna, kto nie świadomy jest ich obecności, temu grozi zatrata i śmierć...

Jakże odpręża się dusza w takim królestwie

przyrody i spokoju, jakże inaczej pracuje zmęczony mózg, inaczej krąży myśl, a nawet krew w żyłach. Wydawało mu się trochę fantastycznością, że oto zaledwie minęła doba, a Warszawa, jej zgiełk, ruch, kamienny puls, jakim ciągle dzwoni, gmatwanina ulic, zdarzeń i ludzi stała się daleką fatą morgana, przed nim zaś leży ta zielona, przepiękna rzeczywistość — puszcza.

Droga stała się tak wyboista, że sanie przecaczały się z koleiny w koleinę niby kołyska, jechali więc teraz powoli, korzystając przeto z większej swobody ruchów, Wolski wyciągnął papierosnicę, zapalił i podał papierosa furmanowi. Ten z lubością zaciągnął się wonnym dymem i znów począł mówić.

— Ot, przyjechał pan na piękny czas, zima stoi równa, a mrozy niewielkie. Prosto nie chce się w chałupie siedzieć, tylko chodzić i patrzeć, zobaczy więc pan niejedno u nas piękne. W domu niby choroba, bo panicz nogę złamał, ale sprawa nieważna, będzie zdrów i teraz to już nawet doktor nie przyjeżdża. A pan do nas na długo?

— Nie wiem, zapewne do wiosny.

— Szkoda, panie, na wiosnę stąd wyjeżdżać, toż tu dopiero życie się rozpoczyna, puszcza zaczyna grać jakby cały orkiestron, zieleń, pachnie, cudnaż ona jest wtenczas, cudnaż. Ptactwa to, panie, na topielach i błotach chmary takie, że prosto słońca nie widać, a kaczk, a bekasy, a słonki, a kurki — kto by tam zliczył ile tego i jakie są. Pojedzie pan nadleśniczy na bajora i pół bryczki ze sobą przywiezie. Wiosna, panie, to tu dopiero piękność, zobaczy pan, a jak zobaczy, to i jechać nie będzie chciał.

Droga się nieco poprawiła, konie ruszyły żywiej, a puszcza nie miała końca. Wysoko, górą szumiała, miejscami prześwieślały ją białe plamy brzoź, miejscami tłok świerków był tak ogromny, iż tworzył czarne nieprzebrane ostępy, czasem pod płozami sań zadudnił z drewnianych bali mostek i jechali tak między dwiema ścianami zbiegającymi się na horyzoncie i ciągle się rozchodzącymi.

— Daleko jeszcze do Hruszczy? zapytał Wolski.

— Jeszcze dwa, trzy kilometry, a rozpocznie się modrzewiowy las, jego będzie piorst pięć i Hruszcza. Szybciej teraz pojedziemy, droga tu będzie lepsza.

Istotnie, jechali teraz szparko, zmarznięty śnieg pryskał białymi grudami spod równo bijących kopyt końskich, aż wreszcie wjechali w aksamit modrzewi miękki, głęboki w tonie i tak prześliczny, że Wolski nie mógł oderwać odeń oczu; las był tu nieco rzadszy, weselszy, poprzecinany gdzieś niegdzie małymi polankami, wreszcie ściana się urywała i przed oczyma zarysowała się olbrzymia polana, a na niej, przyparte do ciemnej ściany, stało kilka zabudowań gospodarczych i duży dom podobny do dworu.

— Hruszcza—pokazał chłop batem w stronę osiedla.

Droga szła teraz równa, szersza i nie minęło kilkanaście minut, gdy sanie zatoczyły półkrąg przed klombem zawałonym śniegiem i stanęły przed oszklonym gankiem. W tej chwili drzwi się otworzyły i na stopniach ukazała się postać mężczyzny, a dwa wyżyły ze szczekaniem, w podskokach podbiegły do sań.

— Bardzo jestem rad, witając pana w naszej głuszy—odezwał się gospodarz i wyciągając rękę do Wolskiego przedstawił się, pomagając mu jednocześnie wysiąść i wypłatać się z ogromnej wilczury. Wprowadził go do dużej, trochę mrocznej sieni; ogarnęło go ciepło i zmieszany zapach ziół, jabłek i świeżego chleba. Jak przez sen przypomniał mu się mały dworek dziadków, ich siwe głowy, twarze matki i ojca.

Jundziłł zaprowadził go do pokoju na pięterku o białych ścianach, małym balkoniku i dużym oknie, przez które wpadało całym potokiem światło jasnego zimowego dnia. Było tu miło i cicho; nad łóżkiem wisiał niewielki obraz, jaki na dłuższą chwilę przykuł wzrok Wolskiego. Malowidło było zwykłe, robione ręką jakiegoś przygodnego malarza, ale w prostocie swej rozczulające. Obrazek przedstawiał postać Chrystusa siedzącego na głazie w Ogrójcu Oliwnym Białe-seledynowe światło księżycy padało na smutną, przedziwną twarz Boga-Człowieka, srebrzyło gęstwę oliwek i wysmukłe czuby palm. Była w tym taka tkliwość, a jednocześnie tyle głębokiej treści, iż Wolskiemu przypominały się mimo woli słowa Dziurby: jedynie Chrystus jest istotną prawdą...

Kiedy zeszedł do jadalni, zastał tam już Jundziłłową szczupłą szatynkę o miłym uśmiechu, ojca gospodarza starego pana Dominika i przyszełego swego elewa, który z nogą ujętą w łupki i bandaż, siedział na obszernym fotelu pod oknem, otoczony stosem książek. Chłopak o inteligentnym, bystrym wyrazie oczu i milej dziecięcej twarzyczce, był widocznie szczerze rad, że monotonię choroby i otoczenia

przerwał ktoś z zewnątrz, uściśnął bowiem mocno podaną sobie rękę i odrazu wypalił.

— Chwała Bogu, że już pan nareszcie przyjechał, bo myślałem, że choć na jednej nodze wywędruję w świat. Teraz już na pewno będzie inaczej!

Wolski uśmiechnął się, wnet też zasiedli do stołu i rozmowa potoczyła się tak zręcznie poprowadzona przez gospodarzy, że ani jednym wyrazem nie zahaczała o Wolskiego, jego przeszłość, życie, natomiast Jundziłł opowiadał mu dużo o miejscowych stosunkach, puszczy, zwyczajach ludu i warunkach, w jakich będzie musiał przez pewien czas żyć.

— Zobacz pan, że nie jest u nas tak strasznie, jakby się na pozór zdawało. Tak, to kąć wprawdzie oderwany od świata, ale mamy radio, sporo pism, znajdzie pan bibliotekę wcale zasobną, tylko—dodał śmiejąc się—jest tam w tej chwili jeszcze groch z kapustą, a przede wszystkim pociągnie pana niewątpliwie puszcza, bo jest ona jak żywy człowiek: żyje, myśli, czuje, śpiewa...

— Mój mąż—roześmiała się Jundziłłowa—jest tak rozkochany w swoich borach, że po prostu gotów pana zasugerować.

— Tatusz ma rację—krzyknął od okna Kazik. Puszczą to jest cud! Ach, panie Wolski, jakie to nieszczęście z tą moją nogą, że nie będę panu mógł wszystkiego pokazać, wszędzie zaprowadzić, bo dopiero wtedy poznałby pan naprawdę Hruszczę.

— No, Kazik ma oczywiście rację—wtrącił z udaną powagą pan Dominik—bo ani Hawryluk, ani Stefańczuk, ani Bodny, nikt tak nie zna puszczy, jak Kazik. Cóż, oni dopiero po trzy-

dzieści, czterdzieści lat chodzą po niej, a Kazik Bóg wie odkąd już...

— A żeby dziadzius wiedział, że nawet Stefańczuk powiedział, że niejeden leśniczy nie zna tak drogi na Modre Błota jak ja.

Obiad upłynął szybko, w nastroju tak miłym, iż Wolski nie spostrzegł nawet kiedy wszyscy się porozchodzili i pozostał sam z Kazikiem; chłopiec opowiadał mu żywo, z przejęciem o gimnazjum, kolegach, profesorach, o Hruszczy, polowaniach, na jakie już jeździł, a potem jął wypytywać o Warszawę, jej piękno, gmachy, życie, bo stolicy dotychczas nie znał.

— W czasie wakacji pojadę z tatusem do Warszawy i nad polskie morze—do Gdyni. Ach, ta noga, ta noga—wykrzyknął nagle—co ona narobiła! Teraz dobrze będę musiał przysiedzieć fałd, by dogonić stracony czas.

— Nie trap się Kaziu, damy sobie jakoś radę.

Godzina mijała za godziną, wielki ścienny zegar powoli wydzwaniał czas, aż wreszcie do pokoju wszedł pan Dominik. Szarzało już.

— Kazik zamęczy pana, wynudził się chłopak, bo ojciec cały dzień prawie w ruchu, matka zajęta gospodarstwem, a stary dziadek wyczerpał już cały repertuar wiadomości i wspomnień, więc, jak widzę, od razu zaczyna pana eksploatować.

— Bardzośmy przyjemnie z Kaziem rozmawiali i szczerze rad jestem, że od razu nawiązały się między nami nici przyjaźni.

Kiedy wieczorem znalazł się w swoim pokoju, ogarnęła go głęboka, niczym absolutnie nie zmacona cisza i dziwny, dawno już nie widziany gość—spokój. Za oknami leżała czar-

Sieć z czerwonej przędzy

na nieprzenikniona noc, puszcza stała nieruchoma, jakby zaczarowana, a tu, w tym białym pokoju mały krąg światła padający od lampy, miał w sobie jakąś ufność i otuchę w jutro.

Teraz dnie poczęły płynąć niby jednostajne, podobne jeden do drugiego, a jednak ciągle odmienne i nowe. Otulony wilczurą siadał z Jundziłłem w małe saneczki zaprzężone w żwawego konika i ruszali wąskimi drogami w tę krainę cudów, baśni i zieleni. Otwierały się przed nim nieznane dotychczas, nie przeczuwane nawet widoki, jednolite niby w swym obrazie, a jakże odmienne, żywe, barwne. Puszcza stała jak olbrzymie nieprzejrzone morze, to aż granatowa od ciemni świerków i modrzewi, to znów strzelająca potężnymi masztami złoto-żółtych sosen z rozkudłanymi, rosochatymi czapami, to parla się w taki tłok dębów, jaworów, buków, że ciemność i cisza leżała jakby w podziemiu, a miejscami drogę zawalały wykroty, zwalone zmurszałe pnie, ostępy i matnia, gdzie już przebrnąć było nie sposób.

Czasami wyjeżdżali na polany jasne, wesołe, słoneczne, obrzezane młodą świerczyną i srebrnymi plamami brzoź, to znów saneczki dudniły po groblach złożonych z grubych pni, a Jundziłł wskazywał na bagna, które nawet w czasie najcięższych mrozów nie marzną i pokrywają się zaledwie nikłą powłoką lodu. Wszystko teraz stało pod grubą okiścią śniegu iskrzącego się w południowym słońcu srebrem i diamentowym pyłem, nieskalane, białe, uroczyste. Cisza panowała tu niezmacona, czasami tylko wątlesza gałązka pod ciężarem śniegu łamała się z suchym trzaskiem, lub obijając się o konary spadała, odskakując jak elastyczna piłka, szyszka.

Jeździli tak czasami godzinami, a Jundziłł zatrzymywał nagle sanki i wskazując na wydeptane ślady w śniegu, mówił.

— Widzi pan, tu szły wilki, o, było ich sześć, poszły w stronę Hruszczy, ale mogę pana zapewnić, że od bukowego lasu skręciły, bo taki już ich zwyczaj.

Pokazywał mu ślady dzików, określając czy szły spokojnie, czy też ostro parły naprzód, tropy lisów, jeleni i sarn, obiecując.

— Niedaleko już wiosny, a wówczas zawiozę pana na tokowisko głuszców. Kto był w puszczy, a tego nie widział, choćby nawet nie myśliwy, musiałby sobie uważać to za grzech śmiertelny.

Wolski rozdzielał teraz czas pomiędzy zajęciami z Kaziem, a długie, miłe z nim rozmowy, polubił bowiem żywego, inteligentnego chłopca, tak zresztą jak polubił cały ten dom zwarty w sobie, mocny w swoim spokoju, gwarantujący niejako, że dziś wie, co przyniesie jutro kierowane wolą, sercem i rozumem. Po kilku dniach czuł się w tym starym modrzewiowym domu jakby zasiedziały jego mieszkaniec, a ludzie wydawali mu się tak bliscy, iż prosto trudno było uwierzyć, że zna ich dopiero od tygodnia. Jundziłł wykształcony, o szerokich horyzontach myślowych, rozmiłowany w naukach przyrodniczych, nie tracił nic ze swojego intelektu, wspierając go ciągle książką, pismami i bystrą obserwacją.

Korzystając z wolnych godzin, Wolski teraz sam zapuszczał się na dłuższe lub krótsze spacerory i znał już parokilometrowy obręb w promieniu samej Hruszczy. Jakże przyjemnie było iść wśród ciemnych ścian lasów, słyszeć pod nogami chrzęst śniegu, a myślą zahaczać o to,

co przyniesie jutro, o Jankę, o księdza Andrzeja... Dziwna rzecz, rozumowo nie wiedział dlaczego, logicznie nie potrafiłby tego wyprowadzić, ale w to jutro właśnie patrzył już spokojniej, trochę może z rezygnacją, ale i z pewną wiarą. W takich wędrówkach poznał paru gajowych, z których szczególnie jeden Stefańczuk przypomniawszy mu nieco Czuba. Chłop był wysoki, szczupły, o twarzy dziwnie ponurej, nigdy nie uśmiechniętej.

Odpowiadał krótko, prawie monosylabami, ale Wolski, który często zachodził do jego rewiru, spotykając, zawsze poczęstował papierosem, pogawędził i tak potrosze weszli jakoś w przyjazne stosunki.

— Ho, ho—uśmiechał się Jundziłł—to nie mała sprawa jeśli Stefańczuk z kimś dłużej pomówi. Mruk zabity, ale i biedne chłopisko, niezwykłą przeszedł w życiu swoim tragedię.

Jaką, Wolski o to nie wypytywał, ale że i w nim rany się jeszcze nie pozabliźniały, że ból dopiekał, a dusza czasami burzyła się, więc mimowoli poczuł do tego ponurego leśnika sympatię i przewłóczył się z nim czasami po parę godzin.

Kiedyś zmęczeni, przysiedli na zwałonych pniach, a Wolski, wskazując głową w stronę północy, zapytał.

— A gdybym poszedł tędy, dokądbym zaszedł?

— Wiorst dwadzieścia, a tam już i granica tych czerwonych psów, bolszewików.

W twarzy Stefańczuka było tyle nienawiści, oczy zaświeciły takim złym, ponurym światłem, że Wolski aż się wzdrygnął.

— Byliście tam, znacie ich?

Chłop przez chwilę milczał, potem wstał,

wyprostował swą potężną postać, podniósł zwinętą pięść, wielką jak bochen chleba i w milczeniu wyciągnął w stronę dalekiej granicy.

— Ja tam zostawił siebie, wszystko, co miał najlepszego, ot, życie całe.

Siadł znów ciężko na pniu, a potem monotonicznie, cicho zaczął mówić.

— To było tak: ja w tych lasach służę lat czterdzieści, jeszcze kiedy one były carskie. Nadleśniczym był tu pan Federenko, człowiek dobry, dusza, że i daleko szukać. Żyło się spokojnie, po Bożemu, w garnek było co włożyć, a nawet i grosz jaki taki był, bo rodzina była u mnie niewielka, żona i córeczka Zonia. Aż przyszła wojna—szła światem, przetaczała się jak pijana, doszła i tu. Pan Federenko powiada: Stefańczuk, ja jadę w Moskwę, zbieraj się i jedź ze mną, tu przyjdą Niemcy, austrijaki, Bóg wie co może być, a tam roczek, dwa posiedzim i znów na stare miejsce do Hruszczy wrócimy. Podumał ja, pomyślał, żal było samemu zostawać, człowiek wiedział, że pan Federenko zginać nie da, tak i niewiele myśląc pojechali my.

Chwilę przerwał, popatrzył gdzieś w przestrzeń i ciągnął dalej.

— Długo by trzeba mówić, jak tam było i co było, ale było coraz gorzej. Na kolei ja służył przy panu Federence, aż tu rewolucja. Świat, panie, jakby cały w ogniu stanął—strzelanina, prosto borba na ulicach, pochody, manifestacje, aresztują to tu, to tam, więc myślę sobie złe jest. Żal, że człowiek z Hruszczy się wybrał. Któregoś dnia słyszę ja, Federenko aresztowany. Za co, dla czego, ot, kto dojdzie, aresztowali już te wściekłe psy, kto im pod oczy wpadł, kogo chcieli.

— Nic—siedzę ja po staremu, ale po głowie ciągle chodzi, jakby się w stronę Hruszczy przebrać. Córka miała lat szesnaście, a była, panie, krew z mlekiem jak, ta zorza poranna, ot, jedyne szczęście, jedyne słoneczko w domu; dziewczyna, jak dziewczyna, pracowała w fabryce, na zebrania ich latała, na zgromadzenia, a co przyjdzie, to woła: ot, teraz nam wolność, ot, nowe życie idzie! Ja do żony mówię, patrz — no na Zońkę, bacz, bo młodość tam i głupota szumi, ale co to w tym bezumiu, w tym bałaganie można było i zrobić. Dzień w dzień to strzelanina, to walka na ulicach, to ni z tego, ni z owego prosto za szyję kogoś ciągną do czrezwyczajki i więcej go już nie zobaczysz.

Któręś dnia wieczorem wpada Zońka do domu, a ja ledwie spojrzał na nią, wiedział, że złego się coś dzieje: oczy jakby cudze, błędne, twarz biała, a ręce to tak latają, jak na sznurkach.

— Co z tobą Zonia, pytam. A ona nic, tylko jakby w gorączce powtarza: wolność, wolność...

Aż wyszło na jaw — odebrali dziewczynie cześć, sponiewierali, ot szmatę zrobili. Rwała żona włosy z głowy, pobiegła do tego ich komisarza i krzyczy: córkę mi złodzieje oddajcie, wy psy zatracone, wy szatany bolszewickie coście z nią zrobili, jak pohańbiliście moją dziewczynę słodką, moją Zońkę jedyną! A on się śmieje i mówi: paszła won, stara, a cóż twoja dziewczyna, komunistka, to i dla komunistów. I kolbą od nagana raz ją w piersi i drugi. Chlusnęła krwią i tak przywlokła się do domu po to, by przeleżeć dwie niedziele, a potem gruzowikiem do wspólnego dołu,

— A dziewczyna? — szepnął cicho Wolski.

— Oczy moje już jej nie widziały. Poszła w świat i ot—przepadła. Na bolszewicki gnój... Ja nocami jak zwierzę przebrał się do Hruszczy.

Zapanowała taka cisza, że słysząc było jak śnieg osypuje się z drzew i Wolskim wstrząsnął dreszcz. Komunizm, wolność, Ewa, zło-dziejstwo i szpiegostwo, a nad tym wszystkim przemoc, niewolnictwo, zatra-ta dusz i człowieka.

Stefańczuk podniósł się i odwrócił swą po-nurą twarz w stronę północy.

— Bodajście utopili się we własnej krwi, bodajście zaleli się własnymi łzami, bodajby Bóg i świat przeklął was tak, wy, złodziejskie, sobacze, piekielne pokolenie, jak przeklinam was ja!

Twarz jego była poprostu straszna, podnie-sione pięści wyciągnął w tamtą stronę i zda-wało się, iż gdyby mógł ująć w swe żyłaste ręce szyję tej hydry komunistycznej, zdusiłby ją, zmiażdżył i zgniótł, aż wreszcie, ochłuśnięty falą krwi, znalazłby może ukojenie...

Ta krótka opowieść Stefańczuka zrobiła na nim tak potężne wrażenie, że tego wieczora, podziękowawszy wcześniej za kolację, udał się do swego pokoju. Wspomnienia i nawrotna fala dociekań znów natarły z taką siłą, aż skur-czył się duchowo pod udre-ką tego naporu. Oto jak wygląda komunizm w zetknięciu z rze-czywistością, oto czym jest w oczach i umy-słach tych, którzy nie przez progandową bibu-lę, nie przez wiecową frazeologię, nie przez doktrynerstwo, ale przez życie bezpośrednie, związane dzień po dniu z ropiejącym cielskiem komunizmu, dopiero go właściwie oceniają i wiedzą, czym jest w istocie ten fałsz, to za-klamanie. Trzeba było okropnej męki, prze-

żyć i doświadczeń, by dopiero tu na rubieży, na drugim krańcu Polski ciemny, kto wie czy piśmienny chłop wskazał mu czym jest właściwie ta idea, której chciał wierzyć i służyć. Oto taki Stefańczuk szorstką, twardą ręką starł mu bielmo z oczu i powiedział: patrz, głupcze, jak wygląda rzeczywistość!

Czymże w zetknięciu się, w podejściu nie na odległość, ale niejako w otarciu jest i rzeczywistość, i doktryna, i filozofia komunizmu. Chaotyczną gmatwaniną negacji, sprzeczności, zakłamań w stosunku do tych zasad jakie głosi; czy Zonia Stefańczukówna, jedna z miliona w Rosji nie jest dramatycznym, piekielnym zjawiskiem zakłamania wolności człowieka, czy cały system oparty na zmasowaniu, zmechanizowaniu ludzi, złowionych w ową czerwona sieć, nie staje się żywym ciałem zaprzeczenia tej idei, jaka dla pozoru i efektu rzuca słowem jak piaskiem w oczy. Nie religia więc, jak twierdzi Lenin, jest opium dla mas, ale komunizm jest owym narkotykiem, który w nienawiści chce oszołomić, oślepić, pozbawić wszelkiej woli i wszelkich kryteriów myślowych.

Czym głębiej, czym wnikliwiej zapuszczał się w labirynt teorii, szedł w nim, potykał się, tym coraz jaśniej wiedział, że źródłem, motywem i podłożem doktryny komunistycznej jest nienawiść do całego systemu chrześcijańskiego, nauka bowiem Chrystusa jest najniebezpieczniejszą szalą przeciwwagi nauce nienawiści, sama będąc nauką ogólnoludzką miłości. Dlatego też komunizm grupuje przede wszystkim elementy nie aryjskie, ci bowiem, którzy krzyżowali Boga-Człowieka po dwóch tysiącach lat zrozumieli, że ich dziejowa zbrodnia na Golgocie obróciła się przeciwko nim, spełzła, roz-

wiała się w nicość, a od męczeńskiego krzyża na pięć części globu popłynęły potężne fale światła, które ogarnęły ludzkość w swoje władanie i nie ma żadnej siły, żadnej mocy leżącej w możliwościach ludzkich, by świat z tego zasięgu promienności można zsunąć i wtrącić w ciemność i nienawiść.

Ci, co chcieli zabić Boga, muszą się wszczepić w wiekowe kolisko Jego istnienia, przejść przez ofiarę światła i cierpienia, by w ten sposób odrodzić się, odkupić, i stać się równymi innym narodom.

Pod wpływem tych męczących rozważań skupiał się, pośpinał i troska widocznie osiadała mu na czole; myśl o Jance nie opuszczała go ani na jedną chwilę i pytanie co się z nią dzieje, stało się tak dręczące, iż chwilami miał chęć porzucenia Hruszczy, powrotu do Warszawy, odszukania jej, czuł bowiem, że ta niepewność stanie się ciężarem wreszcie nie do zniesienia. Jundziłłowie zaniepokojeni, wypytywali go troskliwie, czy nie chory, pan Dominik zaś długimi i ciekawymi opowiadaniem z przeszłości i życia spędzonego na Uralu i Kaukazie starał się rozproszyć smutek młodego człowieka, a Kazik twierdził, że kiedy wreszcie poruszy się z miejsca, wówczas i kochany pan Jurek nabierze innego animuszu.

Marzec tymczasem wytrząsał resztki śniegu, dnie stawały się dłuższe, a o południu słońce przypiekało już tak mocno, że z okapu dachów woda ściekała srebrnymi kroplami, a białe dotychczas, jakby pokryte pluszowym płaszczem polany poczęły szarzeć, ciemnieć i spod topniejących śniegów ukazywała się skudłona, rudą zeszłoroczna trawa. Wiosna zapowiadała się wczesna i gajowi wedle rozlicznych prog-

nostyków, znanych tylko leśnym ludziom, twierdzili, że jeszcze parę niedziel, a puszcza poczynie drgać nowym wiosennym życiem. Nocami mrozy były jeszcze silne, ale istotnie, pod koniec miesiąca zawieruchy śnieżne przeszły w szarugi, szarugi coraz częściej przeplatały deszcze zimne, lodowate, ale puszcza pociemniała, szerniała, białe kożuchy i aksamity śniegu poczęły żółknąć, zapadać się, drózkami i ścieżynami leśnymi szumiała woda, aż wreszcie przyszyły ulewy cieplejsze już, jakby nagrzane dalekim oddechem wiosny i stało się tak błotnisto, mokro, że nawet Jundziłł zaprzestał codziennych kontroli i inspekcji leśnych, zajęty przeważnie w kancelarii.

Gdzieś od dalekiego południa, z szarymi welniastymi chmurami, co jakby na wyścigi gnały ponad szumiącą puszcza, szła w zapowiedzi słońca, blasków i błękitów wiosna...

Takiego to dnia mętnego, pełnego deszczu, Jundziłł, segregując przyniesioną pocztę, ujął do ręki dużą, ciężką kopertę i podał Wolskiemu.

— Dla pana, panie Jerze.

Spojrzał zdziwiony na adres i uczył, że krew nagle zbiega mu do serca, zatrzymuje je w ruchu, by potem zatargać nim tak silnie, prawie aż do bólu. List był adresowany ręką Janki; podziękował w milczeniu skinięciem głowy i poszedł na górę. Z rozerwanej koperty wysunął się szereg arkusików zapisanych jej pismem, a kiedy spojrzał na ostatnią kartę, nie ulegało już wątpliwości, że list był od niej, podpis bowiem Janka Wisnowiczówna był wreszcie tym słowem, jakiego wyczekiwał z utęsknieniem i męką od tyłu miesięcy.

Siadł przy oknie i czytał; przerzucał ćwiart-

tkę za ćwiartką, znów powracał do nich, odkładał na chwilę, aby na nowo pochwycić je w rękę. Zdawało się, iż list ten jest jakąś nieprawdopodobną historią, wysnutą z fantazji czy napisaną przez złośliwość, aby przynieść mu nowy ból. Ale nie, wszystko to, co czytał, co płynęło spod pióra Wisnowiczówny, było prawdą, prawdą jednak tak okropną, tak przerażającą, że dopiero wówczas, gdy ochłodził zupełnie, gdy myśl poczęła pracować równiej, logiczniej, przekonał się, iż te białe kartki przynosiły długą spowiedź z kilku ostatnich miesięcy życia Janki i przeżyć, jakie ją spotkały.

Wisnowiczówna była aresztowana. Przez parę tygodni przesiedziała w więzieniu i dopiero po mozolnym, przyspieszonym, na skutek rozmaitych interwencji w śledztwie, została uwolniona.

„Dziś już — pisała — kiedy to wszystko jest poza mną, mnie samej wydaje się potrosze złym snem i nieraz, Jur, przecieram sobie oczy, aby stwierdzić, że aresztowanie, cela, policja, sędzia śledczy, wszystko to już minęło, a ja jestem nie tylko wolna, ale niejako podniesiona tym krzyżowym ogniem, przez jaki przeszłam. Cała sprawa jest na pozór nieprawdopodobna, a jednak, jak zobaczysz, wpłątano mnie w taką matnię, że tylko głębokie przekonanie, iż prawda musi wreszcie zwyciężyć, wyprowadziło mnie na spokojną znów drogę. Poczęło się tak: pewnego dnia w starszych klasach dzieci znalazły podrzucone odezwy komunistyczne, a nie bardzo orientując się w ich treści, część oddały mnie, część zaś popłynęła do domów. Przeprowadziłam śledztwo, dociekałam, skąd i jakimi drogami owa bibuła

wywrotowa znalazła się w szkole, ale wszelkie dochodzenia nie dały najmniejszego wyniku. Byłam o tyle nieprzezorna, iż nie powiadomiłam o tym miejscowej policji, ciągle sądząc, że powoli, dzięki obserwacji dojdę, czyje ręce podłożyły owe komunistyczne druki. Jak postąpiłam nietylko nieogłędnie, ale poprostu głupio, przekonałam się w kilka dni potem, kiedy w szkole pojawili się przedstawiciele władzy i poczęli przeprowadzać śledztwo, skąd wzięły się odezwy i dlaczego o fakcie nie powiadomiłam ani władz szkolnych, ani miejscowej policji. W protokole potwierdziłam sam fakt znalezienia odezw, powiadomiłam, niestety, za późno kuratorium i z niepokojem czekałam na konsekwencje, mając jednak nadzieję, iż sprawa się ostatecznie wyjaśni. Rozumiesz, że nie bałam się, by posądzono mnie o jakąkolwiek łączność z komunizmem.

Tymczasem w kilka dni historia powtórzyła się, miała jednak już daleko poważniejsze następstwa, kiedy bowiem przeprowadzono u mnie w mieszkaniu rewizję, znaleziono w pustej walizie plik tych samych odezw i wtedy to przewieziono mnie na śledztwo do Warszawy, a potem ani łzy, ani rozpacz nie pomogły — aresztowano.

O wypadku dowiedział się ksiądz Andrzej Hanicz i stary, zacny Kobyliński, który natychmiast przybył do Warszawy i narobił takiego alarmu u moich władz szkolnych, w sądzie, u sędziego śledczego, poruszył nieomal pół stolicy, że śledztwo poszło przyspieszonym trybem i oto w tym czasie, kiedyś wyjechał do Hruszczy, mnie zwolniono. Władze szkolne wydały o mnie najpochlebniejszą opinię, a informacje, zebrane odnośnie mojej osoby, wy-

kluczały nietylko wszelką możliwość, ale nawet cień prawdopodobieństwa jakiegokolwiek styczności z akcją komunistyczną. Mimo to zostałam w czynnościach zawieszona, po wyjściu zaś z więzienia, czułam się całą sprawą tak głęboko wstrząśnięta, iż trzeba było długiego okresu, aby oprzytomnieć i dojść do jakiejś takiej równowagi i spokoju.

Historia na tym się jednak nie kończy, dalsze obserwacje policji, która ze względu na moją osobę zajęła się sprawą bardzo żywo, dały poprostu rewelacyjne wyniki: okazało się, że syn naszej woźnej, młody chłopak pracujący w jednej z fabryk podwarszawskich został wciągnięty w robotę wywrotową, przekupiony i on to był owym narzędziem, za którego pomocą płynęła do klas bibuła komunistyczna, a mnie przynajmniej narazie usunięto ze szkoły. Sprawa nabrała szerszego posmaku, stwierdzono bowiem, iż chodziło tu o osobę panny Janiny Wisnowiczówny, która na terenie Grudek starała się w miarę swoich skromnych sił i możliwości przeciwdziałać akcji komunistycznej i dlatego właśnie, jak widzisz, kochany, wymierzono jej cios prosto między oczy.

Dziś, kiedy patrzę na to wszystko z perspektywy kilku tygodni, ogarnia mnie zdumienie i przerażenie jak straszne są ręce, prowadzące dzieło podpalania Polski. Więc nawet szkoła nie jest wolna od wywrotowej roboty, nawet na jej terenie używa się najhaniebniejszych środków, by podważyć ją, zachwiać, a umysł dziecka już od zarania zarazić i znieprawić. Ileż trzeba ofiar i poświęceń, samozaparcia się i czujności, by przeciwstawić się tej akcji, która grozi nam od fundamentów, aż po szczyt!"

List był obszerny, ale chaotyczny, pisany wi-

docznie jeszcze pod wpływem zdenerwowania, jasnym się tylko stawało, że gdyby nie gwałtowna interwencja z zewnątrz, sprawa mogłaby się gmatwać i chociaż, jak słusznie pisała Janka, prawda ostatecznie zwyciężyłaby, droga jednak do tego zwycięstwa byłaby bardziej męcząca i bolesna od tej, jaką przeszła młoda nauczycielka. Uczucia, jakie ogarnęły Wolskiego po przeczytaniu tych długich relacji, skoncentrowały się całkowicie w tak zajadłej i zapieczonej pasji, że nie mogąc z wirowiska myśli sformować ani jednego określonego zdania, powtarzał tylko przez zaciśnięte zęby: lotry! lotry!

Teraz dopiero przypomniła mu się rozmowa z towarzyszem Spokojnym, jego zainteresowanie się szkołą i osobą młodej nauczycielki, a znając stosunki partyjne, wiedział jakimi drogami władze wydziału potrafiły sięgnąć do Grudek i uderzyć w tę bezbronną, samotną, a przede wszystkim niewinną dziewczynę.

Chciał biec do Jundzilli, prosić go o konie, jechać do Warszawy i stanąwszy w lokalu partii prażyć w jej towarzyszach ołowiem, aby wzajemian podziękować za zapłatę, jaką zgótowano mu za jego pracę w partii. Oto jest czystość idei, oto szlachetność roboty, która nie waha się przed żadną drogą, przed żadnymi środkami, aby tylko popodkładać miny i rujnować wszystko, co widzi wokół siebie.

Nie zeszedł tego wieczoru na dół, lecz powracając ciągle do listu Janki, wyjaskrawiał i uplastyczniał sobie mękę, jaką przeżyła podczas niezwyklej, nieprawdopodobnej wręcz historii; przez asocjację myśli stanęły mu w oczach dwie głowy kobiece, kto wie czy nie przebywające pod jednym dachem więziennym—Ewy

i Janki. Ale jakaż przepaść, jakaż niezgłębiona różnica była między tymi dwiema postaciami kobiecymi, jakież inne drogi zaprowadziły je do murów więzienia, które dla jednej stawało się hańbą, dla drugiej — zaszczytem.

Kiedy następnego dnia przy śniadaniu Jundzillowa spojrzała na niego, z przestрахem krzyknęła.

— Co panu jest, pan chory? Wygląda pan, jak po ciężkim jakimś cierpieniu; natychmiast powiadomię męża, aby sprowadził lekarza, bo gotów pan istotnie rozchorować się poważnie.

Wolski zapewnił ją, że nic mu nie jest, zmartwił się tylko otrzymanymi wiadomościami i opanowawszy już poprzednie wzruszenie, siadł jak zwykle do lekcji z Kazikiem. Mimo wysiłku nie mógł jednak skupić uwagi, myśl bowiem ciągle nawracała do listu Janki, tym więcej, że poza szerokim opisem ubiegłych zdarzeń o obecnej swojej sytuacji, donosiła niewiele i w pewnym tylko miejscu słowa listu brzmiały:

„Wierzę mocno Jur, że teraz już wszystko złe jest poza nami. Może trzeba było przebyć tę drogę, by szczęście stało się pełniejsze i bardziej przez nas ocenione. Nie troszcz się o mnie, zrewanżowana całkowicie na terenie swoich władz, nietylko nie zginę, ale kto wie, czy cała ta sprawa w konsekwencji nie wyjdzie mi na dobre. Czekaj więc wiadomości i wierzaj tak jak ja, że będą one pomyślne”.

Uspokoiwszy i opanowawszy się wewnętrznie, napisał do niej list tak obszerny, iż wyglądał w napęczniałej kopercie jak cały manuskrypt i dopiero zdawszy go na pocztę powrócił do zwykłej równowagi, częściej tylko, o ile

czas pozwalał, wymykając się na długie samotne spaceru w głąb lasu.

A wiosna szła i szła... Śniegi już stały, belkotliwe, jakby gniewne wezbranymi falami ruczaje i strumyki leśne powróciły do swoich koryt, szmerząc cicho to w gęstwinach łoż, zeschłych oczeretów i sitowi, to rozlewając się na płaskich i żółtych piaskach. Puszcza od dołu straciła już swoją rudzinę traw i podszycia, poczynając nabierać koloru jasno-zielonego szmaragdu; na brzozech i olchach ukazywały się pierwsze lepkie pąkowania, modrzewie poczęły stroić się w drobnutkie wstęgi, jakby nanizane na długie sznureczki igliwia. Tylko dęby, buki, ogromne klony i sosny stały jeszcze pod resztką ciemnych liści, czekając aż wiosenne słońce ożywi w ich żyłastych konarach pęd soków i pobudzi do nowego istnienia; pod wieczór, szczególnie o zachodach przeciągały chmury ptactwa, ciągnące z dalekich krajów z klekotaniem, świergotem, zapadając za ciemnymi ścianami na mokradłach, bagnach i niedostępnych ukrytych wśród gęstwy ruczajach...

Nocami brały jeszcze wcale tegie przymrozki, ale już pierwsze promienie słońca przepędzały te resztki zimy, jasność i błękit panowały się coraz mocniej, puszcza zieleniała, stawała w nowym cudzie odświętna, młoda, żywiołowa. Już teraz nad błotami, gdzie prowadzał go Stefańczuk i Bodny, był taki krzyk ptasi, rozgwar, hałas, poświsty i bulgotania wody, iż zdawało się, że te pierzaste chmury ptasie ruchliwe, kłębiące się odprawiają sejmiki i radzą gwarnie, a radośnie, jak przeżyć ów czas na błotach i mokradłach Hruszczy.

Wszystko poweselało, strzelało młodym liściem i pąkaniem, pchało się w górę, czepiało

splątany gałązkami wyżej i wyżej—do słońca i błękitu. Pewnego dnia przy obiedzie Jundziłł powiedział.

— Głuszcze już tokują, jeśli pan chce zatem, panie Jerzy, pokażę to, co zapewne widział pan wielokrotnie w ilustracjach, czytał w opisach, może oglądał na filmie, ale co nie jest istotną prawdą, jaką można zobaczyć tylko w puszczy.

Oczywiście Wolski zgodził się najchętniej i ku okropnemu strapieniu Kazika, że nie będzie mógł w tej emocjującej wyprawie wziąć udziału, na drugi dzień głęboką nocą wyruszyli na tokowisko; towarzyszył im Stefańczuk i Bodny—specjaliści od tego rodzaju wypraw. Noc była chłodna, prawie mroźna, a Wolski, który po raz pierwszy widział puszcę w nocy, wpatrywał się w nieprzebitą czerń, jaka otaczała ich wokół i podziwiał instynkt zarówno konia jak i Bodnego, który nim kierował, iż w tej nieprzeniknionej pomroce jechali nie tylko szparoko, ale i pewnie. Po paru godzinach, po kilku przeprawach przez groble huczące głucho okrągłymi balami pod kołami wózka, wysiedli około maleńkiej samotnej gajówki i stąpając po omacku, skierowali się w głąb lasu. Był on tu rzadszy, wysokopienny, sosnowy, ale ciemność panowała tak głęboka, iż Wolski, mimo, że wyteżał wzrok, raz po raz ocierał się o potężne pnie sosen, kierując się raczej słuchem niż oczami; doszli wreszcie na skraj dużej polany, gdzie las rzedniał, był niższy, a światło z dalekich migotliwych gwiazd pozwalało dojrzeć kontury drzew i zarys polany. Okrążali ją teraz gęsiego, powoli, zachowując wszelkie środ-

Sieć z czerwonej przędzy

ki ostrożności, gdy naraz Bodny, idący przodem, stanął i podniósł rękę do góry.

— Gra—szepnął Stefańczuk, będący tuż koło Wolskiego. Wyteżył słuch, wyciągnął głowę jak ogar, ale prócz spływających kropli rosy, nic nie mógł dosłyszeć; posunęli się kilka kroków i znów znieruchomieli. Ptak gdzieś daleko śpiewał swoją wiosenną pieśń miłości i uszy ludzi zżytych z tajemnicami puszczy i przyrody słyszały go, on jednak nie mógł uchwycić tego dźwięku, tak opiewanego przez wszystkich myśliwych świata. Stąpając powoli, by nie nadepnąć na zeschniętą gałąź, posuwali się naprzód, aż wreszcie w pewnej chwili, gdy leśnik idący przodem znów dał znak dłonią, stanęli i wtedy do uszu Wolskiego dobiegł daleki, chwilami jakby stłumiony, to znów ostry ni to klekot, ni charczenie—dźwięk, przypominający szybkie uderzenia w drewniane pałeczki. Póki ptak grał, posuwali się dość szybko, z chwilą jednak, kiedy głos ze skraju polany cichnął, znieruchomieli, wyteżając wzrok w tamtą stronę.

Na wschodzie poczynano świtać; ciemno granatowa powłoka nieba nabierała głębokich modrawych tonów, gwiazdy znikły i na tle tej rozpiętej opony rysowały się ostrymi konturami gałęzie świerków i karłowatych w tym miejscu sosen; teraz już do uszu Wolskiego dobiegał wyraźnie głos ptaka to gardłany, jakby mu woda przelewała się w przeliku, to znów syczący, jakby złośliwy, przechodząc nagle w ów drobniutki dźwięk szybkiego bicia o drewnianą deseczkę. Był rozczarowany, tyle istotnie słyszał i czytał o owej prześlicznej pieśni głuszcza, pieśni, dla której myśliwi przejeżdżają setki kilometrów, wyczekując po kilka nocy

z rzędu, a tymczasem nie była ona ani efektowna, ani piękna, nie miała też nic z miłosnego upojenia. Stefańczuk tracił go lekko w łokieć i zbliżając usta do ucha, szepnął.

— Tam, na prawo, na tym wysokim choja-rze, niech pan patrzy.

Patrzył, ale nic nie mógł dostrzec, ciemność była jeszcze tak znaczna, że głęboka szaryzna i opar, podnoszący się z nad polany utrudniał całkowicie obserwację.

Stał, mrużył oczy pragnąc przebić otaczający go mrok, gdy nagle o kilka zaledwie kroków od siebie usłyszał ciężki łopot i na tle modrawego nieba ujrział wielkiego ptaka, jak równą, skośną linią spłynął na polanę. Teraz Wolski widział go już wyraźnie jak rozpostarł szerokie skrzydła i trąc nimi po ziemi, krótkimi nóżkami przebiegał nieco naprzód, to cofał się znów wstecz, aż przechyliwszy głowę, wyciągnął ją naprzód i rozpoczął znów swój jedyny, nie podobny do innych, odmienny, nieładny, a jednak fascynujący śpiew. Pragnąc zobaczyć ptaka lepiej, posunął się naprzód i stopą zgniótł gałąź, która suchym trzaskiem rozdarła ciszę powietrza; w tej chwili ptak urwał, poderwał się i równym, spokojnym lotem jał płynąć ku czarnej ścianie lasu, nie dopłynął jednak, ogłuszający huk z dubeltówki Jundziłła przerwał tę podróż, z której już nigdy nie miał powrócić na leśną polanę....

W takich to warunkach, kiedy każdy dzień był świętem radości i rozgwaru wiosennego, kiedy puszcza stawała w objawieniu coraz nowych czarów i tajemnic, szybko zbliżała się Wielkanoc. Kazio poczynął już chodzić, wprowadzić przy pomocy ojcowskiej laski, ale wbrew obawom matki, noga zrosła się doskonale i zła-

manie nie pozostawiło żadnych zupełnie śladów. Wolski z przykrością myślał, że zbliża się czas, kiedy będzie musiał opuścić cichy, spokojny dom, tych dobrych i rozumnych ludzi, którzy potrafili patrzeć nie tylko na dzień powszedni, lecz sięgali sercem i umysłem głębiej i że trzeba będzie powrócić do stolicy, szukać nowych dróg, po jakich ma się potoczyć też i nowe życie. Myślał o tym wszystkim nie tylko z głęboką przykrością, ale i z pewną obawą i jedynie nadzieja zobaczenia się z Janką krzepiła go w tej myśli o zbliżającej się przyszłości. Postanowił nie zwlekając zakomunikować Jundziłom, iż opuści Hruszczę jednocześnie z wyjazdem Kazia, gdy pewnego wieczoru po kolacji, kiedy jak zwykle załatwiano dłuższe domowe sprawy, Jundził zwrócił się do niego.

— Mam do pana prośbę; Kazio, jak panu wiadomo, po ferii wielkanocnych wyjeżdża do gimnazjum i stosownie do pierwotnej umowy, pan również może opuścić nasz dom, chcę jednak prosić, aby pan tego nie czynił...

Widząc, że Wolski chce mu przerwać, nie pozwolił i ciągnął dalej.

— Zaraz, panie Jerzy, niech pan wysłucha, a potem dopiero odpowie. Jak pan wie, mam obszerną i ładną bibliotekę, jedyne bogactwo w tym domu. W jakim jest stanie, też pan wie, bo niejednokrotnie ją widział: w pakach, książki leżą niczym sterta siana, słowem groch z kapustą. Dalej takiego stanu rzeczy tolerować nie mogę, gdyż dorobek całego mego życia pójdzie na marne, trzeba więc to wszystko uporządkować, posegregować, sporządzić katalog, a to praca mozolna, wymagająca staranności i czasu przynajmniej na kilka

miesiący. Otóż chciałem pana bardzo prosić, aby zrobił mi tę przysługę i zajął się doprowadzeniem moich skarbów do porządku.

Wolski zaczął coś niewyraźnie tłumaczyć, iż pobyt jego przedłużyłby się ponad miarę, że nie może wyzyskiwać ich uprzejmości, ale Jundziłłowa przerwała.

— Niech pan nie odmawia mężowi tej przysługi, a nam wszystkim zrobi prawdziwą przyjemność, pozostając jeszcze pewien czas w naszej guszy. Żyliśmy się z panem, wie pan, iż szczerze polubiliśmy go i po wyjeździe Kazia nie będziemy tak odczuwali swojej samotności.

Do Jundziłłów przyłączył się pan Dominik, Kazio i tak go wszyscy zaobligowali, że wzruszony serdecznością i dobrocią tych ludzi, ucałował ręce Jundziłłowej, a jemu mocno, z wyłanianiem uściśnął dłoń.

— Przecież byłby to grzech śmiertelny — mówił Jundziłł — wyjeżdżać z puszczy teraz właśnie, kiedy staje się ona jakby przepięknym chrzmem, w którym mieszka Bóg, Jego moc i Jego tajemnica. Zobaczy pan to, co nie wszystkim oczy ludzkie mają szczęście oglądać, ujrzy pan puszcę w jej krasie, w najpiękniejszej szacie, przystrojoną niby młodocia do ślubnego obrządku. Rad szczerze jestem, panie Jerzy, że zadość uczynił pan naszej prośbie. Odetchnie pan tutaj, odpręży się, nalyka żywicy i naszego czerstwego powietrza, co krzepi nie tylko ciało, ale i duszę i jesienią, kiedy ptaki poczną ciągnąć ku zamorskim stronom, odleci pan razem z nimi.

Wolski miał tak głębokie uczucie wdzięczności, że nie umiał znaleźć właściwych słów podziękowania, oceniał bowiem ich intencje,

rozumiejąc jednocześnie, że przecież nie sposób by Jundziłłowie nie wiedzieli, kim był, jakie przeszedł dzieje i w jakich warunkach do nich przyjechał. Jeżeli tak było, to z jakimże zaufaniem powierzyli mu pieczę nad tym co mieli najdroższego, nie okazując nigdy ani jednym słowem, najdrobniejszą nawet wzmianką, aby mogli mieć jakieś wahania co do jego wartości i to zobowiązywało go tak szczerze, związało takim serdecznym węzłem z tymi ludźmi, iż z radością myślał, że ma przed sobą kilka miesięcy dobrych i spokojnych.

Jak polubił te długie wieczory, kiedy w stołowym pokoju siadali przy okrągłym stole, na którym padał krąg światła z lampy, rozmawiając o wszystkich zjawiskach życia, dotykając najrozmaitszych zagadnień, poruszając tematy na pozór zdawałoby się zupełnie oderwane od cichego domu nadleśnictwa. Jundziłł był człowiekiem wykształconym, trochę wprawdzie mistyk, rozkochany w przyrodzie, w borach, w tajemnicy kryjącej się w kniei i matniach, ale o umyśle żywym, silnym indywidualizmie, któremu nie pozwolił zaskrzepnąć, podsycając go stale książką i studiami. Pan Dominik przeszedł kawał ciekawego życia w kopalniach Uralu i Kaukazu, znał świetnie tamtejsze stosunki, a wiele podróżując, potrafił zebrać bogatą skarbnicę wspomnień, do jakiej też chętnie sięgał. Nic dziwnego, że w tych warunkach życie w modrzewiowym domu płynęło wprawdzie spokojnie, ale miało żywy wewnętrzny puls i stąd dalekie było od tępej monotoności.

Kazik, ucieszony ostateczną decyzją Wolskiego, z błyszczącymi oczami zapowiadał.

— Do wakacji już niedaleko, a wtenczas

drogi panie Jerzy, ja pokażę panu puszcę. Co tam Stefańczuk i Bodny, już ja mam takie chody, o których nikt nie wie, nawet tatuś!

Święta minęły w tym radosnym nastroju, jaki zwykle z sobą przynoszą, a w kilka dni potem Jundziłłowa odwozła chłopca do gimnazjum, Wolski zaś zabrał się do biblioteki i dopiero wówczas przekonał się, iż Jundziłł bynajmniej nie przesadzał: była ona istotnie bardzo obszerna i wielostronna, doprowadzenie zaś jej do porządku wymagało rzeczywiście wiele czasu, ale robota zajęła go i pochłonięła tak dalece, że niejednokrotnie pani Jundziłłowa wchodząc do pokoju, gderала.

— Panie Jerzy, proszę wyjść trochę na powietrze; czas taki przepiękny, poprostu wabi i ciągnie, a pan od samego rana siedzi w tym nieznośnym kurzu i mam wrażenie, że chce chyba jak najprędzej opuścić Hruszczę, gwałtując tak z robotą. Zamykam drzwi na klucz i nie puszczę pana tutaj, aż jutro rano.

Całował ją wtedy w rękę i przynaglany dobrym uśmiechem, szedł gdzie oczy go niosły; znał już o tyle hruszczańskie bory, iż nie lękał się zbłądzenia, chociaż i taka przygoda spotkała go parokrotnie, raz nawet z niezwykłym efektem, gdyż wrócił dopiero późnym wieczorem, co w domu wywołało taki niepokój, że Jundziłł zamierzał zwołać leśników i rozesłać ich na poszukiwanie zaginionego. Wrzynał się więc teraz coraz głębiej, trafiał na knieje zawalone taką gęstwą zwalonych drzew, porośłych mchami, że pusto tu było i mroczno, aż strasznie; któregoś dnia doznał na Modre Błota i z podziwem, ale i zachwytem patrzył na szklaną nieruchomą tafelę ciemnych wód, na których wyrastały setki kęp

i trzęsawisk, a brzegi oplecione były wieńcami grążeli, kaczeńców, lilii i wodorostów. Opo-
wiadano, że wśród wód Modrego Błota żyły
z górą stuletnie szczupaki, wielkie i czarne
jak kłody, dla których kaczka czy kurka wod-
na była tym samym, co drobna płotka. Na
bagnach, ciągnących się het daleko, modrych
od oparów i traw, żyły łosie i Stefańczuk
obiecywał Wolskiemu, iż zaprowadzi go kiedy
na przesmyki, którymi przechodziły te wspa-
niałe, wielkie zwierzęta.

Włóczył się całymi godzinami, patrzył i po-
znawał przyrodę, a kiedy przyszły jasne, błę-
kitne noce, rozświeciły niby cudownym refle-
ktorem puszcę, wysrebrzyły polany, zachwy-
cił się i dopiero późna noc przypędzała go do
domu.

Stawał nad niewielkimi jeziorkami tak ci-
chymi, jakby wody ich wypolerowane były w
ciemnym szafirze i gdzie księżyc odbijał się
jak w doskonałym zwierciadle; potężne buki
i dęby stały znieruchomiałe, jakby odlane z je-
dnej masy i wówczas to Wolskiemu przycho-
dziło na myśl, że w tej przyrodzie na pozór
martwej i bez ruchu panuje ciągle życie, nie-
ustające tętno szarmonizowane i tak doskonałe,
iż żaden rozum ludzki, żaden geniusz mózgu
nie byłby w stanie stworzyć i związać w ca-
łość tej części wszechbytu, stanowiącej wszak
małą, mikroskopijną komórkę widomej po-
tęgi, jaka na wezwanie Boże uczyniła ziemię
tak pełną czaru i tajemnic. Wracał wówczas
skupiony, z oczami błędzącymi dalej po tym,
co oglądał, a wzrok jego mimo woli kierował
się wtedy na mały obrazek Ogrójca. I tam
było tak cicho i spokojnie.

Upłynęło kilka tygodni, gdy pewnego dnia

po powrocie znalazł na stole list. Charakter
pisma był mu nieznany, z zainteresowaniem
więc rozerwał kopertę, a spojrzawszy na pod-
pis, stwierdził, iż list pochodził od księdza
Hanicza. Treść była zwięzła i krótka.

„W Warszawie spotkałem się przypadkowo
z panem Krajewickim, dyrektorem zakładów
przemysłowo-drzewnych w Dorni; dowiedziałem
się w czasie rozmowy, że wakuje tam posada,
niechże więc pan niezwłocznie (ksiądz dwu-
krotnie podkreślił to słowo) prześle podanie
wraz ze swoją ofertą do pana Krajewickiego,
a mam wrażenie, iż nie pozostanie ono bez
pomyślanej dla pana odpowiedzi. Bóg z nami
panie Jerzy, głowa do góry!”

Wolski przeczytał ten krótki list i ogarnęło
go uczucie, którego nie mógł określić—łączyła
się tam wdzięczność, zdumienie i upokorzenie.
Oto ten ksiądz, do którego dzieła podchodził
ze spienioną pasją, które chciał zniszczyć i zbu-
rzyć, po raz drugi już wyciąga ku niemu rękę
i podtrzymuje w niepewnej i mozolnej wędrów-
ce życia. Jakiej potrzeba głębi serca i umy-
słu, jakiej olbrzymiej rozpiętości uczuć, by uko-
chać tak człowieka i tak człowiekowi temu słu-
żyć. Przypomniały mu się słowa, jakie sły-
szał na jednym z zebrań wypowiedziane przez
księdza Hanicza:

„Trzeba walczyć miłością...” I oto on, ten
skromny ksiądz, walczył tą potężną bronią,
a strzała z tego dobroczynnego kołczanu potra-
fiła sięgnąć aż tu, do Hruszczy.

Przejęty, wzruszony, z sercem opływającym
falą gorącej wdzięczności, stanął i wpatrzył
się znów w mały obrazek Chrystusa w poświę-
cie miesięcznej. Nie modlił się ustami, żadne
słowo w tej chwili nie wybiegało na wargi, ale

oto on, wywrotowiec, tak niedawno jeszcze oslepiły podpalacz wielkiego Kościoła myśli Bożej, teraz sercem całym, całym swym jestestwem, myślą i duszą przywarł do postaci cierpiącego Chrystusa i wreszcie oderwał się o jeden maleńki cal od ziemi, by bliżej być Boga.

Nie zwlekając, wysłał stosownie do otrzymanego polecenia list do Derni i aczkolwiek niezłomnie wierzył w gwarancje zapewnień księdza Andrzeja, niemniej jednak z niepokojem oczekiwał odpowiedzi. Przyszła ona wkrótce i ręce Wolskiego, kiedy otwierał dużą firmową kopertę, drżały z niepokojem; przeczytał kilka wierszy i nagle zdawało mu się, że na wiosennym niebie świeci nie jedno, ale sto słońc, a ziemia jest wyczarowanym, wyśnionym rajem, w którym mieszka tylko szczęście i radość ludzka.

„W odpowiedzi na ofertę pana — brzmiały słowa maszynowego pisma — dyrekcja zakładów Derni powiadamia, że podanie zostało uwzględnione, szczegółowe zaś warunki omówi pan z dyrekcją po przyjeździe”.

Wolski chciał wyjść, rzucić się na puszystą trawę, tarzać się i krzyczeć, żeby głos jego uchwyciła cała puszcza hruszczańska, przebiegła setkikilometrów i trafiła radosnym echem do Janki.

Gdy wieczorem zakomunikował Jundziłłom z radością w oczach o liście i objęciu posady w Derni, raz jeszcze stwierdził, ile w tych ludziach mieszkało poczciwości. Winszowali mu szczerze, a Jundziłł informował.

— Zakłady derniańskie to bardzo poważne przedsiębiorstwo, szeroko rozbudowane i postawione na wysokiej stopie. Znajdzie pan tam miłe stosunki, a Krajewicki to człowiek rozumny i szlachetny. Szczerze, panie Jerzy, gra-

tulujemy, bo kto trafi do Derni, latami już tam siedzi, w myśl może przysłowia, że na miejscu i kamień mchem obrasta. Robi pan nam wprawdzie przykrą niespodziankę, ale idajże Boże, by było tam najlepiej.

Jeszcze parę wycieczek w puszcze, pożegnanie z leśnikami, kilka dobrych słów, rzucenych dla ponurego Stefańczuka, długie, serdeczne pożegnanie z Jundziłłami i pochłonięta go puszcza, a koła bryczki dudniły po groblach i wystających korzeniach piaszczystej drogi.

Jechał po nowe życie.

Puszcza szumiała mu na pożegnanie długo i radośnie.

„A żniwo było w radości”.

Podróż trwała niedługo i po dobrej godzinie jazdy, pociąg zatrzymał się na dużej, ruchliwej stacji. Na bocznych torach stały długie szeregi towarówek załadowane mechanicznym wyrobem drzewnym, z wagonów zaś przybyłego pociągu wysypali się dość liczni podróżni, spiesząc ku wyjściu. Znać było, że stacja jest ośrodkiem życia przemysłowego, jakie skupiało się w leżącej w pobliżu Derni.

Wolski wyskoczył na peron i rozglądał się za tragarzem, by powierzyć mu swe bagaże; dzień był słoneczny, jasny, a stacyjka okolona wieńcem bzów i kasztanów, miała w sobie pociągający widok beztroski. Spojrzał przed siebie i spostrzegł młodą dziewczynę, idącą wzdłuż długiego sznura wagonów.

— Jakaż podobna do Janki — pomyślał, a jednocześnie ból ścisnął mu serce. Spojrzał jeszcze raz uważniej i stwierdził, że istotnie podobieństwo było niezwykle; odwrócił głowę w inną

stronę, dając znak ręką zbliżającemu się tragiczowi i nagle... Nagle stało się coś dziwnego, przed nim stała Janka z oczami pełnymi łez, ale z radosnym uśmiechem, rozchylającym jej usta i wyciągała ku niemu ręce.

Doświadczył takiego wrażenia jak wówczas, gdy w małym szynku w ciemną listopadową noc otrzymał cios w głowę: poczuł dziwną oziębałość w ramionach, nogi ugięły się, w oczach zawirowały jakieś błędne kolorowe koła i byłby padł, ale mocne ręce Janki podtrzymały go, a usta rzuciły słowa.

— Jur, Jur mój kochany! Już nic, już wszystko dobrze... To widzisz ksiądz Hanicz zrobił taką niespodziankę! Ja przeszło od miesiąca jestem w Derni na posadzie nauczycielki w szkole fabrycznej. Zobaczysz, jak tam jest dobrze i miło.

Mówiła szybko, bezładnie, widocznie wzruszona, a on słuchał, patrzył i zdawało mu się, że na oczy spadł sen jakiś słodki i piękny. Janka, jego Janka, tu razem z nim w Derni! Więc mętna, burzliwa noc życia jest już poza nimi — a przed nim i wiosna i słońce!

— Chodź Jur, konie czekają przed stacją.

Pociągnęła go w stronę podjazdu i po chwili szary tuman kurzu zakrył bryczkę, unoszącą ich w stronę fabryki.

Sierpień dobiegał już połowy, ale prażył takim upałem, jakby w słonecznym piecu potwierały się wszystkie zatwory i gorąca lawa płynęła potokami na ziemię. Wolski siedział w kantorze biurowym i z uśmiechem obserwował niskiego, pulchnego blondyna, który raz po raz ocierał chustką tak gęsto zroszoną potem twarz, iż wyglądała jak gdyby kto chlusnął na nią zamasyście wodą. Tylko z daleka z poza ogrodu

okalającego kantor fabryczny, dobiegał monotony huk parowych pił i szum pracującej fabryki.

— Panie Jerzy — odezwał się płaczliwym głosem blondynek — pójdziemy się kąpać?

— Niestety, dzisiaj nie mogę, czekam na narzeczoną, idziemy bowiem na pocztę nadać listy.

— Prawda, że to pan już teraz traci zupełną swobodę i ubędzie nam jeden dobry towarzysz. Niedługo przyjdzie się z nudów powiesić w tej Derni.

Wolski rezeźmił się tak wesoło, aż spod wąsów błysnęły mu zęby, blondyn zaś znów począł manipulować chustką około czoła i karku, w tej chwili jednak w powietrzu rozległ się najpierw chrapliwy, a potem wysoki, ostry świst syreny fabrycznej. Była szósta.

Dzień pracy się skończył i po chwili Wolski pozostał w biurze sam; powoli zaczął składać książki, raz po raz spoglądając przez okno, znał bowiem punktualność Janki i wiedział, iż lada chwila ją ujrzy. Nie mylił się, na drodze wiodącej do biura zobaczył jasną sukienkę i parasolkę, szybko więc zamknął biurko i po chwili już szli razem, zmierzając w stronę niezbyt odległej osady do urzędu pocztowego.

— Napisałeś, Jur?

— Proszę, przeczytaj — i podał jej list.

Szli powoli, a Janka czytała list do księdza Hanicza. W pewnym miejscu Wolski pisał: „Nie może ksiądz odmówić tej naszej prośbie, gdyż inaczej szczęście swoje uważalibyśmy za niezupełne. Naszym najgorętszym pragnieniem jest, byś tylko Ty, drogi nasz i przeznacny księżu Andrzeju, połączył nam dłonie na nową drogę naszego życia, wierzymy bowiem, iż będzie ono wówczas jasne, spokojne i dobre”...

Janka wsunęła list do koperty i oddała go Wolskiemu.

— Przyjedzie, Januś, jak myślisz? — zapytał z niepokojem w głosie.

— Przyjedzie, przyjedzie na pewno. On taki dobry, taki rozumiejący serca ludzkie, że nie odmówi nam, tym więcej, że i Jundziłłowie zarzucają go listami, prosząc choć na kilka dni do Hruszczy. Przyjedzie!

Zlecili list i powracali ku fabryce. Tyle mieli do omówienia, tyle spraw nastęrczało się ze zbliżającym się dniem ślubu. Jerzy zajęty był urządzaniem mieszkania, mieszkanie zaś to było chlubą i dumą Janki. Dwa przeszliczne pokoje, kuchnia, spiżarnia, a nade wszystko—ogród. Ogród wprawdzie był niewielki, rośło w nim zaledwie kilka drzew owocowych, ale przysłała gospodyni rośla tak szerokie plany, iż wedle jej projektów wyrastał on do rozmiarów olbrzymiego warzywnika, którego plody mogłyby nakarmić całą Darnię. A przytem ile jeszcze spraw było do szczegółowego przeanalizowania: gdzie postawić etażerkę, jakie firanki zawiesić w gabinecie, który przecież będzie stanowił i pokój stołowy, poza tym zaś Janka szykuje szereg niespodzianek w postaci przepięknych poduszek własnoręcznie wykończonych, jakimi zarzuci tapczany.

Jedna sprawa wypływa z drugiej i nigdy nie wystarcza właściwie czasu, aby omówić je należycie i reszta tych niezmiernie ciekawych i absorbujących oboje zagadnień pozostawia się do dnia następnego, z góry wiedząc, że i wówczas nie wyczerpie się ich całkowicie.

Powracają szeroką, ocienioną rozłożystymi drzewami drogą, a twarze i oczy ich są tak roześmiane i rozjaśnione, jak ten przepiękny

sierpniowy podwieczerek. Wokół, jak rzucić okiem, zamyka okolicę pierścien zwartych ciemno-sinych lasów, ale oni idą złotymi polami, na których w równych, wyciągniętych rzędach stoją ciężkie żółte snopy zbóż; cichutko ćwierkają polne koniki, gdzieś od płowych rżysk doleci lekliwy głos przepiórki, a słońce złotą rozpaloną kulą opuszcza się powoli za ciemną ścianę borów.

W powietrzu jest tak cicho, tak uroczyście, jak wówczas, kiedy w kościele ponad głowami klęczącego tłumu wybije się złota monstrancja i drga żywymi promieniami światła. Powoli, powoli słoneczny krąg zamienia się w roztopiony rubin, powietrze drży światłem przesączonym przez pryzmat rubinowej tarczy, aż wreszcie rzuciwszy ostatnie łuny, zapadła za lasy, gubiąc się w ich sinawej pomroce.

Jest już zmierzch; umilkło kwilenie przepiórki, koniki polne jakby oczarowane cudem, ucichły, a ziemia po znojmym dniu pracy i wysiłku zapada w cichy i spokojny sen...

Janka zatrzymuje ruchem ręki Jerzego. Patrzą i wchłaniają w rozwarte źrenice ten cud światła i barw wymalowany ręką Mistrza nad mistrze.

— Pamiętasz, Jur—mówi półgłosem—jak to ksiądz Cieciszewski powiedział do Skrzetuskiego, kiedy ten po długiej i bolesnej rozłące zobaczył wreszcie Helenę Kurcewiczównę: „Siejba była w płakaniu, a żniwo w radości...”

Nic nie odrzekł, ujął tylko jej rękę i w milczeniu przycisnął do ust.

Na ziemię padał letni modry zmierzch...

KONIEC.

Warszawa, w Wielkim Poście 1932



SPIS ROZDZIAŁÓW

I. Jesienny zły dzień	3
II. Dom przy ulicy Franciszkańskiej i Wiejskiej .	15
III. O godz. 6 wieczorem	32
IV. Powoli jedziemy, powoli	44
V. Ręce, które otwierają wentyle	57
VI. Polska, to święta rzecz!	65
VII. Filiżanka słodkiej mokki	76
VIII. W jaczejce	86
IX. Schody prowadzące w głąb	96
X. A tymczasem...	114
XI. Bezdroża coraz krętsze, matnia coraz większa	124
XII. Misja z raportu nr. 171	131
XIII. Szpica wysunięta naprzód	144
XIV. Trudno jest drażyć kamień	153
XV. Ananke zbliża się	162
XVI. Hallo! tu Pogotowie Ratunkowe!	172
XVII. Gdy dusza patrzy w głąb	181
XVIII. Puszcza szumi i śpiewa	202
IX. „A żniwo było w radości...”	235